This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

Slav 7111.7.13

THE SLAVIC COLLECTION

Harvard College Library

GIFT OF

Archibald Cary Coolidge, Ph.D.
(Class of 1887.)

Received 2 October, 1895.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XLVIII.

PODRÓŻ

DO NOWEGO ORLEANU

PRZEZ

J. GORDONA.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
—
1867.

Slav 7111.7.13

Harvard College Library

A[illegible], Ph. D.

July 1, 1[illegible].

BOUND JUN 30 1911

OBROŃCOM WOLNOŚCI

PRZYPISUJE

AUTOR.

SPIS RODZIAŁÓW.

		Strona
I.	Widok Mississipi. «Help your-self.» Szlachcic polski i plantator amerykański	1
II.	Przemysł wojenny	11
III.	Nowy Orlean. Żółta febra. Smętarz i mogiły	21
IV.	Cukrownie. Murzyni. Ptaszek, podrzeźniaczem zwany (Oiseau-Moqueur)	31
V.	Niewolnicy	39
VI.	Bazary z niewolnikami, ich śpiewy, muzyka i tańce. Kreolki.	51
VII.	Jeszcze o niewolnikach. Przemytnicy	63
VIII.	Skład rządu w Stanach Zjednoczonych	73
IX.	Rodak jenerał Karge	83
X.	Kantor i belferka	89
XI.	Kościół czarnych metodystów i uniwersalistów. Pagoda chińska.	99
XII.	Kazanie kongregacjonistów	111
XIII.	Poglądy	121
XIV.	Więzienie w Filadelfji. Grobowiec Franklina	127
XV.	Podróż. Pralnia praktyczna. Indjanie	139
XVI.	Podania o Indjanach. Hymn do Śmierci	153
XVII.	O Kolonizacji	165
XVIII.	O Kolonizacj (ciąg dalszy)	175
XIX.	O Kolonizacj (dokończenie)	187
XX.	Powrót do Nowego Orleanu. Przyroda na rzece Mississipi. Niemcy demokraci	195
XXI.	Powrót do Europy. Uwagi nad przyszłością Ameryki. Życie na statku i tajemnice morza	205

I.

WIDOK MISSISSIPI. — «HELP YOUR-SELF.» — SZLACHCIC POLSKI I PLANTATOR AMERYKAŃSKI.

I.

Parochód «Cincinnatus» z belwederem na wierzchu i powiewającą na nim flagą amerykańską, sunął się poważnie po rzece Missisipi, zostawiając za sobą błyszczącą brózdę. Statek ów był wspaniały, bogaty, bez płócien i masztów, z kolumnadą po obu stronach. Po zewnętrznych jego galerjach przechadzali się podróżni goście, przypatrując się brzegom Missisipi, zwanej «Ojcem wód.»

Znakomita ta rzeka wydała mi się na pierwszy rzut oka nazbyt jednostajną. Ma ona brzegi równe i nizkie, wodę mętną i żółtą, bieg szybki; tylko szerokością swą, przybierającą stopniowo coraz większe rozmiary, staje się imponującą dla widza.

«Cincinnatus» pędził środkiem, obawiając się zbliżać do lądu, oprócz do znanych sternikom przystani; gdyż Missisipi pomimo swych zalet jest rzeką zdradziecką. Płynąc po gruncie gliniastym, nadzwyczajnie miękkim, zmienia często grunt koryta: woda ustępuje od jednego brzegu, a podrywa drugi — wynika ztąd, że w wielu miejscach ogromne cedry i inne drzewa odwieczne zapadają się do rzeki, a wierzchołki ich, pokryte mułem, na pół skamieniałe z biegiem czasu, stanowią szeregi ostrokończastysh pali, na które niejeden parochód wbitym już został z całym ekwipażem.

Z tem wszystkiem odważne Amerykanki nie trwożyły się widokiem blizkiego niebezpieczeństwa. Gawędy i śmiechy brzmiały dokoła, zawiązywały się znajomości; płynące zgromadzenie miało cechę weselną. Żartowano z karła przyby-

łego ze Sztokholmu, który zdążał ze swą połowicą do miasta St. Louis, aby się pokazać tamecznym mieszkańcom. Nosił tytuł hrabiego. Gdy pan hrabia zanadto się dąsał, jejmość miała zwyczaj stawiania go na wysokiej skrzyni, zkąd mu dopóty zejść nie pomogła, dopóki nie nastąpiła zgoda między małżonkami.

Znienacka dwaj podróżni przesunęli się na pokładzie. «Help your-self!» zawołał jeden do drugiego, a wyrazy te będące przysłowiem amerykańskiem, oderwały mnie od otaczającego widoku, i wprowadziły na tor innych uwag i rozmyślań.

«Help your-self» znaczy: pomagaj sam sobie. W kraju wolnym, gdzie równość obywatelska jest zasadą zasad, gdzie nie ma arystokracyi uprzywilejowanej, nie ma bitych i bijących, pracujących i używających; gdzie ludzie są zbyt dumni aby przyjmować protekcje od równych sobie istót, gdzie nie lubią się korzyć wyjąwszy przed jednym Bogiem, «Help your-self» jest charakterystycznem wyrażeniem.

Od kilku lat mnożą się stowarzyszenia wzajemnej pomocy pomiędzy wszystkiemi klasami społeczeństwa. Jest to rodzaj ewangelji życia, która przekształca stosunki nasze; jest to zbratanie nabierające siły zbiorowej zjednoczeniem pojedyńczych sił; z datków drobnych od każdego członka tworzy się pomoc potężna i niezawodna dla wszystkich potrzebujących. Nie ma niezaprzeczenie przezorniejszej instytucji na świecie!

Ale obok tych usiłowań wspaniałych, powinna zawsze przewodniczyć zasada: «Pomóż sam sobie!» Zasada ta jest zastosowaniem religijnej prawdy: Módl się i pracuj!

Im więcej podróżny płynąc po Mississipi zbliża się do miasta St. Louis, położonego na drodze do Nowego Orleanu, tem mniej postrzega brzegów rzeki, tak dalece są one nizkie, niemal równe z wodą.

Nie widać tam nigdzie, jak w całej ogółem Ameryce, starożytnych zwalisk, -owej kamiennej historyi, która w Europie zwykła zajmować uwagę i wrażać się w pamięć wędrowca. Dla wielu cudzoziemców sławiona rzeka wydaje się nudną, szczególniej dla ludzi zepsutych wyuzdanym zbytkiem

stolic europejskich, u których życie sztuczne zagłuszyło poczucie piękna przyrody; co do mnie, podobała mi się ona, taka jaką jest, bez ozdób natury i ręki człowieczej, w swej pierwotnej dzikości, wielkości i grozie.

Miłą rozrywkę sprawia przechadzka po nad nią w czasie, gdy parowiec zatrzyma się na parę godzin dla nabrania węgli. Mirjady różnobarwnych ptaków, podobnych do ruchomej tęczy, świegocąc wśród gałęzi stuletnich drzew dziewiczego lasu, uprzyjemniają chwile takiego przystanku.

Zmiana powietrza jest nader wydatną w tej podróży i przyczynia się także niemało do jej urozmaicenia. Wyjechałem z Cincinnati przed rozpoczęciem wiosny, gdy drzewa były ogołocone z liści, pola ze zboża, łąki z trawy, gdy okolice miasta były pokryte białym całunem śniegu. W miarę jak płynąłem w stronę południową z biegiem rzeki, przyroda zdawała się uśmiechać i zmieniać swe szaty z wdziękiem wzrastającym stopniowo. Najprzód ukazała się w stroju szmaragdowym wiosny, następnie ujrzałem ją pokrytą bogatą i kwiecistą roślinnością. Słowem, przebyłem zimę, wiosnę i lato w przeciągu dni dziewięciu mej podróży do Nowego Orleanu.

W okolicy St. Louis powiększył liczbę wędrowców pewien obywatel amerykański, należący do sekty Mormonów. Wiadomo, że w bliskości St. Louis było główne siedlisko sekciarzy. Najrozleglejsze ich kolonje wraz ze stolicą znajdują się tam dotąd nad Jeziorem Słonem. Stolica ta przed piętnastu laty składała się zaledwie z kilkunastu chałup, dzisiaj ma świątynie, zakłady wszelkiego rodzaju, drukarnie i dzienniki: za zbyt wiele dzienników, lecz wszyscy je czytają. W Ameryce każdy wieśniak umie czytać.

Mormoni, wedle zdania ich nieprzyjaciół nawet — a mają ich wielu — uchodzą za najpierwszych kolonizatorów na świecie.

Podróżny zapytany o przyczynę tego, przypisywał ją wielożeństwu, które stanowi główny artykuł księgi ustawodawczej sekty. Twierdził, że wielożeństwo jest wielce użyteczne dla domu, z powodu rozdziału gospodarstwa pomiędzy małżonki, o które zresztą zdawał się wcale nie troszczyć.

Proszę sobie wystawić, czem by się stała Europa pod względem dobrobytu, gdyby poświęcono w niej pracy ów czas, co się marnuje na próżnych zalecankach kobietom?...

Lecz z drugiej strony godne jest zastanowienia, że u wszystkich ludów rządzących się prawem wielożeństwa, im więcej mężczyzna posiada żon, tem częściej nosi dziurawe pończochy i pantalony z poobrywanemi guzikami.

To się pojmuje; człowiek mający dziesięć lub więcej kobiet, nie jest kochany od żadnej i samo przez się rozumie się, że rzadko ma wszystkie guziki. Niech co chcą mówią filozofowie, atoli przyszycie guzika do sukni mężowskiej oznacza wielki stopień miłości!

Biedni ci Mormoni! Usiłowano ich zgładzić ze świata za to, że mają po kilka żon — szkoda że p. Smith, założyciel sekty, nie skreślił, na złość wrogom, wyznania swej wiary na wywrót, to jest: iż nie nakazał każdej Mormonce mieć po kilku mężów. Możeby wówczas nie był wtrącony do więzienia i tam zamordowany*).

Dziwne zaprawdę to bractwo Mormonów — mięszanina izraelityzmu z mahometanizmem, barbarzyństwa z najwyższą cywilizacją, oligarchji religijnej z demokracją przemysłową! Przy spójni jednakowych dążności i usiłowań, sekciarze rozwinęli energję, przedsiębiorczość i pracę do najwyższego stopnia. Są oni groźnymi sąsiadami dla przybyszów, kolonizujących się na około ich posiadłości.

Rząd stanów Zjednoczonych toleruje ich dotąd przez obawę wywołania zamieszek wewnętrznych. Gdy kongres wysłał do sekciarzy rządcę ze swego ramienia, wypędzili go obelżywie z terytorjum, jakkolwiek to należy do Unji. Gabinet washingtoński zmuszonym się wówczas ujrzał, chcąc zachować choć pozornie swą zwierzchność nad Mormonami, nadać tytuł rządcy ich naczelnikowi politycznemu i religijnemu, prorokowi Brigham Joung. Jest atoli do przewidzenia, iż przyjdzie czas, w którym Mormoni, ciśnieni będąc i prześladowani przez gromadzącą się w ich okolicach ludność ko-

*) Obacz rozdział o Mormonach w książce: «Przechadzki po Ameryce p. J. Gordona. Berlin 1866.»

lonizatorów, ustąpić im muszą swego okręgu; co się jednak obejdzie bez straszliwego krwi rozlewu.

Oprócz Mormona, zwróciło także na statku moją uwagę kilku obywateli, właścicieli plantacji na Południu. Posiadacze ci ziemscy, posługujący się niewolnikami, nazywani w swoim czasie książętami Południa, weseli, ożywieni, pełni wyobraźni, przy łatwem życiu jakie prowadzili, przypominali mi swą powierzchownością szlachtę polską. Też same przymioty i wady! taż sama gościnność i skłonność do pohulanki, gier i zabaw! z tą różnicą, że plantatorowie zdawali mi się być więcej wykształconymi umysłowo od naszych paniczów.

Ale jakże powierzchowność owych Południowców była różną od Amerykanów Północy, oddanych handlowi od lat dziecinnych! Gdy ujrzysz polskiego szlachcica z zakręconym wąsem, miną butną, z rumieńcem na licu i okrągłym podbródkiem, sprzedającego na pniu zboże przebiegłemu żydkowi, co za jednym rzutem oka oblicza wszystkie możebne dla się korzyści, będziesz miał obraz podobny do zestawienia Amerykanina plantatora, rasy hiszpańskiej, z jego ziomkiem, handlarzem z Północy, rasy anglo-saksońskiej.

Ten ostatni wziął już górę nad pierwszym. Zachodzi teraz pytanie, czy plemiona izraelskie i germańskie nie zawładną z czasem posiadaczami ziemi polskiej?

Rzecz jest prawdopodobną.

Szlachta w ogóle przy zmianie warunków swego istnienia, przy uwłaszczeniu włościan, przy wstrząśnieniach krajowych, nie zmieniła dawnego sposobu życia. Taż sama u nich dworskość co była i przedtem: lokaj dla pana, drugi dla jejmości, chłopiec w przedpokoju, panna respektowa, Niemka i Francuzka do dzieci, kucharz, kuchta, dwie młodsze, i t. d.

Jakże płodną musiałaby być owa skiba, aby wyżywić i opłacić tak liczną drużynę! Dodajmy do tego wyjazdy za granicę, Towarzystwa Kredytowe, tudzież inne ciężary i wiedeńskie banki, które jeno czyhają na to, żeby przychodzić w pomoc Polakom za wielkie procenta, a nie trzeba być matematykiem iżby obrachować, że szlachcic co nie postępuje

dziś z duchem czasu, co nie rzeknie: sam pan, sam sługa, i nie pospiesza ze zmniejszeniem budżetu swoich wydatków, z góry chyba powiedzieć sobie musiał: «Après moi le déluge!»...

Lecz wróćmy do plantatorów. Byli oni nader uprzejmi, gdy wdałem się z nimi w rozmowę. Jeden z nich pokazywał mi swą willę kryjącą się zalotnie wśród parku. Po za tym rozpościerał się gaj cyprysowy, po drzewach którego rozpinał się z wdziękiem w kształcie wiszących festonów mech hiszpański.

Szczególniejsza ta roślina wielce jest użyteczną dla mieszkańców, dostarcza im bowiem wygodnej pościeli. Wysuszona i obrana sposobem łatwym z delikatnej kory, staje się podobną do włosienia końskiego i zastępuje wybornie jego użytek w wyrobie materaców.

Po długiej podróży przybyliśmy nakoniec do krańcowego Kantonu czyli Stanu Luizjany. Stan ów, wielkiej dla Unji wagi, jako dotykający Oceanu, mieści w sobie najznaczniejszy port z przystanią: Nowy Orlean; jako też zbieg głównych rzek Ameryki północnej. Posiadanie Luizjany zapewnić może Stanom Zjednoczonym przewagę na zatoce Meksykańskiej, która wcześniej czy później stanie się ogniskiem handlu wewnętrznego dwóch światów. Są to dogodności, na które narody mają zawsze zwrócone oczy, i które starają się zdobyć za jakąby nie było cenę.

Zazdrosna morskich zdobyczy Anglja zmuszoną się być widzi oszczędzać zawsze Stany Zjednoczone, bo znajduje w nich potężnego sąsiada, który w chwili danej może napaść z całemi siłami na przyległą sobie Kanadę angielską. Nie potrzeba i tego — dosyć aby Stany zamknęły swe porty dla handlu angielskiego, żeby wzniecić zamięszanie w łonie samejże Anglji i wyrządzić jej niepowetowane szkody.

Kanada jest angielską, ale czyż Stany Zjednoczone nie są Anglją w Ameryce — a nawet czemś więcej jak Anglją? gdyż utworzone później od niej, mogły, korzystając ze światła swych przodków, uorganizować się na lepszych podstawach. Wiele instytucji angielskich, jakkolwiek najlepszych w Europie, są przecież wynikiem epok mniej oświe-

conych od tych, które stworzyły pierwiastki Stanów Zjednoczonych.

Brzegi Missisipi w kantonie Luizjany, czarne i tłuste, dzięki częstemu niegdyś wylewowi tej rzeki, tak są żyzne, iż bez żadnego nawozu wydają obficie trzcinę cukrową, palmy i inne wykwintne płody roślinności. Lecz najbardziej zajmujący widok dla Europejczyka przedstawia się tam w porze, gdy zielone pęki pełne bawełny z wystającemi na wierzchu jej rąbkami, na obszernych niwach, otoczonych do koła rzędami chat murzyńskich, zaczną mu się znienacka ukazywać po obu stronach Missisipi — gdy uwijające się tam i owdzie niewiasty z czarnem obliczem i jasną zawiązką na głowie, przeświadczają go, iż się znajduje w nieznanej krainie, w nowym zupełnie świecie — gdy mirjady różnobarwnych motyli zdają się występować w świątecznych strojach na jego przybycie, bujając nad pachnącemi krzewami — gdy francuzka mowa murzynek zalatuje do ucha podróżnego.

Luizjana jest królową białej, najdoskonalszej w świecie bawełny. Trzecią jej część zakupuje sama Anglja do rękodzielni swoich, jako surowy towar, który zamieniony w wyrób, sprzedaje później za drogie pieniądze innym narodom i samymże Amerykanom, nie mogącym wytrzymać konkurencji fabrycznej z Anglikami.

Często też na miękkim, gliniastym brzegu Missisipi ujrzy zdaleka podróżny, w okolicy Nowego Orleanu, niby szarobrunatne ruchome kępki; dopiero gdy lepiej się w nie wpatrzy, pozna, że są to krokodyle wygrzewające się na słońcu.

Kraj ów z powodu nizkiego i bagnistego położenia, jest ojczyzną krokodylów.

— Czy pan widzi — rzecze do mnie plantator — tę drogę świeżo zrobioną, co się wznosi pośród wąwozu w kierunku prostopadłym do rzeki? Proszę zauważać różnicę między jedną a drugą stroną wąwozu.

— Widzę tylko — odpowiedziałem — że jedna strona jest gładką, a druga rozkopaną.

— Otóż to! Nad tą gładką pracowali przez długi czas emigranci europejscy; drugą zaś, zkąd bryły ziemi zdają się

być wyrywane nadludzką siłą Tytanów, robili Amerykanie z Luizjany ... co staną się kiedyś Tytananami dla yankesów z Północy.

Charakter, potęga i pycha plantatorów odbiła się w tych słowach. Nigdy ich nie zapomnę. Były one niejako wróżbą przyszłych zapasów.

W owym czasie prezydent Unji Buchanan, poprzednik Lincolna, stary dyplomata z partji separatystowskiej stał się narzędziem Południowców, gromadzących od dawna materjały, aby rozerwać świetnie urządzoną federację i sformować rząd oparty na bagnetach.

Późniejsza, a straszliwa wojna domowa, wykazała skutki śmiałych zamiarów, które początkowo nie dały się obrachować.

II.

PRZEMYSŁ WOJENNY.

II.

Kiedy Stany południowe, wybrawszy na prezydenta Jeffersona Davisa, zaprotestowały czynnie przeciw wyborowi Lincolna, a tem samem i przeciw Unji, liczyły one na pomoc Anglji i Francji — i omyliły się na dyplomacji.

Wdanie się obu powyższych mocarstw w sprawę północnych Stanów byłoby wprawdzie szalonym i bezużytecznym krokiem, gdyż tak ogromne państwo, o rozwiniętej do wysokiego stopnia samowiedzy i poczuciu sił własnych młodzieńczych, nie da się zająć za jednym zamachem; a nawet zajęte, nabawiłoby zaborców wielkiego kłopotu, bo nie dałoby się utrzymać — wszelako wojna w pierwszych początkach pokazała, że Amerykanie nie mieli środków wojennych do stawiania oporu dobrze uorganizowanemu zewnętrznemu nieprzyjacielowi. Brakowało im wszystkiego, czego koniecznie potrzeba w gospodarstwie wojennem. Nie było ani wodzów, ani żołnierzy; zapasów ani śladu; flota, którą yankesy chełpili się, jakoby była nie do zwyciężenia, zostawała w warsztatach i arsenałach, ale nie na morzu; stare okręty były nie do użycia, nowych ogromna, podziwienie wzbudzająca liczba, jeszcze nieprzygotowana i nieuzbrojona; był to właśnie czas przekształcenia systemu nawigacji, czas przesiedlania się ze starego mieszkania do nowego, kiedy sprzęty zapakowane, a niewprawne oko widzi tylko zamęt.

Gorący plantatorowie Południa we wszystko lepiej się

byli zaopatrzyli; zawczasu postarali się o potrzebne zasoby, nawet przygotowali szubienice, na których dyndać mieli ich pokonani przeciwnicy.

Ale północny Amerykanin nie jest to człowiek, któryby łatwo tracił odwagę; dzielność dodaje mu ufności w siebie samego, praca wytrwała hartuje ducha; odwaga jest siostrą przemysłu i lubi iść z nim w parze.

Bęben wzywający po ulicach miast do walki, pobudził sta tysięcy rąk do nowej, niezwykłej roboty. Rękodzielnie pracy spokojnej, zamieniły się, jakby siłą czarodziejską, w wojenne; spekulacja ujrzała przed sobą nową, niezmierną niwę i zapłodniła ją; kapitał, jakby rekrut, oddał się na usługi uciśnionej ojczyznie; duch stowarzyszeń i akcje wstąpiły w służbę wojskową.

Chwilowa klęska na polu walki napełniła wprawdzie serca patrjotów niepokojem, ale spekulanci powitali ją podniesieniem swych akcji; i dla tego każda klęska wyradzała rozwój sił. Czem była giełda dla handlarza w czasie pokoju, tem stały się w chwilach biedy, biura werbunkowe po miastach. Zaciężne, jakie ochotnik dostawał, było miarą wartości życia.

Ajenci ministerjum wojny prowadzili interes bez skrupułu całkiem po kupiecku.

— Co kosztuje ten człowiek? — pyta się mekler mający w zborni kilkuset rekrutów.

— Dwadzieścia pięć dolarów zaciężnego — brzmi odpowiedź.

— Kantor Kentucky płaci dwa razy tyle, mam depeszę.

— Nie opłaci się; transport wiele kosztuje — rzecze mekler.

Lecz może kto powie, że tak postępują wszyscy werbownicy. Atoli różnica na tem polega, że rekrut amerykański rozumie swój interes i z rozwagą i spokojem przystępuje do niego; zastanawia się nad swą korzyścią i decyduje się na tę lub na ową stronę, a skoro raz przybił, całkiem się oddał «interesowi» — dane słowo zrobiło go żołnierzem duszą i ciałem.

Wszystkiego, czego potrzebowała wojna, dostarczali ludzie prywatni.

Pewien nowojorski dziennik podaje rysunki około czterdziestu dział polowych nowej konstrukcyi, które na próbę zaprowadzono w pojedyńczych oddziałach. Niektóre okazały się stosownemi i «szerzącemi zniszczenie —» Przedsiębiorca, którego działo pokazało się nieużyteczne, musi ponosić szkodę nakładu. Tak dzieje się w każdym interesie, a więc i w interesie z państwem.

Nowe wynalazki maszyn piekielnych szerzących zniszczenie zmieniły system floty wojennej na całym świecie. Wiadomo, że marynarze postępowi tępili się dotąd, pływając statkami pokrytemi blachą — lecz o ile tarcze ich były mocnemi, o tyle powiększono siłę kul. Żaden pancerz nie może się oprzeć wystrzałowi działa świeżo wynalezionego przez Amerykanina nazwiskiem James Machay. Działo to ma być arcydziełem w swoim rodzaju, nieocenionym klejnotem dla wojaków, podobnie jak karabin igłowy.

— I co też pan myśli o owych grotach śmiertelnych naszego wieku? rzekłem do pewnego Anglika.

— Ha! odpowie, gdy udoskonalone zostaną do tego stopnia, iż żadne wojska nie będą mogły utrzymać się pod ich ciosami na polu bitwy, wtedy skończą się na świecie wojny.

— Jeżeli tak, daj Boże aby to jak najprędzej nastąpiło! Lecz co poczną ludzie, gdy nie będą mogli bić się między sobą?...

— Hm! chcąc nie chcąc muszą żyć w pokoju. —

Na zaspokojenie potrzeb fizycznych armji czynnej, pracowały dzień i noc miljony rąk, wszystkie żywioły i siła pary.

Kierunek pochodu większego oddziału wojska wskazywała albo nowa kolej żelazna, albo świeży wyrąb w lesie dziewiczym.

Dokąd tylko dotarł sztandar gwiaździsty, wszędzie stawały natychmiast targi, tysiące przekupniów przybywało, wioząc za sobą zakonserwowane jarzyny, mięsiwo, napoje, drzewo, węgle, i t. p. tak, że komisorjaty wcale nie potrze-

bowały myśleć o tem, czem wyżywią i zaspokoją potrzeby wojska. Ufano duchowi kupieckiemu i nigdy się nie zawiedziono.

Pieniądz jest nerwem życia w czasie pokoju i wojny. Starzy już powiadali, że nie ma tak mocnej twierdzy, żeby się do niej nie dostał osieł złotem obładowany. Wiedzą o tem i Amerykanie, i dla tego głównie o to się starali, aby zawsze mieli pełne kasy wojenne. Ale ponieważ Amerykanie przy całym patrjotyzmie nie kierują się uczuciem w sprawach pieniężnych, zatem musiano podnieść podatki niestałe do bajecznej wysokości. Minister skarbu, jako dobry spekulant, załatwił to przez stosowny rozkład.

Jednego dnia okazał się w armji jenerała Granta niedostatek cygar. Wódz był tem bardzo zafrasowany. Żołnierze jego byli przyzwyczajeni z cygarami w ustach iść przeciw nieprzyjacielowi; sam jenerał dowodził paląc cygaro; brak cygar znaczył tyle co brak węgla do lokomotywy, co brak herbaty dla dam. Jenerał zatelegrafował: «Nie mamy cygar, grozi niebezpieczeństwo.» Depesza ta obleciała lotem błyskawicy po całym kraju. «Nie ma cygar w głównej kwaterze» brzmiało wszędzie hasło. Tysiące rąk zajęło się ich wyrabianiem.

W Ameryce nauka początkowa robót ręcznych rozpoczyna się od wyrabiania cygar. Po kilku dniach jak najzupełniej zasypano niemi obóz Granta. Dostawa była tak wielka, że 1000 sztuk można było kupić za 2 dolary (17 złp.), kiedy przed kilkoma dniami za tę samą ilość trzeba było zapłacić i 20 dolarów.

W żadnej armji na świecie nie starano się tak o dobre pożywienie dla żołnierzy, jak w ostatniej wojnie amerykańskiej. Żołnierz dostawał zrana: kwaterkę wódki, ćwierć funta kiełbasy, 2 funty białego chleba, 3 filiżanki herbaty. 8 łutów masła, 10 łutów cukru i trochę rumu; w południe: półtora funta rostbifu z ziemniakami, porterówkę piwa angielskiego lub wina, półtora funta jarzyny, ćwierć funta sera, pół funta suszonych owoców. Każda kompanja miała przydanych dwóch kucharzy, którzy za osobnem wynagrodzeniem musieli dobrze znać sztukę gotowania. Do prania bielizny

urządzono ruchome pralnie parowe — żołnierz był obowiązany dwa razy w tygodniu zmieniać bieliznę. Każdy żołnierz musiał się codziennie golić, a jeżeli nie umiał, zapuścić brodę.

Szpitale polowe stoją na nizkim stopniu w Ameryce pod względem medycznym, z powodu braku należytej umiejętności. Amerykańscy lekarze obdbywają zwykle takie nauki, jak chirurdzy w Europie. Kilku utalentowanych odznacza się i jest ozdobą umiejętności, ale przeważna liczba «prowadzi interes» po rzemieślniczemu — nieuki, szarlatany i rzeźniki. Masz tu «doktorów», którzy dawniej zamiatali ulice; chirurgów, co służyli w jatkach.

Stany Zjednoczone są krajem zupełnej wolności zarobkowania. Chcesz być doktorem, możesz nim być odrazu tytularnie. Nikt cię nie zapyta o patent, ani nie zabroni wyryć na blasze twoje nazwisko z dodatkiem: doktor medycyny, i przybić je na drzwiach twego mieszkania. Jeżeli zdołasz pozyskać klientelę, tem lepiej dla ciebie; jeżeli otrujesz kogo, rodzina lub przyjaciele nieboszczyka mogą ci wytoczyć proces.

Znałem pewnego faceta, emigranta i rodaka na nieszczęście, któremu podobny proces wytoczono. Chciał on cud pokazać i dał był pieprzu tureckiego na ocucenie umierającemu. Ten wyskoczył wprawdzie z łoża z wytrzeszczonemi oczyma i zdziwił wszystkich go otaczających — lecz tem prędzej życie zakończył.

I krotochwila miała swych przedstawicieli w obozie amerykańskim. Przebywali w nim rozmaici trefnisie, skoczki konni, boksery, kuglarze, brzuchomówcy, czarownicy, magnetyzery, a nawet fotografowie.

Fotografia w służbie Marsa wykazać się może wielkiemi przysługami. Służy ona anatomji patologicznej, chwytając świeże rany; ściga zbiegów, rekomenduje szpiegów, zanim osobiście przybyli z wizytą do nieprzyjacielskiego obozu; uwiecznia czyny znakomite, a szczególniej tych, którzy je wykonali, chwyta i zachowuje przyszłym czasom chwile przemijającej teraźniejszości.

Wspomnieć jeszcze wypada o jednem zjawisku, o korespondentach do dzienników:

Każdy wielki dziennik ma swojego sprawozdawcę przy armji, który na swe zawołanie ma kurjerów, statki parowe, telegrafy i osobne pociągi kolei żelaznych. Sprawozdawcy, o których mowa, są to po największej części ludzie poważni, co atoli nie przeszkadza, aby za swe trudy i prace nie kazali sobie dobrze płacić.

Tak n. p. dziennik New-York Times płacił swojemu sprawozdawcy obozowemu 2000, wyraźnie dwa tysiące dolarów miesięcznie, co wynosi około 17,000 złp.

Do innych pomniejszych dzienników przesyłają korespondencje wyżsi oficerowie i wcale się nie kryją z tym pobocznym zarobkiem. Służyć publiczności nauką i wiedzą swoją, czyni w Ameryce zaszczyt w każdem położeniu.

List o wzięciu Richmondu umieszczony w jednem z amerykańskich pism, sprawił tak wielkie wrażenie pięknem i świeżem przedstawieniem rzeczy, że redaktor uznając pracę swego spółpracownika, darował mu pióro djamentami wysadzane. Sprawozdawca, niejaki p. Hug, którego ten zaszczyt spotkał, nie przyjął daru, oświadczając, że nie należy się jemu lecz zwycięzcy Richmondu, którego czyn opisał. Jenerał przyjął od redaktora owe pióro i skreślił niem słów kilka. Jeden z bankierów washingtońskich odkupił ten autograf od redaktora za kilka tysięcy dolarów; a tym sposobem obie strony odniosły bogaty plon ze świetnego czynu wojennego.

Nie raz nastręczyła mi się myśl, czy wojna amerykańska, stworzywszy ogromną armję, nie wpłynie na zmianę formy rządu, jak to często się zdarzało z innemi mocarstwami, gdy znaczne ich siły złączyły się pod naczelnictwem jednej osobistości. Historja wykazuje, że tym sposobem Rzeczypospolite przechodziły pod samowładców.

Obeznawszy się atoli bliżej ze składem dwóch ogromnych stronnictw demokratyczno - republikańskich, stanowiących główne czynniki polityczne w Stanach Unji, przypuścić niepodobna, aby rząd samowładny mógł kiedykolwiek istnieć w owym narodzie.

Zajścia między Amerykanami były i są innego rodzaju

od tych, co mają miejsce w Europie, pomiędzy konserwatystami a rewolucjonistami.

W Ameryce nikomu się nie marzy o zniesieniu konstytucji, o rewolucji i contre-rewolucji; nikt nie pragnie monarchji ani anarchji w całem znaczeniu tego wyrazu. Nie ma tam osób, co by miały tradycyjną przeszłość historyczną i intrygowały na korzyść swoją i rodzin swoich; osób chciwych panowania, którychby się obawiano. Dwa wielkie, wolne stronnictwa w narodzie, są jako dwie szale równoważące się z sobą.

Stronnictwa te oddzielone Oceanem od mocarzy europejskich, nie lękają się potęg starego świata.

Zasada samorządu, przyniesiona z Anglji do Stanów Zjednoczonych przez pierwszych osadników, zwiększa nieustannie zakres swej działalności. Zamiłowanie ogólne niezależności przeszło, że tak powiem, w krew mieszkańców i. zostało przytwierdzone do pierwotnego środka, którym jest gmina.

Z drugiej strony, oględni Amerykanie nie utrzymują znacznej siły wojskowej w czasie pokoju — armja ich zaś w czasie wojny, złożona z obywateli, różni się od europejskiej, u której broń jest ustalonem rzemiosłem. U nas żołnierz jest tylko narzędziem, niewolnikiem sztandaru i wykonującym ślepo dane mu rozkazy. W Ameryce jest on niejako niezależnym; zaciągnąwszy się na czas potrzebny do szeregów, nie zrzeka się dla tego tytułu obywatelstwa i prawa wotowania, a uważa się za człowieka zobowiązanego kontraktem do oddania pewnych usług krajowi, za które jest płatny; w chwilach zaś wolnych od służby jest panem siebie i obraca je na co mu się podoba.

Organizacja taka pociąga za sobą bez wątpienia wiele niedogodności — wypływają z niej i nadużycia — lecz złe jest tylko chwilowe.

Gdyby zaś armja amerykańska zamienioną była w siłę stałą, zespoloną, jednolitą, porządnie uorganizowaną, ujętą w karby posłuszeństwa, despotyzm militarny stałby się niezawodnym wynikiem wojny domowej.

Rozumieją to dobrze Amerykanie i wolą cierpieć czasowo niesforność żołnierza pochodzącą z niekarności, niżeli ugiąć później karki pod ukartowanem wszechwładztwem jakiegoś opiekuna przy pałaszu, któryby do nich podczas sejmu zawołał:

— Hola mości panowie! oręż przed prawem...

III.

NOWY ORLEAN. — ŻÓŁTA FEBRA. — SMĘTARZ I MOGIŁY.

III.

Zbliżaliśmy się do Nowego Orleanu.

Żaden powiew wiatru nie ochładzał gorącego poranku; niebo było przezroczyste i niebieskie; wody w przystani zdawały się być emaljowane białemi żaglami drobnych statków, co podobne do ptaków morskich, krążyły pomiędzy wielkiemi okrętami, ponuremi i uśpionemi.

Zdala roztaczał się w kształcie łuku, którego cięciwę stanowiła rzeka Mississipi, Nowy Orlean, owa bogata metropolja Południa.

Kapitan chcąc się przypodobać podróżnym damom, dał znak, a nasz «Cincinnatus» począł zataczać w porcie różne koła i zygzaki, zanim podpłynął do brzegu. Korzystając z tej uprzejmości kapitańskiej, przypatrywałem się z różnych punktów miastu. Olbrzymie groble i tamy bronią ten gród i jego okolice od wylewu wód, które wszelakoż robiąc sobie niekiedy otwory, przerażają mieszkańców i grożą im zatopieniem.

«Cincinnatus» nie mogąc stanąć u samego brzegu, który przedstawiał las masztów, żagli i kominów tak, iż przybić do lądu było niepodobieństwem, zatrzymał się przy innym statku, będąc piątym z kolei. Zarzucono deski po nad poprzedzającemi go czterema i po tych dopiero wyszliśmy na ląd.

Potoczyłem wzrokiem do koła; ujrzałem się na obszernym placu przytykającym do rzeki, wyłożonym podłogą z tarcic, na której leżały stosy beczek, mających odbyć wędrówkę do

różnych części świata. Z przeciwnej strony placu rozchodziły się ulice.

Udałem się na jednę z głównych ulic, a widząc się wśród nieznanego kraju i obcych ludzi, rzekłem sobie: Help-your-self! i postąpiłem dalej, przypatrując się otaczającym mię przedmiotom.

Ale otóż jestem na placu Jackson'a, najpiękniej — jak mi powiadają — zabudowanym w całem mieście! W pośrodku mieści się ogród otoczony sztachetami, gdzie znajduje się konny posąg jenerała Jacksona, byłego prezydenta Unji i zdobywcy Nowego Orleanu, należącego niegdyś do Francji.

Na placu stało kilka dorożek zdobnych złoconemi bronzami, świadczących o zamiłowaniu w zbytku i okazałości Południowców. Wskoczyłem do jednej z nich, kazałem się obwieść po mieście, a następnie zatrzymać przed jaką tanią gospodą, gdziebym mógł nietylko nocleg przepędzić, ale i nająć sobie na miesiąc umeblowane mieszkanie. W czasie przejażdżki wyzwałem na gawędę obywatela woźnicę, który raczył mię tytułować swoim przyjacielem, a obydwa paliliśmy doskonałe cygara, prawdziwe Regina Flora, rodem z sąsiedniej Hawany.

Nowy Orlean, odległy o 18 mil polskich od morza i ujścia Missisipi, jest rozdzielony na dwie części przez szeroką, długą i prostą ulicę, Kanałem zwaną. Jedna część jest zamieszkałą przez Francuzów, którzy dotąd zachowali swój język i obyczaje, druga przez Amerykanów i Hiszpanów. Język angielski panuje w mieście. Liczy ono przeszło 100,000 mieszkańców, a ludność ta nie wzrasta wcale, lub przynajmniej bardzo powolnie, z powodu złego klimatu pochodzącego ze zbytecznych upałów w czasie lata, trwającego przez sześć miesięcy, tudzież zaraźliwych wyziewów z bagien. Wyziewy tu sprowadzają żółtą febrę, która czycha w powietrzu na nieszczęśliwe ofiary.

Zresztą miasto samo przez się nie przedstawia nic nader godnego uwagi. Pod względem wytworności nie może pójść w porównanie z Nowym Yorkiem. Mury tam, jak i wszędzie!... Ani ratusz, ani szkoły, ani pomniki, nie zachwyciły

mię wcale. Cechą Nowego Orleanu jest handel, podobnie jak wszystkich miast portowych. Porównać go można do wielkiego sklepu, otoczonego tragarzami i wózkami, do którego cisną się przychodnie, i gdzie kupczyki spieszą się z ważeniem, pakowaniem towarów i zgarnywaniem pieniędzy.

Najdrobniejsza moneta w Nowym Orleanie wynosi pięć centimów, czyli trzynaście groszy polskich!

Słońce się miało ku zachodowi, gdy strudzony wrażeniami dnia całego zdążałem do najętego mieszkania. Na jednej z szerokich ulic uderzył oko moje długi mur i wznoszące się po nad nim wspaniałe cyprysy. W pośrodku muru była umieszczona brama, a przy niej furtka. Popchnąłem tę ostatnią, wszedłem po za ogrodzenie i ujrzałem nagle nieznany mi widok. Byłem w mieście umarłych.

Wązkie a równoległe ulice, poprzecinane w szachownicę, zapełnione były po obu stronach grobowcami, stojącymi jeden przy drugim. Mirty, bukszpany, jałowce, rozmaite gorących krain krzewy, rozpinały się po kołumnach. Tam na mogile leżała pończoszka dziecięcia, owdzie rosły kwiaty troskliwą pielęgnowane ręką, i stało krzesło należące do osoby, co się rozstała z drogim przedmiotem na zawsze.

Napisy świadczyły, iż mnóstwo istot zostało przez chciwość i przez jej towarzyszkę zbrodnię wtrącone do grobu. Napisy te, rozumie się, nie najlepiej mię uprzedzały o bezpieczeństwie mieszkańców tej zamorskiej strony.

Nikogo z żyjących na smętarzu nie było. Usiadłem na ławie. Samotność, cisza, czerwone promienie zachodzącego słońca, owe kurhany, płaczące drzewa, ojczyzna w niewoli, to życie bez jutra, wszystko usposabiało do melancholicznych marzeń.

— Czy pan pozwoli usiąść przy sobie? ozwał się głos z za drzewa.

Przyzwoitej powierzchowności mężczyzna stał przedemną; usunąwszy się, zrobiłem mu miejsce.

— Pan zapewne cudzoziemiec? rzecze po chwili.

— Po części! odpowiedziałem.

— Przepraszam, ale w tej okoliczności, można być tylko całością.

— Jeżeli tak, jestem w całości Polakiem; lecz niech mi wolno będzie uważać mą naturalizację amerykańską za dodatkową, która nałożyła mi cząstkę cudzoziemczyzny. —

Następnie gawęda zwróciła się na politykę.

— Gdy — rzecze — wasz piękny kraj słowiański wolnym będzie, powrócisz do swojej ojczyzny?

— Możnaż mię o to pytać! Lecz kiedy to nastąpi? Dotąd mieliśmy sposobność ginąć za wolność, dobić się wolności odmówiły nam wyroki Nieba. Któż wie, jak długo jeszcze potrwają dni smutku i ciężkiej pokuty i czy ja się lepszych czasów doczekam!

— I na co ten jęk rozpaczy?...

— Rozpacz? — drobnostka, przelotne uczucie, stokroć znośniejsze od pragnienia.

— Nie trzeba nieszczęść brać do serca.

— Mamże być obojętnym! kościotrup tylko może nim być i milczeć. Siła życia i obojętność nie znoszą się wzajem.

— Ależ pozostaje nadzieja; cierpliwości trochę!...

— Nadzieja? — sidło na dobrodusznych. Cierpliwość? — hasło niewolników!...

— Czy pan długo tu jest na smętarzu? zapytał nieznajomy.

— Około godziny.

— Jako doktor, nie radziłbym dłużej tu zostawać i jeżeli łaska, proszę z sobą na przechadzkę. Cudzoziemca winienem objaśnić, że jeśli gdzie, to w Nowym Orleanie powietrze na smętarzach jest zabójcze dla zdrowia, gdyż nie można tu grzebać umarłych, trzebaby ich chyba topić. Trąć tylko łopatą w ziemię, a pokaże się woda! Z tego powodu ciała chowane są we framugach nadgrobków, które pan widzisz przed sobą, i zarażają powietrze. —

Po tej uwadze porzuciliśmy smętarz.

Mówiąc o nieboszczykach, nastręczyła mi się sposobność dowiedzenia się czegoś o żółtej febrze, która, jak wia-

domo, jest często plagą kolonji południowych. Wiele słyszałem o tej chorobie, lecz nie miałem nigdy jasnego o niej wyobrażenia. Na ten raz wiedziony instynktem ochrony, skwapliwie dopytywałem o jej szczegóły, a co się dowiedziałem, dosłownie opowiem.

— Przyroda zagniewawszy się raz na rodzaj ludzki, wydała, że tak powiem, potwora, na którego imię drżą najodważniejsi młodzieńcy krain podrównikowych. Potwór ten zowie się żółtą febrą.

Zjawia się on niespodzianie, podobnie jak cholera, mianowicie w czasie lata. Lubi napadać najczęściej na cudzoziemców niezaklimatyzowanych.

— Aj! Aj!...

— Wybiera ludzi czerstwych, rumianych i silnych — słowem smaczne i zdrowe kąski. —

Nie posiadając tych zalet odetchnąłem, a przypuszczając, że mię nie weźmie, z zimniejszą krwią słuchałem dalszego opowiadania.

— Przedewszystkiem obywatelu — rzekłem — powiedz mi jakie są widome oznaki choroby i sposoby jej leczenia — mniejsza o jej historję!

— Najprzód uczuwa się ból głowy, następnie okazuje się zsiniałość paznokci, żółtaczka na całej skórze i krwawe czarne wymioty, będące znakiem nadchodzącej śmierci.

Co do kuracji, doświadczenie pokazało, że nie ma żadnej na pewne skutecznej. Wypicie atoli zaraz w początkach znacznej dozy oliwy, przynajmniej kwarty, tudzież nieobfite krwi upuszczenie, nadto kąpiel z wywarem rośliny zwanej topolówką, sprawia niekiedy dobre skutki.

Na szczęście, zaraza o której mowa, podobnie jak się to dzieje z cholerą, z postępem czasu traci na swej sile. Dowodzą tego wykazy szpitalne z Hawany, Meksyku i Nowego Orleanu. W okolicach tego ostatniego miasta osuszenie w części bagien za pomocą kanałów, przyczyniło się już trochę do oczyszczenia powietrza; lecz trudno jest w naszym Stanie Luizjany wytępić krokodylów, aligatorów, węży różnego, rodzaju, podobnie jak trudno jest wytępić szczurów,

które wszystkie zdychają, gniją wśród spieki na trzęsawiskach i zatruwają atmosferę.

Cokolwiekbądź, nic nie jest w stanie zatrzymać żółtej febry. Nie uważa ona ani na młodość, ani na urodę, miłość i cnotę — nieubłagana, gdy się rozhula, za jednym zamachem zmiata wszystko ze świata, zarówno bogacza jak i biedaka, pana i jego niewolnika. Słowem, potrzeba jej istot ludzkich na pożarcie, a nigdy nie jest sytą. —

Widziałem sam w kilka lat później ową swawolę żółtej febry w Nowym Orleanie.

Gdy wieść rozeszła się w mieście o jej przybyciu, można było postrzedz przestrach na obliczach mieszkańców. Jeden drugiego zapytywał o nią cichaczem. Niepewność, czy wstąpiła tylko z odwiedzinami w przelocie, lub czy postanowiła zatrzymać się w murach miasta, niepokoiła umysły.

Za kilka dni obliczano już ofiary, które nagle znikły z tego padołu. Ludzie majętni a próżnujący, zaczęli spiesznie wynosić się z prowincji. Inni, przykuci do miejsca prac swoich przez poczucie obowiązku, nuż radzić nad wynalazkiem rozmaitych lekarstw, jakkolwiek napróżno!

Jeźli się chciało najzdrowszego przerazić, dosyć mu było powiedzieć: oj! coś mi wyglądasz bracie jak wyciśnięta cytryna ... oczy masz szafranowe...

Wszelakoż, dziwna rzecz, człowiek się przyzwyczaja i do nieszczęścia. Owa trwoga, co się objawiała z początku, zamiast wzrastać, w miarę jak bicz boży chłostał coraz mocniej grzesznych śmiertelników, zmniejszała się w stosunku odwrotnym i stawała mniej ogólną. Ludzie utrudzeni życiem pośród ciągłej niepewności o siebie samych, poczęli patrzeć spokojniej na grożące im niebezpieczeństwo. Byli i tacy, którzy sobie wytłomaczyli, iż każda godzina ich istnienia jest niespodzianką, i potrzeba ją spędzić najweselej, aby zagłuszyć smutne myśli w roskoszach, mających się stać odczynnikami trucizny.

Wtedy to zabawy, na chwilę przerwane, zaczęły się wznawiać. Słyszałem przechodniów dowcipkujących sobie z żółtej febry, wybierających z niej wzorki i naśmiewających

się jej pod nosem. Rozpoczęły się baliki, na których gorące kreolki hasały tem namiętniej, im mniej były pewne jutra. W toastach topiły gorycze, żartując sobie z zaprowadzonych towarzystw wstrzemięźliwości. Nie jedna z nich pochwycona przez chorobę podczas lubieżnego kadryla, nie miała czasu pożegnać się z tancującą w drugiej sali koleżanką.

Harfy brzmiały w szynkach i światła gorzały w oknach teatru, pod któremi toczyły się wózki unoszące trupów do wspólnego grobu.

IV.

CUKROWNIE. — MURZYNI. — PTASZEK PODRZEŹNIACZEM ZWANY (OISEAU-MOQUEUR).

IV.

Do największych ciekawości Luizjany należą bezwątpienia dwa przedmioty, nierozdzielne jeden od drugiego, to jest: cukrownie i czarni, wczoraj niewolnicy, dzisiaj obywatele. Postanowiłem ich odwiedzić. Doktor — znajomość zrobiona na smętarzu — ofiarował mi się za przewodnika, z całą uprzejmością jaką ludzie dobrze wychowani zwykli okazywać cudzoziemcom, co zawitali do ich świata.

Przedewszystkiem zapraszamy z sobą łaskawego czytelnika na śniadanie do hotelu St. Charles. Stanowi on szczególność w swoim rodzaju: można go nazwać pomnikiem kraju. Obejmuje okrągły dziedziniec, gdzie się schodzą co dnia spekulanci dla załatwiania interesów giełdowych; jest pokryty kopułą podobną do kościelnej. Zresztą giełda jest to świątynia amerykańska, z której krużganków wyglądają jak ćmy i puhacze lichwiarze miejscowi.

Gdy w dolnej marmurowej sali hotelu zakosztowaliśmy morskiego raka z musztardą, wzmocnili go befsztykiem i popili winem krajowem, pochodzącem z Cincinnati, zajrzeliśmy na korytarze budynku. Są to ulice wysłane kobiercami i mieszczące republikę cudzoziemców, zbiorowisko ze świata całego; przeszło tysiąc pokoi czeka na ich rozkazy.

Spółka amerykańska, aby ułatwić w tak obszernym gmachu porządek pod względem prędkiego i regularnego znoszenia się przybyłych gości ze służbą miejscową, wprowadziła w miejsce zwyczajnych dzwonków druty elektro-magnety-

czne. Za naciśnięciem guzika umieszczonego we framudze drzwi numeru, cyfra go oznaczająca na tablicy zawieszonej w przedsionku, zapada się z dźwiękiem, a tym sposobem oczy i słuch lokai są jednocześnie zawiadomione, że gość wymaga usługi.

W Ameryce nauka została zastosowaną do przemysłu: nawet w domach zajezdnych sznurki od dzwonków zastąpiono tam stosem Wolty!

Przed opuszczeniem gmachu wziąłem dziennik do ręki, jeden z tych, który należy do olbrzymiej liczby 3754 dzienników, wydawanych jednocześnie w Stanach Zjednoczonych. Nie mogłem się nie rozśmiać, rzuciwszy okiem na korespondencję prywatną Amerykaninów, niby tajemną a publiczną, datowaną z różnych części świata.

Oto jej próbki:

* * *

Wicusiu, nie kłopocz się więcej o twą połowicę! Gdy ujrzysz te wyrazy, ja już będę złączoną na wieki z jedynym człowiekiem, który mię zrozumiał i dla którego serce moje biło. Pozostawiając ci czworo naszych dziatek na wychowanie, chciałam ci dać uroczysty dowód szacunku, jakim przejętą jestem dla twej zacnej osoby. Miej staranie o tych niewiniątkach, wspominaj im o ich matce, i jeżeli rzeczywiście mię kochałeś, jak to lubiłeś często mi powtarzać, pociesz się drogi Wicusiu! Gdyż jestem w obecnej chwili o tyle szczęśliwą, o ile może nią być kobieta na tym padole, gdzie szczęście, niestety, tak jest rzadkie. P...

* * *

Do pana A. R. 3. 4. Żeby, aby, ale że ... więc proszę o rozwód.

* * *

Do jutra — w piątek — roztropność i tajemnica! I czyż mogłeś wątpić o mych uczuciach? Niewdzięczniku! Panna S... jest stara warjatka, sekutnica; jak ją obaczę, to ją uduszę. N. O. Gre...

* * *

Bawełna idzie w górę tam gdzie wiesz... Chwila działać! Będę w Bostonie za dni 10. Wypraw rzecz moją statkiem parowym. M. Meck...

Lecz bardziej od tej korespondencji prywatnej zajął mą uwagę dział p. t.: «Rozmaitości» gdzie wyczytałem dziesięć przykazań do zrobienia majątku, a mianowicie:

I.

Obierz sobie rodzaj zatrudnienia do którego jesteś najsposobniejszy.

II.

Dotrzymuj zawsze danego słowa.

III.

Cokolwiek robisz, rób z usilnością.

IV.

Nie używaj trunków.

V.

Spodziewaj się, nie polegając całkowicie na nadziei.

VI.

Centralizuj usiłowania.

VII.

Miej dobrych pomocników.

VIII.

Czyń jak najwięcej ogłoszeń.

IX.

Bądź oszczędnym, nie wydawaj na rzeczy niepotrzebne, aby ci na potrzebne stało.

X.

Rachuj tylko na siebie samego.

Z kolei rzeczy udaliśmy się ku rzece Mississipi. Ten sam ruch, zgiełk i wrzawa panowały w porcie, co i zawsze — jedne statki wysadzały na brzeg podróżnych, drugie ich zabierały. Popłynęliśmy do najbliższej plantacji za miastem.

Przedstawiała ona ogród przy rzece, gdzie oprócz trzciny cukrowej znajdowało się bogactwo nieznanych w podniebiu europejskiem krzewów pachnących.

Przy ogrodzie stała cukrownia. Zarówno w tej ostatniej, jako i po na zewnątrz, byli użyci do pracy wyłącznie sami murzyni. Dowodzono nam, że tylko czarni niewolnicy mogą pracować skutecznie, jakkolwiek z musu, około zbioru trzciny i fabrykacji, w klimacie trudnym dla rasy białej do zniesienia. Oklepane to twierdzenie zdało mi się być stronnem, interesownem i nie mającem podstawy. Słyszałem je później powtarzane w każdej okoliczności, ilekroć razy rozbierano kwestję murzyńską.

W cukrowni chciałem zgłębić wszystkie stopnie, przez które przechodzi roślina, nim zamieni się w oczyszczony płyn, a następnie w głowę białego cukru skrystalizowanego. Lecz aby tego dokonać, trzeba się było pierwej poświęcić chemji roślinnej i rękodzielnej; trzeba było za młodu nie myśleć o niebieskich migdałach, w czasie naukowego wykładu profesora Zdzitowieckiego w Warszawie. Zresztą cukier kolonialny nie wiele mię obchodził, gdym sobie wspomniał, że Polska ma swój własny, dobry, acz burakowy, a którego sposób wyrabiania jest pospolicie znany w kraju naszym. Nie będę zatem wchodził w szczegóły, jak trzcina jest najprzód kruszona pomiędzy dwoma walcami prostopadłymi, ani jakim sposobem sok z niej wyciśnięty jest, warzony potrójnie z popiołem i wapnem, które ulega rozkładowi za pomocą kwasu siarczanego, i t. d.

W czasie zbioru trzciny panuje w plantacji i na około zgiełk podobny do żniwa naszego. Gromada nagich murzynów, mających przepaski za całe odzienie, z kosami i widłami w ręku, zajętą jest zbiorem. Jednostajność ruchów tej schylonej masy czarnych ludzi dozwoliłaby ją wziąść za maszynę ożywioną, gdyby nie śpiew dziki wydobywający się nieustannie z jej łona.

Widzieć tam także można liczne grona murzynek, śpiewających takoż i niosących koszyki z pokarmem dla pracowników: mężów, ojców i braci.

Na prawo i na lewo słychać rżenie mułów, ryk wołów

i trzask biczy rozlegający się w powietrzu. A ponad tem wszystkiem widziałem dozorcę z twarzą białą choć ogorzałą, w słomianym szerokim kapeluszu, trzymającego batóg, ów termometr jego uczuć dla niewolnika.

Wstąpiliśmy do chatki murzyńskiej. Jedno miała okienko i jeden był wchód do niej. Nikogo w niej nie było oprócz ptaka w klatce, zwanego podrzeźniaczem (Oiseau-Moqueur). Zajął on więcej moją uwagę od trzciny, jako istota bardziej do człowieka zbliżona stworzeniem. Witaj mały niewolniku! Uchyliłem furteczkę jego więzienia, niby przypadkiem, ptaszyna uleciała do gajów rodzinnych.

Widziałem nakoniec z blizka tego sławnego piewcę, którego obyczaje tak umiał pochwycić naturalista amerykański, Audubon.

Gdy żartowniś, podrzeźniacz, zanuci wśród gajów Luizjany piosnkę romansową, Polak go słuchający przypomni sobie wieczorny świegot słowika i pozazdrości, że ów jego rodak malutki nie jest najpierwszym śpiewakiem na świecie.

Gdy kto dojrzy wśród liści na drzewie samicę żartownisia, cudowny obrazek zachwyci jego oko i porwie wyobraźnią: obaczy ptaszka, co lekki jak motyl, zatacza zwinne kręgi koło swej kochanki; to się wznosi, to opada, to znowu podlatuje, i z najeżonemi skrzydełkami, wzrokiem utopionym w przedmiot swej miłości, kłania mu się główką; a ile razy podfrunie ku niebu, nuci hymn radości.

Nie zaciąga on, jak słowik, długich, melancholicznych westchnień; zaczyna odrazu namiętną i silną piosenkę, której zmienia tony z łatwością przechodzącą pojęcie: naśladuje łagodny, usypiający szelest liści, śpiew czeczotki, szmer zefiru i strumyka, a ciągle fruwa i zatacza koła.

To dopiero początek.

Gdy już zajął miejsce na gałązce przy oblubienicy, zaczyna przegrywkę mniej świetną, ale miększą i tkliwszą. Potem pędzi na zwiady, plądruje okolicę, aby się zapewnić czy kto nań nie patrzy. Z odwrotem trzepocze skrzydełkami, lecz tak miarowo a swobodnie, lecz tak roskosznie, że zdaje się to być jego taniec weselny.

Następnie siada znowu przy swej towarzyszce i na zakończenie wielkiej melodramy wycina dziwną nutę, szczególne przejście muzyczne, parodjującą wszelkie melodje, gwary, świsty i wszystkie głosy ptasiej rodziny. Podrzeźnia kuropatwę, sowę; szydzi z gdakania kaczki i kury; naśmiewa się z wróbla i czyżyka.

Nakoniec dźwięk smętny, stłumiony, lubieżny, rodzaj cichego łkania wyrywa się z piersi samicy i pogrąża drobnego szydercę w milczeniu.

Po tych zalecankach oboje puszczają się w podróż w celu wyszukania miejsca i puchu na usłanie gniazdeczka, i znajdują to wszystko zazwyczaj w bliskości domu zamieszkałego przez ludzi, jakkolwiek są nader płochliwe.

Tu samica znosi pięć jajek, wysiaduje w ciągu dni piętnastu; przez cały ten czas podrzeźniacz nad nią czuwa, czaruje i pieści swem pieniem.

Wreszcie pisklęta ulatują — koncert skończony.

V.

NIEWOLNICY.

V.

Niewolnictwo między murzynami zawsze istniało w Afryce, jako instytucja miejscowa, patrjarchalna. Od czasu jak Europejczycy wtargnęli do owych dzieci pustyni o bronzowej skórze, grubych wargach i szerokich nozdrzach, rządzących się własną tradycją i wnieśli do nich zbytek, ukazując im nowe potrzeby: naczelnicy pokoleń afrykańskich zaczęli na czele siły zbrojnej czynić obławy na własnych braci i sprzedawać ich za morze; człowiek stał się dla nich monetą zdawkową.

Towar okazał się najzyskowniejszy w skutkach.

Traktaty późniejsze dla zniesienia niewolnictwa, zostały po części niestety martwą literą na papierze. Frymarka istniała jeźli nie wprost, to za pomocą zepsucia, jakie kupcy z Anglji, Francji, Hiszpanji, Niemiec wywierali na dzikich przez narzucanie im gorzałki, błyskotek, świecących materji, zwierciadeł, dzwonków, słowem wyrobów, bez których łatwo od wieków obchodzili się i nadal obchodzić się mogli.

Biały mekler przybywał do Gwinei albo Zangwebaru z wielkiem okrętem i zabierał gromadę czarnych nieszczęśliwców, zrobiwszy poprzednio przegląd ich szczegółowy, mianowicie pulsów i zębów, jakby w tabunie koni, i zapłaciwszy za sztukę po 40 piastrów czyli dolarów (400 Złp.).

Aby ich jak największą liczbę pomieścić na statku i zapobiedz wyskakiwaniu biedaków do morza, co często czynili

w chwili odpływania od zielonych brzegów ojczyzny swojej, mekler sadowił ich między dwoma pomostami, gdzie zapakowani o przeplatanych kolanach, musieli się mieścić, podobnie jak sardynki w puszce.

Jeźli okręt miał być naładowany murzynami należącymi do różnych właścicieli, piętnowano pierwszych rozpalonem żelazem, aby wiedziano do kogo towar należy.

Dla utrzymania czystości i uniknięcia zarazy, golono wszystkim ich kędzierzawe włosy, zarówno mężczyznom jako i kobietom. Oddalali się nieboracy ze swego kraju tak, jak się w nim narodzili: nago.

Do obiadu stawiano po dziesięciu przy jednym cebrzyku z ryżem, nie wchodząc w to, iż niektórzy z nich rodem z pewnych wysp, przyzwyczajeni byli nie do ryżu, ale do krokodyla dobrze opieprzonego. Żeby zaś porządek panował w jedzeniu i łatwiejszą była kontrola, dozorca dawał znaki: kiedy mieli zaczerpywać łyżkami pokarm w szaflíku, a kiedy do ust go ponieść było im dozwolono. Gdy który jeść nie chciał, zawiadamiano o tem kapitana, w celu przekonania się, czy to pochodzi z uporu lub słabości zdrowia i przedsięwzięcia stosownych środków na jedno lub drugie. Zdarzało się, że murzyni starali się rozmyślnie umrzeć śmiercią głodową. Ostatnich zmuszano kańczugiem do jedzenia.

Dwa razy na dzień murzyn był obowiązany umywać się słoną wodą, a trzy razy na tydzień płukać usta octem, co ranek wypić kieliszek wódki i palić fajkę dla zabezpieczenia się od szkorbutu. Czystość jest pierwszym artykułem prawa na statku; inaczej choroby, tyfus, wypleniłyby całą załogę, co się niekiedy zdarza na okrętach emigranckich.

Mekler, zazwyczaj chytry i doświadczony oszust, podobnie jak cygan, handlarz stadniny w Polsce, doskonale umie obliczyć ogromne lichwy z transportu niewolników, których zwykł przywozić do Brazylji lub do ulubionego swego punktu, Kuby. Opłaca tam zwykle na komorze celnej 8 piastrów, jako cło od każdej sztuki; a następnie nadaje towarowi ostatni polor, niby najlepszy rzemieślnik artysta. Służy mu do tego rozczyn z prochu strzelniczego i soku cytrynowego,

którym odświeża murzyna, nacierając jego skórę i czyniąc ją przez to gładszą i połyskliwszą, za pomocą potu sztucznie przyspieszonego.

Po dokonaniu tej operacji wymienia część niewolników żydom hiszpańskim w samejże Hawanie za cygara, resztę zaś przesyła do Nowego Orleanu jako kontrabandę, zważywszy, że do tego portu statek z niewolnikami przybywać nie może; co jednak nie przeszkadzało, aby targi na bazarach niewolnikami aż do czasu ostatniej wojny nie odbywały się tam — bywały one każdodziennie publicznie, pod pozorem, że ci czarni będąc dawniejszą własnością obywateli Rzeczypospolitej, nie ulegają prawnej kontroli.

W Nowym Orleanie podobnie jak wszędzie przyroda traktuje owe dzieci etjopskie, do czasu, dopóki się nie przerodzą przez żmięszanie z rasą białą, jak prawdziwa macocha, odmawiając im darów fizycznych. Są to zawsze niemal też same głowy czarne, nosy krótkie, wargi wystające jak ryjaki, cera oliwkowo-lśniąca. Zdawałoby się, że zawsze są brudni. Wszelakoż w tych co nie zostali skrzyżowani na mulatów, wszystko znamionuje, iż szczep ich wzmocnił się przy warunkach życia, których nie posiadali na ziemi będącej kolebką ich rodu. Negrowie czystej krwi, to jest kreole zrodzeni w Stanach Zjednoczonych, są w ogóle silniejsi ciałem od swych braci afrykańskich.

Pewien znakomity mówca Nowej Anglji, nazwiskiem Best, przepowiadając łączność dwóch ras nieprzyjaznych sobie, wyrzekł niedawno słowa następujące:

«Dosyć jest zgłębić prawdy etnologiczne w zastosowaniu, ażeby dostrzedz, że każda istota ludzka, jakiegoby nie była pochodzenia, zmienia się powoli pod wpływem naszego powietrza; i tak: Afrykanin bieleje, Kaukazczyk śniadzieje. Przyjdzie taki czas, gdzie trudno ich będzie rozeznać. To skojarzenie się, zlanie stopniowe, jest właśnie potrzebą dwóch ras dla ich ulepszenia. Do przymiotów wrodzonych Anglo-Amerykanina, jakoto: umysłu czynnego i przedsiębiorczego, wytrwałości i energji, dodawszy gorącość uczuć, tkliwość, cierpliwość i wiarę Afrykano-Amerykania, wystąpi

człowiek harmonijnie rozwinięty, najwznioślejszy, najwięcej zbliżony podobieństwem do Boga!»

Pomimo to, o przymiotach moralnych murzynów zbyt wiele mówiono i pisano na ich niekorzyść. Starano się przekonać, że mając czaszki i mózgi inaczej sformowane, na wzór orangutańskich, jako stworzenia od natury upośledzone i nieudolne, nie mogą stanąć na równi z Europejczykami.

Nie myślę bynajmniej wdawać się tu w rozbiór kranologicznych teorji — ale niech mi wolno będzie wyznać, iż szczycę się znajomością niektórych wolnych murzynów, których pojęcia i dążności towarzyszyły moim myślom i dążnościom, których widziałem w ważnej karjerze ich żywota. Barwa ich ciała stała się dla mnie rzeczą nader obojętną w obec piękności ich uczuć. Najczarniejsze zaprawdę dusze, jakie niestety napotykałem na mej ciernistej drodze, były obciągnięte w skórę białości niepokalanej.

Z drugiej strony podnoszono aż do przesytu jarzmo sprzedanych niewolników do Ameryki północnej, wystawiano ich głodnych, ciężko pracujących, a w dodatku bitych i męczonych. Rozwodzili się szeroko nad tem w romansach filantropijnych najczęściej ludzie, co nie widzieli tego z bliska, o czem wydawali zdanie. Wszlakoż cały ich dramat niknie dla podróżnego, gdy się zetknął na gruncie z rzeczywistymi jego aktorami.

Gdyby powstawano na zaniedbanie moralnej strony murzyna, zgadzam się na to — ale co do materjalnej, nie była ona zaistę gorszą od doli wieśniaków europejskich w średnich wiekach. Nie jeden z nich by jej nawet pozazdrościł.

Każdy niemal podróżnik, będąc zaproszony w gościnę w Nowym Orleanie przez kogoś, z którym się poznajomił w ciągu drogi, jest mimowolnie uderzony widokiem wesołych twarzy murzynek i mulatek, usługujących wśród biesiady. Zdawały mi się one być roskoszniejsze od naszych fartuszkowych panien. Ten ich uśmiech pełen słodyczy przy perłowych zębach, stanowiących sprzeczność z ogorzałą cerą, zwracał nieraz moją uwagę i skłaniał do wywołania o nich

rozmowy. Sam wolny od przesądów, wychodziec z kraju uciśnionego, broniłem bezwątpienia ile mogłem wolności, przed plantatorami. Dowodziłem im, że jak ludzie w ogóle nie są jednych usposobień, tak i oni nie mogą być wszyscy jednacy, zarówno dobrzy względem poddanych swoich, i że tem samem niewola jest złem przez się, jako zasada miejscowa, mogąca poddawać bliźnich pod kaprys, widzimisię, a częstokroć i krwawe nadużycia zwierzchnika.

Rozumowanie to wywołało pewien rodzaj zdziwienia na oblicza współbiesiadków. Damy spoglądały ukradkiem na me paznokcie, aby się zapewnić, czy nie jestem dalekim potomkiem czarnego rodu. Gdy się zaś przekonano, że nie mam najmniejszej skazy, ozwano się z uśmiechem w te słowa:

— Ach! jak pan jeszcze mało zna usposobienie obywateli naszych... Gdyby nawet powaga zwyczaju narodowego, wychowania, nie budziła w nas uczuć ludzkości, zmuszeni byśmy byli do tego przez poczucie własnego interesu. Wy Europejczycy, co tak się kochacie w wyścigach konnych i ulepszacie rasy czworonogich, czyż nie pielęgnujecie swoich zwierząt? czyliż je przeciążacie pracą? czy zużywacie ich zdrowie i siły przez niemiłosierne obchodzenie się z niemi? Bezwątpienia nie!... Niktby nie chciał marnować rozmyślnie swego kapitału. Wszak prawda? Otóż, kapitałem naszym są ludzie. Każdy z nich jest przedstawicielem wysokiej kwoty, dochodzącej do 1000 piastrów. Nasz majątek jest tego rodzaju, że wymaga od nas starań we wszystkich warunkach dobrobytu i hygieny — a tytuł własności wkłada na nas ciężkie obowiązki do wykonania, do którego nie zawsze inni dochodzą przez samo pojęcie ludzkości. —

Rozumowanie to było czysto-amerykańskie — interes i materja przedewszystkiem!

Po obiedzie udałem się z gospodarzem do ogrodu, w którym pracowali jego niewolnicy. Ciekawy, czy ci ostatni, jako użyci do ciężkich robót, byli równie weseli jak pokojówki w salonie; badałem ich postacie i śledziłem ruchy.

— Żaden z nich nie był ani razu bitym — rzecze dziedzic z dumą. Widzisz pan, jak jestem okrutnym dla mych poddanych; a teraz proszę przypatrzyć się im dobrze.

Zrozumiałem do czego zmierzał i z boleścią spostrzegłem, że mało wdzięczni niewolnicy za łaskawe obejście się z nimi, wykonywali pańszczyznę aby zbyć, leniwo, jakkolwiek w przytomności swego właściciela i drobrodzieja. Niewola nie rodzi miłości!

Gdyśmy zaszli do zagrody, gdzie niewiasty zajmowały się swoim wydziałem, i gdy mój przewodnik napominał je, że narażają go na ogromne straty przez niedbałą robociznę, odpowiadały mu grymasem i mruczeniem, w sposób, jak zwykły odgryzać się u nas służące staremu kawalerowi, co gdera i zrzędzi.

Lecz fakt ten przemawiał właśnie nie za utrzymaniem, ale za zniesieniem niewoli.

Najemnicy płatni, wiedzeni obawą postradania miejsca i bytu, godniejby się wywięzywali byli z włożonego i przyjętego przez nich obowiązku; gdy tymczasem niewolnika cieleśnie karać jest się zmuszonym, aby robił, lub patrzeć na jego próżniactwo — zawsze obustronne niedogodności, zawsze jedna z dwóch ostateczności: potrzeba bycia ofiarą lub katem! Myśl zresztą, że te poniżone istoty ludzkie działają z woli cudzej, a nie własnej, owa czynność zmuszona, bez nadziei, bez żądzy osobistej, podobna do ruchu kamienia młyńskiego, którym woda lub wiatr obraca — podobna do sołdata moskiewskiego, obracającego się jak maszyna — ów nakoniec brak rozwoju moralnego, to okaleczenie ducha, raniło me serce.

Na Południu, w gnieździe niewolnictwa, to się jeszcze da pojąć. Takoż, że w Stanach, gdzie została zniesiona niewola, panowie wywłaszczeni żałowali dawnego składu rzeczy, tłumaczą to do pewnego stopnia przesądy wychowania i wrodzona człowiekowi żądza władzy bez kontroli; lecz pojąć trudno, jaką tajemniczą siłą wcisnąć się zdołała niewola, jakby rodzaj przymierza religijnego, w serca tych demokratów Północy, którzy żyli zawsze pomiędzy ludźmi wolnymi — zkąd owe ślepe przywiązanie wielkiego stronnictwa do starej

instytucji, z której żadnej bezpośredniej nie ciągnęło i nie ciągnie korzyści?

Na Północy trwają po dziś dzień najokropniejsze uprzedzenia przeciw współbraciom o czarnej skórze. Wykluczenie ich z towarzystwa, unikanie, pogarda wewnętrzna zmięszana ze wstrętem, jest udziałem tych ofiar.

Widywałem je w teatrach, mieszczące się na paradysie w galerji odosobnionej, wyłącznie dla nich przeznaczonej — nie sprzedanoby im biletów na miejsca, gdzie zasiadać zwykli arystokraci w duchu, jaśni panowie, którym się zdaje, że ich cera piernikowa jest najpowabniejszą w świecie.

Murzyni mają także dla się oddzielne oberże, a na statkach parowych osobne stoły. Śmierć nawet nie równa ich z białymi; chowają ich na oddzielnych smętarzach. Zdaje się zapewne grabarzom, że i Twórca przygotował dla czarnych ogrodzone miejsca w niebiosach.

Widziałem synów zamożnych murzynów, którzy otrzymali wyborne wychowanie w Paryżu i Londynie, a za powrotem na ziemię rodzinną zmuszeni byli żyć pod pręgierzem przesądu. Pomimo to nie opuszczali kraju, nie unosili z niego swych bogactw i nabytego światła, ale nieśli je na usługi ziomków.

Widziałem i mulatów, co przez zmięszanie się z pokoleniem Jafeta, byli bielsi od najczystszych Hiszpanów — że zaś nie oddalili się jeszcze o cztery pokolenia od swych praojców i że pozostało w nich kilka kropel krwi czarnej, musieli podlegać artykułom tak zwanego kodeksu czarnego, skazującego ich na odosobnienie.

Temu, kto nie mieszkał w kolonjach, trudno jest wyobrazić sobie praktykę podobnej instytucji.

Murzyn zaprzedany w niewolę, rozrzewniał, nie zbyt dawno temu, w romansie pani Beecher-Stowe, serce yankesów Północy — rozkwilano się nad losem biednego wujaszka Toma; lecz gdyby ten sam miedziany Tom zawitał na mieszkanie do Pansylwanji naprzykład, lub do Nowego Jersej, nie puszczonoby go do przedsionku domu, w którym nie jedna piękna lady wylewała łzy gorące, czytając opowiadanie jego przygód.

Amerykanie wywalczyli wolność murzynów, jako doktrynę; przesąd atoli pozostał.

Niech pogodzi, kto może, te uderzające sprzeczności! Są one nazbyt częste w Stanach Unji, aby wątpić o nich lub policzyć je do wyjątków — spotyka się je tam prawie na każdym kroku. Szkicuję je tu takiemi, jakiemi są, nie sięgając do ich źródła, które zdaje się pochodzić z niejednolitości praw z obyczajami. Niejednolitość ta nie uderza krajowców — nic dziwnego, bo przywykli do niej — lecz wraża się w oczy cudzoziemca, chcącego zdać sobie sprawę z tego, na co pogląda.

Spodziewać się należy, że postęp cywilizacji z postępem czasu, sprzęgnie nakoniec różnorodne żywioły amerykańskie w harmonijną całość.

Co jest trudnem do wytłomaczenia, że plantatorowie zabronili aktem urzędowych postanowień krajowych, zawierania małżeństw między białymi a ludźmi podejrzanego koloru. Pogarda publiczna nie była dostateczną na ukaranie winnego, co ośmielił się przekroczyć ten zakaz despotyczny: pozbawiano go nadto praw obywatelstwa.

A jednakże mięszanie krwi byłoby najskuteczniejszym środkiem ulepszenia rasy obustronnie, jako też załatwienia najważniejszej kwestji społecznej.

Doświadczenie okazało, iż mulaci są sprężystsi i bystrzejszego umysłu od murzynów w ogóle. Za pomocą związków małżeńskich z białymi, w ciągu kilku pokoleń ród ich mógłby się udoskonalić. Lecz niech kto poda tę propozycję do wykonania, mianowicie emancypowanym damom, które z takim zapałem podnosiły najpierwsze głos za równouprawnieniem czarnych z białymi, czyż znajdą w sobie dość odwagi do potwierdzenia czynem przekonań swoich?... Wątpić o tem należy. Każda ładna kobieta jest arystokratką rodu; gdy zaś wdzięki jej nie są dość ćmiące, używa bielidła, kremów, ryżowych proszków i Bóg wie nie czego, dla podwyższenia swej krasy.

«Znałam — słowa pani Houstoun — pewnego Amerykanina, zamieszkałego w Nowym Orleanie, który idąc za popędem serca, czy też żądzy chciwości, postanowił ożenić

się z młodą, nadobną i najbogatszą w mieście dziedziczką. Ojciec jej był żydem a matka mulatką; oboje chętnie przystali na związek córki jedynaczki z młodzieńcem anglosaksońskiego plemienia. Ten, ażeby dopiąć swego zamiaru przez legalne zawarcie związku, powziął myśl zeznać w obec trybunału, że i on pochodzi ze szczepu mulatów; żeby zaś popełnić kłamstwo bez skrupułu, uprosił narzeczoną, iżby mu ofiarowała kropelkę krwi swojej — potem ranił własne ciało, nieocenioną kroplę lubej wpuścił do rany, a wtedy z czołem podniesionem wykonał przysięgę, że czarna krew płynie w jego żyłach — wziął ślub i wyjechał z małżonką do Europy, ażeby uniknąć upokorzeń w Stanach Zjednoczonych.»

VI.

BAZARY Z NIEWOLNIKAMI, ICH ŚPIEWY, MUZYKA I TAŃCE. KREOLKI.

VI.

Wyczytawszy anons w dzienniku orleańskim: «Le Croissant» udałem się do domu, gdzie sprzedawano niewolników. Wziąwszy kartę wnijścia od stojącego w bramie dozorcy, wstąpiłem do sali. Uszykowani w rzędy murzyni na pokaz, siedzieli na ławkach w milczeniu. Ubrani byli w świąteczne suknie, składające się z czarnej cywilnej odzieży, krochmalnych kołnierzyków sterczących im po uszy, i cylindrów, już to o małych, już o wielkich rondach. Niektórzy mieli i zegarki, od których breloki spadały im na brzuchy; a wszyscy zdawali się być obojętni, podobnie jak publiczność co patrzała na nich, szczebiocąc językiem francuzkim, angielskim i hiszpańskim.

Ale otóż zaczyna się licytacja na te zwierzęta dwónożne! Jedno z nich będące na skraju, powstało i wlazło na dno stojącej beczki. Krzykacz miejscowy, a zarazem komornik taksujący (przyjmowany, jak mi mówiono, w wyższej warstwie towarzystwa), zaczął obwoływać szybkim a donośnym głosem, z krotochfilną pantominą, zwyczajną formułkę:

«Mości panowie, schodźcie się!... Sześćset dolarów za «Józefa, którego przed sobą widzicie. Kto da więcej?... «Opatrujcie go; jest zdrów, młody, silny, pracowity, słowem «dziarski chłopak, a przytem kucharz zawołany — 650 do«larów — 700! — kto da więcej?!»...

W miarę, jak ochotnicy do kupna podbijali się w cenach, biedny murzym rzucał niespokojne spojrzenia na

ostatniego z licytantów, starając się wyczytać w jego obliczu, czy dobremu lub złemu panu dostanie się w udziale.

Wszedłem do drugiej sali. Same w niej były niewiasty, brunetki murzynki, szatynki i blondynki mulatki, które sprzedawano oddzielnie. Starsze wiekiem miały chustki na głowach, a młodsze włosy; im która była płci ciemniejszej, tem więcej jej kędzierzawe włosy odznaczały się szorstkością, podobną do grzywy, którą jednak starała się jak najzgrabniej ułożyć. Ich suknie dziwacznego kroju, były po większej części barwy jaskrawej. Niektóre z nich zdobiły się w fałszywe kamienie i szkiełka w tak znacznej liczbie, że można je było wsiąść za ruchome szyldy jubilerskie. Zapytałem jednę z tych ostatnich, jakie posiada najlepiej rzemiosło.

— Jestem szwaczką i praczką, rzekła. —

Miała lat szesnaście, lecz wyglądała na dwadzieścia. Ruchy jej oznaczały żywość charakteru i pewną śmiałość.

Jakiś wychudły jegomość stojący przy mnie, wpatrywał się tymczasem badawczo w oczy młodej dziewczyny z jasną twarzyczką, trzymając ją za rękę. Potem kazał sobie pokazać jej śnieżnej białości zęby. Wpatrywanie się jego atoli było niezwykłe.

— Ale pod warunkiem — rzecze po francuzku do faktora — iż mi ręczysz najzupełniej na nią.

— Mogę nawet złożyć kaucję — odpowiedział z uśmiechem ostatni. Będziesz pan zupełnie zadowolony z panny.

Jegomość dobył trzosa, wyliczył żądaną kwotę, wziął jakiś akt piśmienny i powiódł niewolnicę za sobą.

Targi podobne odbywały się codziennie w różnych bazarach, pod zasłoną prawa, w czasie mego pobytu w Nowym Orleanie, mieście chrześciańskiem, gdzie słowa apostolskie: «Vos omnes fratres estis!» nie stały się ciałem...

Z ogólnego poglądu mych przechadzek po mieście zauważyłem uszanowanie, jakie murzyn zwykł okazywać bliźniemu

o białej skórze, jakiejby nie był narodowości. Na chodniku ustępuje mu z drogi — zapytany o co, odpowiada uprzejmie — wśród ulicy zatrzymuje swój wózek, zostawiając przejście.

Lubiłem przysłuchiwać się śpiewom murzynów, które są najdobitniejszym wyrazem ich uczuć, podobnie jak wszystkich narodów uciemiężonych. Te ich śpiewy, muzyka, i naiwne, pisane ballady (areytos), noszą cechę tęsknoty, których słowa, zarówno jak i nuta budzą w słuchaczu, zwłaszcza w wygnańcu, żal za upłynionemi chwilami szczęścia jego młodości. Jeden z murzynów prześpiewuje zwykle strofę piosenki, głosem powolnym i jednostajnym; a inni chórem ją powtarzają.

Mają hymny, w których wynużają swa cierpienia i zgryzoty samemu tylko Bogu, nie oskarżając nigdy bliźniego o przyczynę takowych.

Jeden atoli, przytoczony poniżej, z ich śpiewów religijnych, niepokoił plantatorów, będąc niejako straszną wróżbą powstania niewolników:

«O Mojżeszu! — zstąp na ziemię egipską — i powiedz Faraonowi: — Odpuść lud mój!...

«Faraon puszcza się w pogoń. — Odpuść lud mój! — Faraon tonie z wojskiem. — Odpuść lud mój!...

«O Mojżeszu! — rozpostrzej twe ręce nad wodami. — Odpuść lud mój! — I nie zgiń na pustyni. — Odpuść lud mój!...

«Jest który mieszka w niebiosach. — Odpuść lud mój! — i co woła: — Odpuść lud mój!»...

Czułość murzyna na muzykę jest nadzwyczajną. Przysłuchując się jej, zapomina o sobie i o nędzy swojej. Gdy maszeruje wojsko przez ulicę z orkiestrą na czele, ujrzy się zawsze grono uradowanych czarnych, postępujących za niem. Wielu opuszcza na ten cel swe zatrudnienia, przewidując nawet za powrotem karę od zwierzchników.

Instrumentem ulubionym murzynów na południu Unji, jest rodzaj gitary o długiej rękojeści, banjo zwanej. Dźwięk jej poważny, smętny i miły, najlepiej odpowiada do wyrażenia ducha niewolnika, opiewającego brzegi Missisipi

w cieniu palm i bananów, wśród bogatej roślinności Luizjany.

Banjo wydaje dźwięki tak ponętne dla murzynów, iż posługiwano się niekiedy tym instrumentem w celu przynęcenia zbiegłego niewolnika i schwytania go, podobnie jak się chwyta ptaki na wabiki i sidła. Polujący czynił zasadzkę w lesie, gdzie zbieg się ukrywał, i grał na banjo melodję ulubioną przez czarnych. Dźwięki tej muzyki rozczulały zbiega, który pod jej urokiem zbliżał się do zasadzki, jakby przyciągany do niej siłą magnetyczną, dopóki nie padł ofiarą swej tkliwości serca i łatwowierności.

Zaszedłem raz do miejsca zabaw murzyńskich, aby się przypatrzyć tańcom. Po większej części uczęszczali na nie ci, którzy się wykupili na wolność od swych właścicieli.

Tańce w ogóle w Stanach Zjednoczonych nie mają typu, wdzięku i wyrazistości. Nie rozumieją purytanie anglosaksońscy, że warunkiem sztuki podnoszącej przedmiot do ideału, jest upoetyzowanie wyrazu uczuć i namiętności. Kaczucza n. p. hiszpańska obraża surową, za zbyt surową moralność amerykańskich whigów. W ich przekonaniu, mówiąc nawiasowo, arcydzieło starożytności, mistrzowska Wenus medycejska, jest posągiem niesforności, gdyż jej brak sukienki.

Jedyny taniec charakterystyczny, zwany bambula, można widzieć u murzynów, jakkolwiek jest on całkiem dziki, obrzydły, przedstawiający stronę bolesną i śmieszną życia człowieczego. Odbywa się przy zapalonem ognisku. Proszę sobie wyobrazić zapienione zwierzę, biegające w brudnej izbie na około jałowicy, wykręcającej się na miejscu jak opętana, przy mocnym brzęku banjo i zapalczywych a rozwiosłych śpiewach widzów — a będzie to obrazek tańca murzyńskiego.

Lecz wcale inaczej się rzecz ma z owemi czystemi, wyrodzonemi kreolkami, co przeszły czwarte pokolenia swej genealogji. Widząc je pierwszy raz na balu w świetnie urządzonym salonie, mimowolnie zawołałem do mego towarzysza: tak! to żyjąca zemsta na przesądne arystokratki, któreby nie puściły kreolki w progi swoje, choćby była bo-

gatszą od wszystkich razem Rothszyldów, bielszą od Polki i cnotliwszą od Penelopy!...

Kreolka dobrze to rozumie, mści się też okropnie za doznane upokorzenia na owych paniach, porywając im w swe sieci mężów, braci i narzeczonych. Kreolka będąc najpiękniejszą kobietą na świecie, wie o tem na nieszczęście, a z powodu pychy arystokratek, staje się ich najzawziętszą rywalką. Wydziera im nie tylko mężów, ale i rujnuje majątki. Całe okręty z towarami yankesów toną we wdziękach kreolek. Nie ma nic dość pięknego, kosztownego i wystarczającego dla dziewczyny z żółtawego marmuru, gdy się uweźmie pokryć swą płeć brylantami, złotem i jedwabiem, oskubanym ze swej nieprzyjaciołki.

Ale bo też proszę ją widzieć wijącą się w tańcu. Ileż tam szatańskiego wdzięku! Spojrzyj na nią i radzę ci, uciekaj, jeźli nie chesz przeniewierzyć się kochance.

Przypominam sobie, że w roku 1863, w parę lat po powrocie z Ameryki, będąc w Ostendzie, przypatrywałem się w gronie Polek tańcującym cudzoziemkom. Nagle postrzegam między niemi dystyngowanej powierzchowności kobietę w pląsach, na którą wszystkich zwracają się oczy. Od razu rozpoznałem w niej namiętną kreolkę południowego nieba, rasy hiszpańskiej, z iskrzącemi oczyma, zmieniającemi kolor i uśmiechającemi się na pół otwartemi usty, zkąd wyglądały zalotnie dwa rzędy pereł, gorącem otoczone tchnieniem.

Kreolka przybyła z za morza, aby krwią swoją zaimponować córeczkom chłodnego Albjonu, zjeżdżającym się corocznie do Ostendy.

Sąsiadka moja i właścicielka domu, w którym od niejakiego czasu mieszkałem w Nowym Orleanie, była właśnie kreolką, do tego wyspiarką rodem z Hawany. Nie znalazłszy jeszcze w mieście stałego zatrudnienia o które się starałem, nudziłem się ogromnie; wyspiarkę widywałem często na balkonie, postanowiłem się więc z nią poznajomić.

Pewnego razu posłałem jej kartę przez niewolnicę i zostałem przyjęty — szczęśliwy śmiertelnik.

Salon jej, na pierwszy rzut oka, zdawał mi się za nadto wiele mieścić w sobie bronzów — trąciło to coś składem lamp i żyrandoli o kryształowych świecidłach — pomimo to dosyć był ze smakiem ozdobiony.

Przy kanapie stała gitara oparta o poręcz, obok stał fotel na pałąkach do hustania się, pośród rozrzuconych na kobiercu dzienników. Na tarasie przed oknami pierwszego piętra, wychodzącemi na ulicę z wiecznie zapuszczonemi żaluzjami, urządzoną była ocieniona altanka z ogródkiem pełnym wonnego kwiecia; i z pośród ciemnych kaktusów wyglądała jasna Psyche, dająca szczutka motylowi, co jej usiadł na ramieniu. Jaki salon, taka pani.

Pani ta domu, spoczywająca w altanie w białym szlafroku i w żółtych pantoflach, z papugą na kolanach, powitała mię dość miłym uśmiechem, a podawszy wedle zwyczaju wachlarz z liścia palmowego, wskazała na stołek. Byliśmy sami.

Zająłem miejsce u stóp mej gosposi i mimowolnie spojrzałem na jej pantofelki. Komplement był wprawdzie zupełnie w guście południowym, lecz pomimo to drobne nóżki skryły się pod suknię.

Rozmowa nasza zaraz od początku była wolną od tuzinkowych grzeczności i od pogody; toczyła się ona o dalekich krajach, o literaturze francuzkiej, z wyjątkiem medytacji Lamartina; zastąpili go: Balzac i Aleksander Dumas. Pani była wesołą dnia tego, ja też nie byłem Serafinem.

Zapomniałem na chwilę o owych osobistych smutkach, które zazwyczaj postępują jak chmury za emigrantem. Nie chciało mi się odejść, ale że była pierwsza, frakowa, po południu wizyta, wypadało pożegnać nadobną kreolkę; co też i uczyniłem. Przed odejściem zostałem zaproszony nazajutrz na wieczór, lecz nie mogłem służyć, mając gdzieindziej się udać.

Zdarzenie mieć chciało, że właśnie dnia następnego zaszedłem do sąsiedniego domu, aby odwiedzić pewnego Amerykanina z rodziny kwakierskiej, któremu byłem polecony listem od jego przyjaciela z Cincinnati. Działo się to porą

wieczorową. Zastałem tam kilku podżyłych mężczyzn przy zielonym stoliku.

Zaledwie przybyłem, gdy dzwonek w przedpokoju zabrzęczał nagle.

— A! a! otóż pastor albo gubernator ... rzecze gospodarz. —

Oczekujemy w milczeniu, słuchamy. Drzwi się otwierają, słychać frufru sukni kobiecej, służący zwiastuje panię C.... Młoda osoba zjawia się w salonie, robi zgrabny ukłon, a otrzymawszy wzajemny, siada na próżnej kanapie; gdy tymczasem goście spoglądając po sobie, zdają się pytać jeden drugiego o słowo zagadki, i przedłużają grę swoją.

Znowu zadzwoniono.

Na ten raz dwie damy! Jedna z nich pokaźna, stąpa pysznie, posuwistym krokiem, w żałobie w leciuchne fałdy, w świetnej koronkowej żałobie, nieco może za szerokiej, zdobna perłami wplecionemi w krucze włosy, co jej były do twarzy; słowem wdówka, ciepła wdówka, co wystrzega się opłakiwać straty nieboszczyka, przez obawę czerwoności oczów.

Natrętny dzwonek jeszcze się odzywa; salon się napełnia. Gospodarz widocznie zafrasowany tym nieoczekiwanym napływem żeńskich piękności, otwiera usta, żeby coś wyrzec, gdy jedna z pań wchodzących woła: Cóż to?... jeszcze nie tańczą?... Poczciwe kreolki!...

Na ten wyraz kwakier zarumienił się po uszy i zamrużył oczy.

— Panie, rzecze jąkając się, u kogo być sądzą?...

— Oto bilety łaskawco!

— Bilety?... z przeproszeniem ... jakie bilety?...

— Rozumie się, z zaprosinami. —

I wymawiając te słowa, jedna z dam przedstawia kartę niebieską, złoconą, z napisem: «Pani S... ma zaszczyt, i t. d.»

— Wszak tutaj N°. ...?

— Tak, lecz osoba mieszka w sąsiednim domu.

— Tem lepiej! tem lepiej! zawołał chórem orszak nie-

wieści, i po zalotnych a na pół szyderskich ukłonach, znikł chichocząc, opuściwszy kwakra w zapachu pozostawionej po sobie woni pachnideł. —

Poważny i surowy kwakier, jak artykuł z «Czasu», zmarszczył brwi gdyby Jowisz Olimpu, i byłby wytoczył proces mej gospodyni, jeśliby się nie był przekonał, że jedynie omyłka litografa stała się sprawczynią wszystkiego złego.

Charakterystyką kreolek, tak różniących się powierzchownością od innych kobiet, są czarne, podłóżne oczy, w wydatnej oprawie, ocienione długą rzęsą, gęste włosy i usta Putyfary. Wdzięki ich odznaczają się także przez zwinne a zaniedbane ruchy, głos powolny, dźwięczny i miły. W ogóle jakiś pociąg wydziela się z ich nadobnych postaci, jak zapach z kwiatu. Kreolka jest doskonalszą kobietą, jako ciało i ułożenie, od innych niewiast pierworodnej, nie skrzyżowanej rasy.

Zresztą, dobra i ujmująca dla wszystkich, kocha nadewszystko dzieci swoje. Opatrzona darem przenikliwości, nie lubi niczego się uczyć; wrodzone jej lenistwo stoi na równi z pojętnością. Umarłaby biedaczka z głodu, gdyby się nią nie zajmowano; nie troszczy się ona bowiem o byt materjalny, jak ptaszyna, co nie orze ani sieje; zdaje się jej, że aby żyć, dosyć jest urodzić się. Złoty wiek dla niej, gdy słodko spoczywa, podczas skwarnego upału, na pół rozciągnięta w kaimaku, to jest w łóżku wiszącem z białego płótna, rozpiętem między drzewami, w ogrodzie urządzonym na sposób indyjski. Twarz jej jest wtedy nacechowana wdziękiem miękkości i melancholji jej właściwej, o której nie ma się wyobrażenia pod niebem europejskiem.

Jedynem staraniem kreolki, oprócz pielęgnowania dziatwy, jest zachowanie w świeżości płci swojej. Zamknięta najczęściej w mieszkaniu, wychodzi na przechadzkę tylko wieczorem, gdy tchnienie nocy ochładza ziemię; a i wtedy

nawet bóciki z kitajki są dla niej za ciężkie. W dzień ujrzysz ją u siebie w rękawiczkach, z policzkami i rękoma natartemi pomadą (cold-cream), której warstwa zabezpiecza jej skórę od wpływu powietrza i czyni ją delikatniejszą.

Najmniej zalotna z kreolek nie może się obejść bez pudru: natrzepuje nim twarz, szyję, i piersi, kilka razy na dobę; pozbawiona tej mączki uważałaby się za najnieszczęśliwszą na świecie. Nic nie jest dla niej potrzebniejsze, podobnie jak dla wszystkich kobiet w ogóle, nad to co jest zbyteczne. Gdy chce wyjść z domu, pociąga lekko części ciała napudrowane jak najcieńszą chusteczką batystową, aby zetrzyć zbyt widoczne ślady krochmalu; pozostawia go atoli tyle, iżby cera jej była jednaką, i nie połyskliwą.

Zresztą, nie farbuje ona brwi i włosów; nie puszcza kropel do ócz swoich, aby je uczynić wyrazistrzemi, błyszczącemi i łzawemi; ani też ich ołówkuje, żeby je optycznie przedłużyć i opasać zajmującym błękitem, nie różuje także ust swoich; co wszystko zwykły robić damy europejskie — gdyż wie, że i bez tego jest ładna.

Kreolki, oddać im słuszność potrzeba, w ciele sułtanek mieszczą i przymioty prawdziwych sióstr miłosierdzia. W Nowym Orleanie, zwanym smętarzem Ameryki, poświęcenie ich, w niesieniu pomocy chorym dotkniętym żółtą febrą, jest wyższe nad wszelkie pochwały. Są to najczynniejsze istoty w czasie epidemji. Zasługują one na wdzięczność przyjaciół ludzkości. Starania ich dla cierpiących są zupełnie bezinteresowne; nie szczędzą dla nich swych trudów, świadcząc dobro dla dobra samego.

Cudzoziemcy znajdują w nich opiekę matki i pociechę anioła. Nie chce się wtedy im umierać, ażeby módz je kochać. Nikt lepiej od kreolki nie umie się znaleźć przy łóżku chorego; każda z nich jest rzeczywistym, z powołania, acz nie patentowanym, lekarzem.

Gdyby kobiety znały wpływ jaki mogą wywierać, byłyby dumne i nie starałyby się ukrywać wysokich przymiotów swoich. Lecz ujmują one sobie częstokroć wiele, w chęci

wydania się uroczemi, powabniejszemi. Nie lubią prawdy i usiłują narzucać krynolinę na swój umysł i serce, tak jak ją noszą na ciele.

Przedstawicielka niewiast sławiańskich Łada (ładna), jest wyższą od Wenus greckiej, bo ma serce przeźroczyste!...

VII.

JESZCZE O NIEWOLNIKACH. PRZEMYTNICY.

VII.

Wspominałem już, że do Nowego Orleanu statki z niewolnikami przybywać nie mogą — jest to najsurowiej zabronione prawem. Dla tego, ileż kontrabandziści nie używają wybiegów w celu obejścia tego prawa i wysadzenia na ląd żywego towaru swego! Ci spekulanci obrachowali, że jeżeli stracą sposobem konfiskaty, lub jakimkolwiek innym trzy statki z ładunkiem, a z czwartym zdołają szczęśliwie dostać się do miejsca przeznaczenia, ten wynagrodzi sowicie poniesione szkody.

Ależ chciwość zysku pociąga za sobą mnóstwo haniebnych nadużyć!... Zdarzało się niejednokrotnie, że kapitan przemytników, obaczywszy zdala na Oceanie korwetę wojenną, a nie mogąc wedle zwyczaju umknąć przed nią, pewny, że będąc pojmany na uczynku, zostanie powieszony, kazał spychać do morza murzynów, aby nie wpaść w ręce władzy z dowodem zbrodni.

Handel niewolnikami podniósł oszustwo, przebiegłość i dowcip wykrętów w chwilach niebezpieczeństwa, do tego stopnia, że nawet żółta febra odgrywała w nich czasami niepospolitą rolę.

Oto przykład, który się zamienił w podanie miejscowe:

Pewnego poranku o świcie, dwużaglowy okręcik, lekki jak kaczka na wodzie, naładowany paręset murzynami na sprzedaż, pruł wody Atlantyku. Nagle jeden z majtków postawiony na czatach, spostrzega przed sobą z wysokości

masztu, za pomocą lunety, fregatę angielską o wystrzał armatni. Na widok tego strasznego nieprzyjaciela, związanego traktatem z innemi mocarstwami przeciw liwerantom ciał ludzkich, herszt tych ostatnich potoczył wzrokiem na wzburzone żywioły, jakby chciał przyzwać larwy piekielne na pomoc; potem zatarł ręce radośnie i rzekł do czeladki:

— Bądźcie spokojni, dzieci! Zamknąć wszystkich czarnych zaraz z częścią załogi pod pokładem, jak myszy. Niechaj nikt nie ośmieli się wychylić łba na zjawienie się kota! —

Potem rozkazał zamienić wszystko w nieład na pomoście swego okrętu, ażeby mu nadać cechę opuszczonego; ludziom zaś co pozostali na wierzchu posmarować twarz, szyję i ręce szafranem — co i sam uczynił.

Zaledwie operacja uskutecznioną została, już jej wykonawców postrzegł sternik fregaty i wysłał łódź kanonierską, pod dowództwem oficera angielskiego, dla zbadania podejrzanego statku.

Herszt czekał z zimną krwią na jej spotkanie, a gdy się zbliżyła, zawołał płaczliwie, chwiejąc się na nogach:

— Niebo was tu zsyła!

— I cóż takiego? pyta oficer.

— Okropność ... byliśmy w Hawanie ... straszliwa zaraza, mój ekwipaż zdziesiątkowany. Na Boga! przyślijcie świeżego pokarmu dla chorych .., miłosierdzia! —

W tej chwili majtkowie pochylili deskę zaczepioną u kraju burty; ciężar leżący na niej, owinięty w płótno pociągnięte żywicą, zsunął się wolno, plusnął na wodzie i tonąc znikł w głębinie.

Herszt otarł łzę i westchnął boleśnie, wznosząc ręce ku niebu.

— Przebóg! co się u was dzieje? ... zawołał oficer, który będąc niepokojony niespodziewanym widokiem, począł nos sobie zatykać.

— To mój syn, nieborak, zgasł dzisiejszego ranku — a taki był zuch chłopak!... Idź kochanie, idź jedyna pociecho, czekać mię na dnie topieli...

Nastąpiła chwila milczenia.

— Wszak żądałeś kapitanie, abym ci coś przysłał, rzecze znowu oficer, zatykając sobie nos coraz mocniej.

— Świeżego pokarmu, co najświeższego, jarzyn!

— Dobrze, dobrze! odpowie przybyły, spiesząc się aby jak najprędzej uciec od zapowietrzonego. —

I wrócił do swoich.

Nie mając on chęci przenieść zarazy pomiędzy zdrową załogę, popłynął co tchu dalej, zapomniawszy o dopełnieniu obietnicy; co jednak nie przeszkadzało szajce przekupniów po odegraniu komedji do wychylania roztruchanów araku za powodzenie żółcizny.

Z wydaniem odezwy z dnia 1. stycznia 1863. roku, przez prezydenta Abrahama Lincolna, ustały przecież krwawe nadużycia z murzynami. Stawszy się obywatelami, mają oni dziś swą ojczyznę, i odtąd obowiązkiem ich jest bronić praw swoich, ażeby nie wpaść na nowo do niewoli. Dzieło wyswobodzenia miljonów ludzi znajdujących się w Stanach separatystowskich, oczekiwane z trwogą od tak dawna, jest wydarzeniem historycznem nader wielkiej wagi. Stany: Wirginja, Karolina, Georgja, Florida, Mississipi, Alabama, Luizjana, Arkansas, Teksas, dziś całkowicie wolne! Prezydent obywatel Lincoln, z władzą przywiązaną do swego urzędu główno-dowodzącego siłą zbrojną lądową i morską, nie zachwiał się przed owem wielkiem dziełem odkupienia, które przedstawiało tyle niebezpieczeństw, odwołując się z szlachetną prostotą, będącą cechą jego charakteru, do: «sądu spokojnego ludzkości» i przyzywając «łaski Wszechmocnego.»

Szczególniejszy zbieg okoliczności! W tym samym Nowym Orleanie, gdzie było główne separatystów siedlisko, zkąd ich fatalne instytucje rozchodziły się do Kuby, Meksyku, i Rzeczypospolitych u międzymorza, tam właśnie, jakby za

karę odwiecznej Sprawiedliwości, poczęło się dzieło wyswobodzenia 100,000 negrów Luizjany, zanim się rozpostarło do wnętrza Unji. Negrzy ci, wzmacniając garnizon wojsk Butlera, mieli obowiązek czuwania nad rokoszanami, którym niegdyś służyli.

«To nie republikanie — słowa jenerała Banksa — wywołali ruch, lecz plantatorzy sami, i oni właśnie przez bunt przyspieszyli powstanie, niemożebne do wykonania dla kogo innego.» Dodać tu można: zmarnieli, bo chcieli!

Mędrsi wszakże z nich, byli najpierwszymi do zrobienia ustępstw dla dobra ludzkości i podpisali akt wyswobodzenia niewolników. Ci stawszy się robotnikami płatnymi, zaczęli ubiegać się o pracę, czego czynić przed tem nie mieli zwyczaju — i tym sposobem zadowalniali najzupełniej swoich dawnych panów.

Ale znaczniejsza liczba ostatnich upierała się silnie i z niesłychaną zuchwałością, pod naczelnictwem Jeffersona Dawisa, przy starej instytucji. Dawis ogłosił w słowach tchnących szyderstwem, wyjęcie z pod prawa wszystkich murzynów służących w wojsku związkowem, zarówno żołnierzy jak oficerów; a na odezwę Prezydenta odpowiedział groźbą rzezi.

I groźba ta została po części w czyn wprowadzoną. Podczas bitwy pod Murfreesborough, konnica skonfederowanych gerilasów rozstrzeliwała, bez żadnej formy sądowej, czarnych, schwytanych na pociągu kolei żelaznej, przeznaczonym do przewożenia armji związkowej; tych zaś, co pojmano na rzece Cumberland, na statku parowym należącym do Unji, biczowano naprzód, a następnie przywiązanych do drzew pozostawiono na śmierć głodową. Na głowę główno-dowodzącego Butlera nałożono cenę. W dzienniku najwięcej upowszechnionym na Południu «Charleston Mercury» codziennie wychodziły anonsa, iż niejaki Ryszard Yeadon obiecuje nagrodę w kwocie 10,000 dolarów temu, ktoby sprzątnął ze świata jenerała. Panny zaś najlepszego tonu ubiegały się o wysoki zaszczyt skręcenia sznurka na jego gardło, gdyby został żywcem ujęty.

W końcu stycznia 1863. roku murzyni postąpili z biegiem rzeki St. Mary we Florydzie daleko wyżej, niżeli pułki federacyjne Północy ośmieliłyby się to uczynić o własnych siłach; a spotkawszy się tam w równej sile z separatystami, otrzymali zwycięztwo nad pułkiem ostatnich. Jako znamiona tego zwycięztwa przynieśli z sobą do Port-Royal łańcuchy, dyby i obróże żelazne, mające służyć do przyczepiania ich do pręgierza. Sprowadzili także wszystkich współbraci, których spotkali na plantacjach, a którzy wcielili się z radością do nowych pułków, organizowanych sposobem konskrypcji przez jenerała Huntera.

Wedle świadectw jenerała Saxtona i pułkownika Higginsona, dowodzących murzynami, jakoteż znanego mi jenerała Karge, rodaka naszego, murzyni dali dowody zaparcia się siebie, idąc na rozkaz oficerów bez wahania się w najniebezpieczniejsze miejsca, nawet tam, gdzie potrzeba było toczyć walkę nie tylko z ludźmi, ale i z żywiołami przyrody — trudne zadanie, z którego sami żołnierze czysto amerykańscy nie wywiązaliby się byli z łatwością. Czuli murzyni, że naród amerykański ma na nich zwrócone oczy i bili się mężniej od samychże Amerykanów.

To się da zrozumieć. Gdy Amerykanie z północy prowadzili wojnę o konstytucję, przedmiot abstrakcyjny, murzyni przelewali krew za wolność swoją, wolność swoich rodzin i rasy swojej; nieśli na pole walki namiętność i zapał.

W Luizjanie trzy pułki czarnych nie mniej dobrze się odznaczały, jako i pierwszy ich pułk w Karolinie południowej. Na nieszczęście jenerał Banks popełnił nieroztropność, że nie sformował oddzielnych legjonów z murzynów. Gdyby oni wszyscy byli tylko prostymi żołnierzami, oględność ta możeby nie była potrzebną, gdyż i bez niej byliby cierpieni bez szemrania przez wojska z Północy; lecz między czarnymi i mulatami znajdowali się tacy, którzy otrymali stopnie oficerskie i którym wedle hierarchji wojskowej, jako wyższym od żołnierzy białych, należały się oznaki uszanowania dyscyplinarnego od ostatnich. Ci zaś wychowani

w pogardzie przeciw plemieniu afrykańskiemu, nie mogli znieść ich wyższości i uciekali się często do środków gwałtownych dla okazania im wstrętu.

Niektórzy nawet pułkownicy i jenerałowie odgrażali się wzięciem dymisji; jeżeli pułki czarne postępować będą obok ich pułków. Jeden z nich oznajmił, iż woli być zwyciężonym na czele białych, a niżeli zwycięzcą z czarnymi.

Murzyni wszakże, obrońcy Unji, oddawali usługi ludziom sobie zawistnym. Przyjdzie on czas, że Stany Zjednoczone zmuszone będą przyjmować z wdzięcznością ich pomoc.

Tu i owdzie robiono zarzuty, że niewolnicy nie zrobili sami u siebie powstania, mając ku temu sposobność? Natura ludzka jest tak dziwną, iż wielu z tych, którzy czynili im ów zarzut, bez wątpienia przeklinaliby ich, gdyby powstać się ośmielili.

Cokolwiek bądź, powstanie ogólne niewolników było rzeczą prawie niepodobną do uskutecznienia. W Stanach buntowniczych liczba ich była o $\frac{1}{3}$ część mniejszą od liczby białych. W roku 1860 oficerowie delegowani do zrobienia wykazów statystycznych jedenastu Stanów separatystowskich, podają 5,449,463 dusz ludności białej; a 3,521,110 niewolników (61 i 39 na 100).

Z drugiej strony, zważyć potrzeba, że biali zgromadzali się w miastach i na innych punktach; gdy niewolnicy byli rozproszeni po wsiach. Pierwsi mieli wprawę do użycia broni; łączyła ich jednolitość żądz, solidarność wspólnego interesu, a nadewszystko dojrzała nauka, zdolność do organizacji i rządu, słowem, tyle danych, na których biednym murzynom zbywało. Prostaczkowie ci mający od powicia tępione poczucie własnej woli, nie umiejący wypowiedzieć swych potrzeb, zostający pod ciągłym nadzorem i prawem nieukazywania się na ulicach po godzinie ósmej wieczorem, i niewydalania się po za granice plantacji bez paszportu, pod karą bicza, pręgierza lub wysyłki na wygnanie w odległe strony, zajęci pracą, zbydlęceni służbą, nie

mieli czasu ani ochoty do spiskowania, którego wynikiem byłaby dla nich niechybnie — szubienica.

Smutne doświadczenie nauczyło ich zresztą, że nie tylko wszelkie ich niegdyś usiłowania w celu wywołania powstania miejscowego, ale nawet oporu dla swych panów, były bez wyjątku najsurowiej karane.

Ażeby lepiej zrozumieć zachowanie się spokojne niewolników na Południu, potrzeba i to wziąść na uwagę, że murzyni amerykańscy są niemal wszyscy zagorzałymi zwolennikami chrześcianizmu, posuniętego do zabobonu; nauczono ich tłómaczyć sobie dosłownie tekst Ewangelji, nakazujący posłuszeństwo bierne; tekst ten przez niektórych pastorów płatnych od dziedziców, jest im wykładany na korzyść ostatnich. Pozbawieni przyjaciół na ziemi, czczą tem naiwniej Przyjaciela, którego się spodziewają znaleźć w niebiosach, pozostawiając karę sądowi ostatecznemu; nic nie myśląc sami o zemście — unikają tylko o ile mogą tych, co im krzywdę wyrządzili. Rezygnacja ich jest podobną do owej, jaką byli przejęci nowo-nawróceni pierwsi męczennicy chrześciańscy lub Hugonoci, dozwalający się mordować.

Plantatorowie z ich rezygnacji robili nawet spekulację pieniężną; mieli bowiem zwyczaj taksować o 200 dolarów więcej od zwykłej ceny niewolnika, którego wiara dowiodła do zupełnego zaparcia się siebie wśród niedoli.

Lecz gdyby tym samym, nie dawno zrezygnowanym, a dziś wolnym, starano się na nowo włożyć kaganiec, wątpić należy, żeby poddali się temu bez szemrania. Mamy straszny fakt historyczny przed oczyma: rzeź w St. Domingo. Odbyła się ona w dziesięć lat po zdjętych pętach z niewolników, gdy im powtórnie narzucić chciano takowe.

Obecnie, każdy murzyn amerykański umie, jak pacierz, dotyczącą go odezwę Lincolna, i czci pamięć jego, jako Jozuego zwiastującego ziemię obiecaną. Odezwa ta rozeszła się z szybkością niesłychaną po wszystkich krańcach

ziemi, gdzie niewola jeszcze istnieje; tak dalece nieszczęśliwi byli tą odezwą zajęci.

Plantatorzy brazylijscy i z wyspy Kuby czyliż zrozumieli, iż jedyny ich ratunek mieści się w oswobodzeniu niewolników? Zaprawdę, życzyć im należy, aby pospieszali z dziełem wyswobodzenia.

VIII.

SKŁAD RZĄDU W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

VIII.

Niedogodności pochodzące z usiłowań do uczynienia Stanów Unji niezależnymi, złączonymi jedynie w celu obrony i pomocy wzajemnej w razie potrzeby, doprowadziły do zaniechania dawnych artykułów prawa konfederacyjnego, a przyjęcia nowej konstytucji federacyjnej. W myśl tej konstytucyi rząd obecny ma obowiązek czuwania nad sprawami dotyczącemi ogółu związku; Stanom zaś pojedyńczym i ich urzędom jest pozostawioną władza załatwiania spraw miejscowych.

Rząd dzieli się na trzy kategorje: 1) na władzę wykonawczą, 2) prawodawczą, 3) sądową.

1) Władza wykonawcza jest powierzoną prezydentowi i wice-prezydentowi, wybranym na lat cztery przez ciało wyborców, większością głosów.

Każdy Stan odbywa na ten cel sejm, jednocześnie z sejmami innych Stanów i wedle własnej ustawy. Sporządzone listy kandydatów oddzielnie na prezydenta i wice-prezydenta, wraz z oznaczeniem liczby wotów na każdego po szczególe, są podpisane przez wyborców i przesłane opieczętowane prezesowi senatu. Ten otwiera je i rachuje w obecności kongresu, złożonego z dwóch Izb: senatorskiej i poselskiej.

Prezydent obejmujący władzę, składa uroczyście przysięgę na utrzymanie i bronienie konstytucji washingtońskiej z 1787 roku.

W razie nieprzyjęcia posady, śmierci, dymisji, lub nieudolności prezydenta, wice-prezydent po nim następuje z prawa; gdyby zaś obydwóch brakło, kongres nominuje natychmiast pełniącego obowiązki do chwili, dopóki drugi formalny wybór nie nastąpi.

Gdyby wybór ogólny nie udał się, z powodu niedostatku żądanej większości głosów, wtedy Izba posłów wybiera prezydenta z trzech kandydatów posiadających najwięcej kresek za sobą. Lecz w tym razie każdy Stan przez jeden głos tylko przedstawionym być może, jakaby nie była liczba jego reprezentantów.

Prezydent, podobnie jak każdy urzędnik, może być zrucony z posady za: zdradę, przedajność i inne zbrodnie lub występki. Jest on główno-dowodzącym siłą zbrojną lądową i morską, jakoteż milicjami, jeźli te są powołane do służby czynnej pod rząd związkowy.

Opierając się na radzie i ze zgodą senatu zawiera traktaty, mianuje ambasadorów, ministrów, konsulów i sędziów najwyższej instancji. Pobiera pensji 25,000 dolarów rocznie (pensja wice-prezydenta wynosi 8,000 dolarów). Wszelkie rozporządzenia kongresu winny mu być podawane do podpisu, aby nabrały powagi i mocy prawa; a w przeciągu dni 10, wyraźnie dziesięciu (nie rachując niedzieli), licząc od daty podania, jest mocen zwrócić Izbie przedstawiającej jej projekt z wyłuszczeniem zarzutów. Jeżeli po powtórnem przejrzeniu projekt jest potwierdzony przez dwie trzecie wotów, wyrazem: tak, zostaje przesłany do drugiej Izby łącznie z zarzutami prezydenta, gdzie rozpatrzony na nowo, jeżeli otrzyma także dwie trzecie części wotów za sobą, staje się zasadniczem prawem.

Prezydent winien być obywatelem Stanów Zjednoczonych z urodzenia — mieć najmniej trzydzieści pięć lat wieku — i przemieszkiwać od czternastu lat w kraju.

Ma on przy sobie gabinet, złożony z sekretarza Stanu, do którego należą sprawy zagraniczne, i z sześciu innych sekretarzy czyli ministrów, mianowicie: finansów, spraw wewnętrznych, marynarki, wojny, sprawiedliwości i komunikacji. Wszyscy mianowani przez niego, są utwierdzeni w urzędach

przez senat. Gdy ten nie zasiada, nominacje prezydenta są uważane za tymczasowe.

Ministrowie amerykańscy nie mając żadnego głosu na kongresie, mogą się tylko porozumiewać z nim piśmiennie (zkąd pochodzi zwłoka na czasie); nie występują nigdy z debatami publicznie, a tem samem nie wpływają na rozwój kwestji, jak to się dzieje w innych narodach. Prezydent zakrywa ich swemi skrzydłami, będąc za nich odpowiedzialny. Są to tylko jego przyboczni doradcy. Można ich porównać do wyroczni orzekających w ciemnościach swojego biura; do delikatnych kwiatów, któreby nie wytrzymały piekącego słońca forum.

Pensja roczna każdego wynosi 8,000 dolarów.

2) Ciało prawodawcze narodowe mieści się w kongresie.

Rozdział ciała prawodawczego na dwie Izby działające oddzielnie, jest to instytucja nader przezorna; lecz pozwalam sobie uczynić tu uwagę, że senat amerykański jest za zbyt słaby, aby módz oprzeć się w pewnych razach gwałtownym namiętnościom ludowym, gdyż nie stanowi ciała oddzielnego a zupełnie niezależnego. Senatorowie czerpiący swą władzę z tego samego źródła, co i poselska izba, na czas ograniczony; których wybór nie opiera się na własności; zmuszeni są częstokroć mówić i działać jednomyślnie z Izbą niższą.

Prezydent i senat są więc w działaniach swoich ścieśnieni przez ławę ludową. Idea dyktatury przestrasza Amerykanów, niemniej jak despotyzmu wojskowego. Żołnierzowi nie będącemu na służbie, zabroniono pokazywać się na ulicy przy broni. Siła zbrojna składa się w czasie pokoju z małej liczby dobrze płatnych ochotników. W roku 1860 cała armja wynosiła 16,000 żołnierzy wraz z oficerami. Potrzeba wysokich cnót do utrzymania takiego republikanizmu. Lecz trudne jest urządzenie lepszej konstytucji — nie ma doskonałości bezwzględnej na ziemi — zawsze w rzeczach ludzkich widzimy, że tak powiem, dwie strony medalu — promienie i cienie!... Na słońcu nawet są plamy!..

Senat obejmuje po dwóch członków z każdego Stanu, wybranych na czas lat sześciu, według porcedury miejscowej i w taki sposób, że trzecia jego część zmienia się co dwa lata. Wice-prezydent piastuje ex-officio urząd prezesa senatu; w jego nieobecności senatorowie wybierają prezesa pro tempore. Każdemu z nich służy tylko jeden głos.

Senator powinien mieć najmniej lat trzydzieści, być od dziewięciu lat obywatelem Unji, i w chwili jego wyboru mieszkać w Stanie, który go na godność wynosi. Senat sam tylko i to pod przysięgą może sądzić osoby oskarżone przez Izbę posłów, chociażby nawet prezydenta. W tym ostatnim razie dwie trzecie głosów są przeważne do wydania wyroku. Atoli wyrok ów jest mocen jedynie pozbawić posady; o karze zaś, jeźli ta winna mieć miejsce, orzekają trybunały zwyczajne.

Izba poselska składa się z członków wybranych na dwa lata. Poseł obowiązany jest mieć lat dwadzieścia pięć, być obywatelem od siedmiu lat i w chwili wyboru mieszkać w Stanie który go wybiera. Liczba posłów na kongres ogranicza się do 233 i jest rozdzieloną pomiędzy Stany w stosunku do liczby ludności wolnej. Do tej należą i tacy, którzy się zobowiązali do służby jakiegokolwiek rodzaju na pewną liczbę lat. Każdy z posłów jest przedstawicielem 30,000 dusz; a każdy Stan ma prawo mieć najmniej jednego reprezentanta.

Terytorja złożone z nowo tworzących się kolonji, co nie są jeszcze uznane za Stany, lecz przechodzą nowicjat zanim dojdą do dojrzałości politycznej, mogą wysyłać na kongres delegowanych, którym dozwolono brać udział w rozprawach, lecz nie wolno wotować.

Izba poselska wybiera sobie sama prezydującego, mowców i sekretarzy, jakoteż utrzymuje dziennik obrad, który ogłasza od czasu do czasu, z wyjątkiem tego, co uzna za potrzebę utrzymania w tajemnicy; wydala nadto z grona swego członka osądzonego większością dwóch trzecich części głosów. Jej tylko służy prawo przedstawiania senatowi aktu oskarżenia za przestępstwa polityczne i wotowania budżetu.

Członkowie senatu i Izby niższej są płatni zarówno po 6,000 dolarów. Pobierają nadto pewne kwoty na koszta podróży, w stosunku do odległości ich rezydencji od stolicy.

Posiedzenia regularne kongresu rozpoczynają się corocznie w pierwszy poniedziałek grudniowy; lecz prezydent ma prawo zwołać Izby na posiedzenie nadzwyczajne, gdy tego zachodzi potrzeba, jakoteż odroczyć sejm jeźli Izby się nie zgadzają.

Posłowie zmieniają się po dwu latach trwania każdego kongresu.

Kongres stanowi podatki, jednakowe wszędzie, pożyczki; bije monetę odpowiednią monecie przyjętej w świecie, sądzi i karze korsarzy, wypowiada wojnę, wyznacza nabór, utrzymuje siłę zbrojną, zawiera umowy handlowe z krajami cudzoziemskiemi, Indjanami, i t. d.

Kongres nie jest mocen wprowadzić nowej religji, ani tamować wolności wyznań, wolności słowa i druku, zabraniać spokojnych zgromadzeń ludowych, tudzież zbiorowych podań do rządu.

Senator ani poseł nie może być pod żadnym pozorem uwięzionym w epoce trwania jego czynności, ani w drodze na kongres, ani w chwili obradowania, ani w podróży z powrotem do domu, wyjąwszy za zdradę, bunt i zamięszanie spokoju publicznego. Nie odpowiada on za zdanie swoje wyrażone w Izbie; ale nie wolno mu piastować jednocześnie innego urzędu. Wszystkie zdolności i prace winien poświęcić na usługi kraju.

3) Władza sądowa mieści się w sądzie najwyższej instancji z sędzią naczelnym pobierającym pensji 6,500 dolarów i z ośmiu asesorami płatnymi po 6,000 dolarów, zamianowanymi dożywotnie (jeżeli ich złe postępowanie w przyszłości nie stanie temu na przeszkodzie) przez prezydenta, za zezwoleniem senatu.

Do tej władzy sądowej odnoszą się działania dotyczące konstytucji, praw Unji i traktatów; zdarzenia obchodzące ambasadorów, ministrów za granicą, konsulów i admiralicję; spory i zajścia między obywatelami jednego Stanu a

drugiego, lub też pomiędzy Stanem Unji a państwem cudzoziemskiem, jego obywatelami, albo poddanymi, i t. d.

Sąd najwyższy roztrzyga ostatecznie apelacje od sądów obwodowych.

Stany Zjednoczone są podzielone na dziewięć obwodów sądowniczych, które z kolei rzeczy roztrząsają wyroki pięćdziesięciu sądów powiatowych, tak w sprawach cywilnych jako i kryminalnych.

Oprócz tego istnieje oddzielny wydział sądowy (court of claims), odbywający swe posiedzenia w Capitolium w Washingtonie. Obowiązkiem tego wydziału jest niesienie pomocy kongresowi, przez załatwianie mnóstwa sporów prywatnych, które nie mając barwy politycznej, a nosząc cechę wyjątkową, nie dadzą się podciągnąć pod juryzdykcję żadnego trybunału.

Prawo obrony sądowej służy adwokatom, obowiązanym złożyć egzamen. W roku 1860 liczba ich wynosiła 28,000; a dochód ich był oszacowany w ogóle na 28,000,000 dolarów.

Wszelkie zbrodnie, z wyjątkiem zdrady stanu, powinny być orzeczone na miejscu przez przysięgłych.

Sąd przysięgłych składa się z dwunastu osób; jednogłosność wszystkich jest niezbędną; nie mogą oni wyjść na obiad przed skończeniem sprawy. Lecz jednogłosność ich, podobnie jak w prawie angielskiem, zarówno winna mieć miejsce co do obwinienia, jak i co do uniewinnienia. Ztąd wynika, że sprawa niekiedy po kilka razy jest wnoszoną, w razie niejedności zdań sędziów przysięgłych.

Prezydentowi służy prawo łaski, z wyjątkiem za zdradę i przeniewierzenie się; atoli gdyby ośmielił sie pokryć swą łaską winowajcę, na którym ciężą nieusprawiedliwione zarzuty, lud rzuciłby się na więzienie dla wydobycia i powieszenia tego winowajcy. Takie wypadki zdarzały się niejednokrotnie, dając powód do zamieszania w miastach.

Żaden tytuł szlachectwa nie może być nadany w posiadłościach Stanów amerykańskich i nikt z urzędników nie ma przyjąć bez zezwolenia kongresu podarunków, płacy, urzędu, ani tytułu od króla, księcia, lub rządu zagranicznego.

Prawo gminowładcze dozwalając ludowi nosić broń, nie ma być zgwałcone. Żołnierze nie powinni kwaterować w czasie pokoju u mieszkańców, jeźli ci się na to nie zgadzają, ani nawet w czasie wojny, chyba w sposób przepisany oddzielną ustawą.

Osoby, mieszkania i papiery obywateli nie będą naruszone bez wyraźnego rozkazu z powodów słusznych, pod rękojmią przysięgi — a rozkaz ów winien podrobnie wskazywać miejsce ulegające poszukiwaniu, jakoteż osoby i przedmioty mające być zatrzymane.

Nikt nie poniesie kary za zbrodnię bez sądu przysięgłych. Od tego są wyjęci wojskowi lądowi i morscy, tudzież milicjanci, gdy zostają w służbie czynnej, w razie wojny, lub niebezpieczeństwa zagrażającego krajowi. Nikt nie może być skazany dwa razy za jedno i toż samo przestępstwo — ani być zmuszany do zeznań przeciw sobie — ani pozbawiony życia, wolności, lub majątku, bez formalnego na to wyroku.

W procesie kryminalnym obwinony używa swobód: prędkiego przy otwartych drzwiach orzeczenia przez obywateli przysięgłych, bezstronnych, w Stanie i powiecie gdzie zbrodnia popełnioną została — objaśnienia o naturze i przyczynach ozkarżenia — zażądania świadków z przeciwnej strony — postawienia świadków we własnej obronie — znalezienia pomocy w radzie — nie bycia skazanyn na kaucję zbyteczną, ani na zamknięcie zbyteczne, ani na opłaty zbyteczne; ani skrzywdzonym karą tchnącą okrucieństwem.

Własności prywatne nie mają być zajęte na użytek powszechny, bez sprawiedliwego wynagrodzenia właścicieli.

Zdrada przeciwko Stanom Zjednoczonym zawiera się jędynie w powstaniu przeciw nim z orężem, jak nie mniej w skojarzeniu się z ich nieprzyjaciołmi, przez udzielanie im pomocy. Kongres tylko wyłącznie — jak o tem powyżej mówiliśmy — naznacza karę dla zdrajców; lecz skutki wyroku nikną z życiem winowajcy.

Obżałowani, uciekający z jednego Stanu do drugiego, w celu uchronienia się przed sprawiedliwością, będą wydani na żądanie władzy wykonawczej Stanu, do którego należą.

Indywidua zobowiązane do służby lub pracy, stosownie do ustawy miejscowej, będą także wydane w razie ucieczki na żądanie tego, któremu są dłużne swoją służbę lub pracę.

Nowe Stany mogą być wcielone do Unji przez postanowienie kongresu.

Stanom po szczególe zostawia się możność zaprowadzenia u siebie najwłaściwszego składu rządu cząstkowego, prawodawstwa municypalnego, administracji, postępowania przy wyborach, mianowania urzędników miejscowych, i t. d. Konstytucja wymaga tylko, aby wszystko to odbywało się odpowiednio do ducha zasady republikańskiej i aby pojedyńcze kodeksa były w zgodzie z ogółem postanowień Unji.

Kongres ma moc rozporządzania wedle woli swojej terytorjami i innemi własnościami Stanów Zjednoczonych; rządcy i ich pomocnicy w terytorjach uorganizowanych odbierają nominacje od prezydenta.

Kwestja niewoli, przedmiot tak długich waśni, została uregulowaną aktem kongresu z dnia 20. czerwca 1862. roku, który zakazuje na zawsze służbę zmuszoną, oprócz gdy ta następuje za karę. Widzimy ztąd, że odezwy emancypacyjnej Lincolna nie podyktował głos stronniczej osobistości; zgadzała się ona z życzeniem narodu i z ogółem aktów władzy prawodawczej.

IX.

RODAK JENERAŁ KARGE.

IX.

Wspomniawszy o instytucjach i niewolnictwie amerykańskiem, nie od rzeczy będzie zrobić tu ramki dla postaci ziomka naszego, Józefa Karge, który idąc wzorem Kościuszków i Puławskich, ważną odegrał rolę na widowni ostatniej wojny Stanów Zjednoczonych.

Józef Karge jest synem włościanina z W. Księstwa Poznańskiego, z czem bynajmniej się nie taił. Urodził się w Olędrach terespołoskich pod Opalenicą; w Warszawie pobierał nauki. W roku 1848 walczył przeciw wrogom Polski; następnie ciężkie wytrwał więzienie w Poczdamie; potem, przenosząc tułactwo nad niewolę, opuścił Ojczyznę i przybył na wygnanie zwane Emigracją.

Otóż i rys pierwszej epoki żywota dzielnego młodziana!

Kraj i życie wychodźca dostarczyłyby bez wątpienia obfitej do rozwoju treści. Wygnańcy nasi noszą w sobie nieocenione zapasy materjałów do dziejów narodowych. Daj Boże! abyśmy kiedyś obaczyli karty ich wielkiej kroniki: kroniki czasów bohaterskich jak za Argonautów; czasów awanturniczych, jak za średnich wieków; czasów krwawych, jak na początku chrześciaństwa. Łatwość z jaką wychodzą dziś nasze książki, zachęty i podniety jakich narodowa publiczność nie szczędzi polskim pisarzom, dostateczną są ku temu rękojmią.

Józef Karge widząc świat stary owładnięty przez despotyzm świecki i duchowny, postanowił zostać wolnym obywatelem kraju wolnego. Z tą myślą, pomimo szczupłych

funduszów na jakie się mógł zdobyć, przypłynął do Ameryki i przystąpił do naturalizacji. Ciężkie zaiste były początkowe jego przejścia, podobnie jak każdego człowieka torującego sobie drogę o własnych siłach na obczyznie; straszne, choć ciche dzieje, które tylko może zrozumieć ten, kto rzeczywiście Chrystusa nosi w sercu.

Z tem wszystkiem, Karge z potęgą sobie wrodzoną, nadzieją gorącej duszy i wytrwałością, znosił bez szemrania cierpienia, jakiemi los zawistny go doświadczał, gotując się do wyższych przeznaczeń.

Zdarzenie mieć chciało, iż poznajomił się on na pociągu kolei żelaznej z wdową po pewnym pastorze amerykańskim, jeźli pamięć mię nie zawodzi. Osoba ta została ujętą jego zajmującą powierzchownością, pojęła nadto wysokie przymioty objawiające się w rodaku naszym; a potem, gdy strudzony walką życia niebezpiecznie zachorował, rozciągnęła nad nim opiekę zupełną. Karge przyszedłszy do zdrowia, złączył się z nią węzłem małżeńskim.

Byłem świadkiem, jak następnie umysłową pracą w pocie czoła zarabiał na chleb powszedni. Mieszkając po za obrębem Nowego Jorku, codziennie przybywał do instytutu założonego przez siebie w mieście i sam w nim wykładał nauki chłopcom w języku angielskim i francuzkim. Szwagier jego, jeden ze znakomitszych adwokatów miejscowych, stał mu się pomocnym w przedsięwziętym zawodzie przez liczne swe stosunki, tem snadniej, że w Stanach Zjednoczonych edukacja młodzieży odbywa się po większej części w zakładach prywatnych.

Karge pozyskał sobie wkrótce w nowej Ojczyznie przychylność współobywateli, a tem samem i zaufanie rządu.

Skoro wybuchła walka pomiędzy północnemi a południowemi Stanami Unji, sformował on szwadron konnicy i stanął jako rotmistrz na jego czele po stronie republikan. Cztery lata bił się za sprawę, którą uważał za świętą, a w nagrodę licznych znojów i ran, otrzymał stopień jenerała brygady, oraz naczelnictwo nad południowym okręgiem Missisipi, jakoteż najwyższą władzę sądowniczą nad rzeczonym okręgiem.

Główną kwaterą jenerała było miasto Natchez. Z punktu tego są datowane dwa jego listy nadesłane do Polski; pierwszy skreślony do brata, drugi do proboszcza z opalenicy, oba z litografowanym nadpisem, który na pierwszym brzmi: «Head-Quarters Post and Forces of Natchez», to jest: Główna kwatera komendantury placu i sił zbrojnych w Natchez; na drugim zaś: «Head-Quarters United States Forces, Natchez.» Główna kwatera sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych w Natchez.

Oba ta listy pełne uczuć szlachetnych, odznaczają się nadto, co nam miło nadmienić i czystą, piękną polszczyzną. Jenerał Karge, aczkolwiek przywykły do huku armat i szczęku broni na polu bitwy, czuje się nieszczęśliwym, ilekroć przychodzi mu skazać na śmierć obżałowanego o zdradę i bunt «więźnia stanu;» wtedy serce mu się zakrwawia. Ale przy tem jest on głęboko przekonany o słuszności sprawy, której się poświęcił; dziękuje Stwórcy, że zgniecioną została «hydra obrzydliwego niewolnictwa,» że «ugięte zostały dumne karki handlarzy istotami ludzkiemi.»

Lecz co dla nas ważniejsza, co wyżej go podnosi w opinji rodaków, niż wszelkie stopnie i zaszczyty, acz chlubne i zasłużone, to jego przywiązanie do kraju przodków, do rodziny, do swoich; owa święta miłość ojczyzny, która nie pozwala dobrze myślącemu Polakowi przylgnąć całkowicie do obcego narodu, przeistoczyć się na cudzoziemca, niedołężnego cudzoziemca, jak czynią wychodźcy innych ludów; ale zawsze każe mu być Polakiem, i czy nędza go gniecie, czy szczęścia błyszczy mu zorza, tęskni za drogą ziemią ucisku.

Bo też smutny, zaprawdę, przedstawia widok Polak wynarodowiony. Narody są jako struny na lutni: każda wydaje właściwy sobie dźwięk w ogólnym koncercie. Chcieć zerwać jednę z takich strun, jest to targnąć się na arcydzieło Zasady Zasad. Polak wynarodowiony pozbywa się zazwyczaj cnót i przymiotów, wyssanych, że tak powiem, z mlekiem macierzyńskiem, a brak mu dość siły do nabycia i ugruntowania się w obcych: najczęściej zdobywa tylko błędy i przywary cudze; łamie język własny, albo go się zapiera; a nie-

zdolny władać jak należy innym językiem! Słowem, jest to jakieś dziwadło, ciało wyjątkowe, niewyraźne, nie dające się oznaczyć, szczęśliwe jak kamień bez zapachu, koloru i smaku; jakaś istota bezkształtna, stojąca w przedsionku, którą szatani Dantego się brzydzą i nie chcą puścić do piekła.

Pokazuje się, że natura ludzka ma swoje prawa; że człowiek zawsze i wszędzie nosi znamię pyłu z którego powstał; że nie może go się pozbyć bezkarnie; i że trudno jest zostać prawdziwym kosmopolitą, podobnie jak trudno być ateistą.

Cześć Tobie obywatelu Karge, jako i wszystkim mężom, co nie zstąpili z wytkniętej im przez Opatrzność drogi!...

X.

KANTOR I BELFERKA.

X.

W poglądach moich wśród wycieczek po Ameryce, nie zwracałem silnie uwagi na drobne szczegóły, bo to nie jest w mojej naturze. Zazwyczaj gdy patrzę na wielki budynek, uderza mię przedewszystkiem proporcja w jego rozmiarach, harmonja w rozkładzie filarów, łuków architektonicznych, lekkość, śmiałość budowy, słowem piękność gmachu w ogóle — niezdolny zaś jestem na pierwszy rzut oka powiedzieć, z jakich cegiełek lub z jakiego marmuru się składa; są li na nim szczerby albo skazy.

Za przybyciem do nowego lądu, wpatrywałem się raczej w główne podstawy ustroju społeczeństwa tamecznego, aniżeli w zwyczaje, wady i usterki wspólne narodom cywilizowanym; niżeli w drobne obrazki przyrody, narysowane przez mnóstwo szczęśliwych turystów, którym ani brak czasu, ani żadna myśl cierpka nie zakłócała roskoszy obcowania z niemi. Jak lekarz, chcący zbadać organizm człowieka, maca go po żyłach, tak ja starałem się dotknąć wydatnych pulsów towarzystwa w pośród którego żyłem, aby rozpoznać jego typ, siłę, twórczość, potęgę i zdrowie.

Obeznawszy się nieco z prawami kraju, z jego niebem i kolorytem, wypadało w końcu pomyśleć i o sobie — o chlebie na dzień jutrzejszy, niestety! gdyż pugilares mój, nabytek na rodzinnej ziemi, cieńczał razem ze mną; a trudno było karmić się ambrozją: na niczyją też pomoc liczyć nie mogłem.

Wreszcie, nie pracując nigdy na siebie, nie oczyściwszy się jeszcze dostatecznie, jak to mówią, przez ogień i wodę z przesądów i nałogów kasty, w której odebrałem w młodości wychowanie, zdawało mi się, że należy do dobrego tonu nic nie robić; wstydziłem się zwierzyć znajomej kreolce, a nawet poczciwemu kwakrowi, iż zmuszony jestem po mych przygodach zaprządz się do roboty.

Z drugiej strony, wiedziałem, że protekcje nie wiele pomogą w narodzie wolnym; że ojcu nie łatwo tam przychodzi protegować własnego syna, wyjąwszy przy szczęśliwym zbiegu okoliczności; że na owym wielkim świecie, gdzie wszystko jest przystępne dla każdego wśród pełnego rozwoju stosunków publicznych, pozostaje tylko obrachować się ze zdolnościami, uzbroić w hart duszy, rozpuścić samemu skrzydła i szukać zajęcia.

Znowu «Help your-self» przyszło mi na pamięć.

Przyznam się, że myśl pracy dla dziecka szlacheckiego nie bardzo jest przyjemną. Wałęsałem się po ulicach Nowego Orleanu w celu wyszukania dla się takowej; lecz jakiś żal wewnętrzny cisnął me serce, dziwny a gorzki żal, niby istoty uprzywilejowanej, do ludzi, jak gdyby oni byli obowiązani pracować na mnie, a ja karmić się jak truteń owocami ich znoju; żal, wyrywający w chwili gdy tę kartę kreślę, rumieniec wstydu na me oblicze.

O matki Polki! zastanówcie się nad kilkoma słowami spowiedzi tułacza. Oby wam posłużyły do wychowania najdroższych istot waszych na godnych obywateli! obyście pamiętały, że łatwiej jest uczyć prawdy, niżeli oduczać fałszu!

Ale otóż i biuro jakieś przedemną! Po wystawionych w oknach tabelach z numerami domyślam się, że to kantor loterji. Zbliżam się ku drzwiom, chcę wziąść za klamkę, lecz nie mogę, zatrzymuję się chwilę aby odetchnąć; miedziana klamka błyszczy czerwonością rozpalonego żelaza, lękam się jej dotknąć i zdaje mi się, że z po za szyby czereda piszczyków z wyszczerzonemi zęby i utkwionym we mnie wzrokiem, mierzy mię od stóp do głowy.

Waham się — wnijść czy nie wnijść?... I znowu krążę

po ulicy. Straszne atoli obrazy nędzy i poniżenia snują mi się w głowie, trwożą, zwyciężają wreszcie, popychając do kantoru.

Powracam i z rezygnacją wchodzę do pierwszej sali.

— Czego pan żąda? pyta na wstępie staruszek z za drucianej kratki.

— Szukam zatrudnienia — odpowiedziałem spokojnie i obejrzałem się do koła. —

Nikt z otaczających się nie uśmiechnął, każdy miał spuszczone oczy w rozłożone przed nim foljały — to mi dodało otuchy.

— Co pan umie? rzecze łagodnie staruszek.

— Wszystko i nic! stosownie do edukacji jaką mi dano ... ale mam najlepsze chęci ... jestem emigrant, obcy w tym kraju, potrzebuję zajęcia ... znam rachunkowość, może się tu przydam na co. —

Staruszek pociągnął w milczeniu za sznurek; dźwięk metaliczny rozległ się w głębi domu, kazano mi się pofatygować do trzeciego pokoju.

Przybywszy tam, ujrzałem się w obec suchego jegomości w okularach. Ten pytał z kolei:

— Czy pan nie myli się w dodawaniu?

— Czy ma kogo znajomego w mieście? i t. d. —

Zaspokojony przezemnie, oświadczył, że mogę przybyć nazajutrz do pracy.

I w co teraz obrócą się me ulubione przechadzki? rzekłem sobie z westchnieniem, wracając do mieszkania.

Na drugi dzień stawiłem się na oznaczoną godzinę w kantorze. Wstąpiwszy w progi mego biura, zacząłem się w niem rozpatrywać. Była to mała, smętna izba, o jednem u góry oknie, opatrzonem podwójną kratą ze sztab żelaznych; za całe meble służyły trzy dębowe stołki bez poręczy, tudzież trzy obciążone księgami stoliki. Przy jednym z nich siedział suchotnik w okularach, znajomość wczorajsza, w obwisłym surducie, z pergaminową cerą na twarzy i ciągle pokaszlujący; przy drugim otyły jak słoń kancelista, którego tłuszcz chorobliwy raził oko. Ci moi nowi towarzysze smutny przedstawiali widok: ostatni tuczył się, puchł raczej przez

nałóg siedzenia; tamten sechł jak pióro, będąc podobny do zakonserwowanej mumji.

Ukazano mi na stolik postawiony w rogu komnaty w cieniu, dokąd słoneczne światło nigdy nie dochodziło. Zająłem miejsce, wziąłem ołówek do ręki, i pochylony nad librą leżącego na ceracie papieru, czekałem komendy.

Otyły kolega wyciągał tymczasem z szufladek paczki rozmaitych kartek spiętych szpilkami i dyktował liczby, które z pozostałym współpracownikiem, każdy z osobna, zapisywaliśmy. Potem była cisza, obydwa zajęliśmy się dodawaniem owych liczb, dopóki nowe paczki rozszpilone nie zostały. Później towarzysz wywoływał sumę ogólną, ja zaś ją głośno powtarzałem, jeżeli zgadzała się z moją; i odwrotnie: naprzemian obwieszczałem następnie wypadłą sumę, a on ją powtarzał. W razie, gdy nie było zgody, na nowo rozpoczynaliśmy liczenie, z tą różnicą, że już nie dodawaliśmy wedle przyjętego zwyczaju z dołu do góry, lecz z góry do dołu.

Nie ma co mówić, że cyfrowanie to nie przypadło mi do smaku. Nazajutrz toż samo! za tydzień toż samo! Z początku wynagradzało ono mą nudę spokojem, wypływającem z przekonania, że jako oficjalista nie będę kłopotał się już przynajmniej o byt materjalny; każda bowiem praca w Ameryce jest dość dobrze zapłaconą — ale gdy zaczęły mi schodzić miesiące na takiem zatrudnieniu bez najmniejszej odmiany; gdy stałem się maszyną arytmetyczną osłabiającą wzrok mój, tępiącą umysł, zabijającą drogi a bezpowrotny czas całodzienny najpiękniejszego wieku; gdy porównałem się do opuszczonego w kącie kołowrotka, bez nadziei na przyszłość poprawienia losu, ckliwo mi się zrobiło, zadrżałem w obec siebie i rzekłem: trudno żyć na tym dziwnym planecie!...

Ilekroć razy wyszedłem z biura na obiad, czułem się jak gdybym się dopiero na świat narodził; zazdrościłem przechodniom, że mogli ruszać się swobodnie, oddychać czystem powietrzem i zapalić swoje cygaro kiedy zechcą.

Bladość moja wyraźnie wzrastała, system nerwowy cier-

piał, zdrowie pozostawiałem w murach, przedmioty traciły dla mnie powoli urok.

Pewnego dnia świątecznego Kwakier zauważył ów stan, gdy zaszedłem doń w odwiedziny, i zagadnął o przyczynę posępności.

Na ten raz wyznałem mu wszystko.

Słuchając opowiadania, tylko ramionami wzruszał, zastanowiwszy się chwilę; a skorośmy na się spojrzeli, uderzył mię wzrok jego barwą szczególnej zieloności, znamionującą Amerykanina z urodzenia.

— Szkoda, żeś mi pan nic o tem dawniej nie wspominał — podziwiam skromność jego. W kraju naszym rozpoczyna się karjerę nie od najniższego szczebla wiedzy, jaką się posiada, lecz od najwyższego; tu przybywają ludzie nie na aplikacje, ale wprost do czynu. Spodziewam się, że mię pan rozumie.

W samej rzeczy, te kilka słów otworzyły mi oczy i nagle nasunęły śmiałe zamiary do spełnienia. Wynikiem ich było że nazajutrz, w poniedziałek, już dzienniki ogłosiły o mnie, iż przybył do Nowego Orleanu uzdolniony profesor matematyki, rozpoczynający swe kursa w wielce przystępnej metodzie, dla młodzieży płci męzkiej, od dnia ... i t. d.

Wieczorem, udając się na spoczynek, pomyślałem: co to z tej mąki będzie?...

We wtorek, o rannej porze, zapukano do drzwi moich i ujrzałem dwóch chłopczyków braci, co przyszli na mą pociechę, aby się rozmówić pod względem lekcji. Mieszkali opodal; gawędzili ze mną jak starzy. Zdało mi się, że jestem młodszym od nich. Cokolwiek bądź, byli to najpierwsi uczniowie moi. Po upływie kilku tygodni przyprowadzili innych. Porzuciłem z radością kantor, co mi się wydał więzieniem, donająłem przyległy pokój, postawiłem w nim tablicę, przybiłem rozkład nauk na drzwiach, anonse ciągle się w gazetach powtarzały; dołączyły się do nich niezadługo podziękowania moich chłopców za korzyści odniesione z pierwszego, przygotowawczego wykładu matematyki — belferka poczęła się na serjo.

Cztery godziny pracowałem dziennie, bo na więcej tchu

mi nie stało. Zrana mówiłem o trójkątach i kołach — graniasto-słupach i walcach — o logarytmach, wstawach, dostawach, stycznych i dotycznych; po południu o równaniach i binonie Newtona — o rzutach poziomych i pionowych, o elipsach, parabolach, hyperbolach, i t. d.

Poznajomiłem się w domu gdzie mieszkałem z młodym artystą Francuzem; ten przychodził do mnie zaraz po lekcjach z fletem, którym czarował mych słuchaczów grono. Myślę, że czynił to z dobroci serca, ażeby muzyką swą wabić uczęszczających do mej szkoły, uprzyjemniając im minut kilkanaście po umysłowych trudach, i aby nadać rozgłos zakładowi.

Belferka szła coraz lepiej.

Powszechną ceną lekcji w Ameryce jest dolar za godzinę od osoby. Ponieważ wykładałem razem dla wielu, cenę powyższą zmniejszyłem z zadowoleniem rodziców mych uczniów; zarabiane zaś kilkanaście franków na dobę wystarczały mi aż nadto na niezależne utrzymanie.

I znowu odżyłem, i rozpoczęły się na nowo me ulubione wycieczki. Zostawało przytem dość wolnych godzin, abym po długoletniem niegdyś rdzewieniu w stepach, mógł czytać i nie dać się wyprzedzić duchowi czasu.

Niedziele i święta w Nowym Orleanie są poświęcone rozrywkom, zupełnie przeciwnie jak w innych miastach Unji, gdzie surowość purytanizmu istnieje, gdzie w dni powyższe cisza grobowa panuje na ulicach. Nastręcza się tu pytanie: czy Pan Bóg siódmego dnia po stworzeniu świata wesoło odpoczął, albo się smucił? Ważna tajemnica dla teologów, dostarczająca im materjału do rozpraw na wieki całe, której roztrzygnięcie im ustępuję, dla zbawienia ludzkości... Wszak nie jestem samolubem?...

W dni świąteczne miałem sposobność zetknięcia się bliżej z klasą kupiecką w jej życiu i obcowaniu prywatnem, za pośrednictwem rodzin mych chłopców, przez które niekiedy byłem zapraszany. Otóż zauważyłem, że Amerykanie w ogóle znają prawdy pospolite, sądząc, że cała wiedza człowiecza jest w nich zamknięta, że zdobyli kamień filozoficzny. Brak to głębszego wykształcenia. Dla tego w rozmowach znane,

oklepane pewniki zabierają im dużo czasu; zastanawiają się nad nimi, rezonują, nie dochodząc do wyższych pojęć i rozwiązań; ale za to posiadają w wysokim stopniu sztukę życia praktycznego, na czem zbywa innym narodom.

Kawaler, co zarobił 100,000 dolarów w jednej spekulacji, ma zawsze w przyjęciu pierwszeństwo przed artystą. Gospodyni domu potrafi zręcznie, bez obrazy, okazać ten odcień.

Zauważyłem także pewien rodzaj uprzedzenia przeciw cudzoziemcom.

Negocjant pierwszej klasy, jest to pan całą gębą: wielki, wspaniałomyślny, nie rzucający się na miałkie przedsięwzięcia, nader przenikliwy, umiejący dostrzedz najdrobniejszego błędu w ułożeniu bliźniego i ocenić go wedle rzeczywistej wartości.

Kupcy niższego rzędu nie dają rękojmi charakteru, zarówno w ich sposobie życia jak pod względem moralności; chciwość nawodzi ich częstokroć na złą drogę; wszelkie środki zysk zapewniające są dla nich dobre, bynajmniej się z tem nie kryją. Wykręcić się, obejść kodeks karny, oto ich morał handlowy! Interes ich nie oznacza się wyrazem «oszukaństwo» ale hombok, który na żaden język przetłomaczyć nie podobna.

Wyglądając przez okno obaczysz często na ulicy yankeego. Od razu go poznasz z jego postaci, zaniedbanego ubioru, nieustannego ruchu. Powierzchowność ma skromną, odzież obmyślaną na wzbudzenie pojęcia o porządku i oszczędności; jednę tylko ma służącą dla całej rodziny, choć majątek posiada miljonowy. Je nie zbytkownie, nie pije wina ani wódki, choć nią handel prowadzi; gdyby używał trunku, wiedziano by o tem w kantorach informacyjnych, a tem samem kredyt jego mógłby być narażonym.

Z tem wszystkiem bankructwo, plaga Stanów Zjednoczonych leżąca na porządku dziennym, nie ubliża człowiekowi. Widziałem ludzi uczciwych, punktualnych w wypłatach należności, podających ręce nieznajomemu, o którym zaledwie odszedł, odezwali się: «Ten już trzy razy bankrutował, teraz mędrszy od innych!»

Lecz zważyć trzeba, że nie ma nic trwałego w owem młodem społeczeństwie, dopóki się nie ustali; wszystko tam ulega zmianie; cyrkuły miast upadają bogacąc sąsiednie, które lada moment toż samo spotkać może, w miarę jak przemysł, handel, kolej żelazna, kanał, okoliczności zewnętrzne, zwrócą się gdzieindziej. Na gruzach jednych budują swą pomyślność drudzy.

Przy wzrastającej ciągle konkurencji amerykańskiej we wszystkich zawodach, potrzeba tam nierównie więcej jak u nas rozwinąć działalności osobistej, ażeby istnieć; lecz z drugiej strony, skoro raz się popadnie na żyłę złotą, majątek robi się szybko, szczególniej w przystani jak Nowy Orlean.

Do tego ostatniego ktoś handlujący wylądowywa, nabija trzos, a bojąc się przedwczesnej śmierci, ucieka ztamtąd. Popęd to awanturniczy, podobny do żądzy żołdaka dobijącego się o awans wśród trupów na pobojowisku. Ale, czyż życie nie jest walką?...

W portach widać dostatek u mieszkańców, rzadko można napotkać nędzę. Bogactwo, jak w każdej dobrze urządzonej Rzeczypospolitej, rozdziela się pomiędzy ogół ludności. Nikt tam nie chowa kapitałów, jak to się dzieje n. p. w Moskwie, gdzie ekonomja polityczna z kolebki wygląda, mając do pokonania kasty uprzywilejowane; przysłowie Proudhona «własność jest kradzieżą» nie da się do Amerykaninów zastosować; każdy grosz jest u nich w obrocie dla wspólnego dobra; gdy dowiadują się o cudzy majątek, pytają: ile pan X lub Y rocznie wydaje?

Namiętność Amerykanina, rzec można, nie leży właściwie w żółtym kruszcu, lecz w znacznym zarobku i wydawaniu.

XI.

KOŚCIÓŁ CZARNYCH METODYSTÓW I UNIWERSALISTÓW. — PAGODA CHIŃSKA.

XI.

Osiem dziesiątych części ludności Stanów Zjednoczonych jest protestancką. Liczba atoli katolików zwiększa się przez napływ emigrantów z Irlandji i Niemców z pewnych prowincji, co pozostali wiernymi przodków swoich wierze. Nawrócenia na katolicyzm są rzadkie w Ameryce. Podróżnicy wracający z Europy i ich dzieci oddawane do szkół katolickich, podlegają niekiedy temu; lecz natomiast mali Irlandczycy, posyłani do szkółek miejskich, wychodzą z nich protestantami.

Pomimo tego katolicyzm nie jest w Unji przedmiotem przesądu. Przyjął on się szczególniej na dolinach Missisipi, mających wielką przyszłość przed sobą. Przy obecnych stosunkach amerykańskich, gdy partja Whigów i kapitalistów wzięła górę, zważywszy ich przychylność do katolicyzmu, oczekiwać należy jego wzrostu. Zresztą liczy on po metodystach najwięcej wyznawców, stosunkowo do ogromnej liczby sekt zagnieżdżonych w kraju. Księża składają rozległą kongregację w miastach, trzymając powiaty całe pod swą władzą; siostry miłosierdzia uwijają się po lasach i pustyniach Missisipi, niosąc słowa pociechy bliźnim i rozciągając opiekę nad chorymi. Obaczysz tam i owdzie kaplicę po nad brzegiem rzeki, krzyż zawieszony na gałęziach drzew omszałych, i usłyszysz głos dzwonka wzywającego na mszę odprawianą pod gołem niebem przez misjonarza.

W St. Louis, jako i w Nowym Orleanie najznaczniejsze zakłady edukacyjne są katolickie.

Jednej niedzieli spotkałem murzynkę idącą do kościoła z książką do nabożeństwa ze srebrnym na okładce krzyżem i klamerkami. Była ubrana w bieli, jakby przez obawę bycia posądzoną o czarność. Zaokrąglone i połyskujące się jej ramiona i plecy wyglądały z sukni gdyby pancerz miedziany. Zapytałem biedaczkę o drogę do kościoła katolickiego, do owej ojczyzny, z której nie lękałem się być zesłanym powtórnie na wygnanie.

— Dosyć jeszcze daleko — odrzekła. Trzeba minąć, w kierunku zawsze prostym, kościół czarnych metodystów, potem uniwersalistów, następnie pagodę chińską, a w końcu kongregacjonistów, zanim pan ujrzy na rogu ulicy o dwóch czerwonych wieżach kościół katolicki.

Otóż i sekty jeszcze mi nieznane! przyszła ochota zwiedzenia po kolei ich świątyń.

— Pani jesteś katoliczką? rzekłem do przewodniczki.

— Nie, mój starszy brat, którego kocham nad życie, jest katolikiem, młodszy memnonitą, ja zaś jestem metodystką — właśnie kościół mój otwarty, gdzie się zbierają murzyni odepchnięci przez białych z ich świątyń.

Opowiadanie to ból mi sprawiło. Postąpiłem za niewiastą i za chwilę ujrzałem się w podwojach czarnej świątyni dla chrześcianizmu czarnego. I czem się to dzieje, pomyślałem, że ludzie różnych pojęć i wyznań kochają się tu wzajemnie? wszak ona mi to wyznała; szanują się oni — przechodnie zdążający w niedzielnych szatach do rozmaitych domów bożych, mieli spokój na twarzach. Widać, że każdy czyta tu Biblję na swój sposób, nie kłucąc się z bliźnim. — Oto i rozwiązanie zagadki!... zadanie kłamstwa pojęciom mojej młodości...

Przybytek czarnych metodystów był napełniony — śpiew pobożny, ów dźwięk najwłaściwszy do modlitwy, rozlegał się do koła; potem kapłan o ciemno-oliwkowem, lecz poważnem obliczu z pooranem czołem, przemawiał do wiernych nauczająco. Gdzie on słuchał kursu teologji? nie wiadomo. Był niegdyś niewolnikiem, którego łaska boża — jak mówił — wykupiła z poddaństwa, mniej atoli twardego i obrzydliwego, niżeli poddaństwo grzechowi. — Lecz ten nie-

wolnik musiał cierpieć dużo i zastanawiać się jeszcze więcej, bo był skończonym człowiekiem! Żywot w niedoli dał mu poznać to, czego nie nauczą szkoły; zdania jego silnie trafiały do serca; świadczyło o tem wrażenie wywarte na ludzie.

A jednakże nie używał on sztuki właściwej mówcom z rzemiosła. Wyrażał się jak każdy, czyli raczej jak każdy chciałby się wyrażać gdyby zdołał. Wydać w jasnych i przystępnych słowach wielkie myśli jest udziałem wielkich dusz tylko. Sztuka będąc jedynie naśladowaniem, nie potrafi wznieść się do takiej prostoty.

Z początku oddawał pochwały metodyzmowi, religji błogosławionej przez Pana, wnosząc z postępu jaki czyni każdodziennie. Wyliczał ogół zwolenników i bogactwo kościołów: cztery miljony komunikujących — dwanaście tysięcy pastorów — szesnaście tysięcy kościołów — owoc gorliwości nieustannej! Wystawił młodą Amerykę w porównaniu ze starą Europę — w pierwszej wolność wyznania i sumienia, w drugiej kościół urzędowy. Wolność, mówił dalej, gdy jest uświęcona przez religję, czyni cuda, których na starym świecie zagrzebanym w przesądach nie obaczy się nigdy. Anglja, pyszna z bogactw swoich, psuje biskupów, otaczając ich zbytkiem pogańskim, a poniża wikarych, skazując ich na nikczemną nędzę; wtedy, gdy w żywotnych kościołach Stanów Zjednoczonych wspaniałomyślna pobożność wiernych otacza dobrobytem i szacunkiem pasterzy, którzy wszystko winni swej trzodzie. Jakieś książątko mniema się być drugim Konstantynem, skoro mu się zdarzy fundować kaplicę; gdy sami metodyści Północy wznieśli 450 świątyń w jednym roku 1860. Grono biednych murzynów z przyległej ulicy traktuje lepiej swego pasterza, aniżeliby to monarcha uczynić zechciał.

Ale — dodał z wyrazem dowcipu — ów pasterz, tak dobrze nagrodzony, winien wypłacić tym co go wybrali, dług, który kapelani magnatów nie zawsze oddają. Tym długiem jest prawda! Słuchajcie więc — zawołał — że ta prawda obowiązuje mię odkryć wam, iż murzyn ma serce łatwe i rękę hojną; jest to pięknie, jest to po chrześciańsku z jego

strony, byle przez zbytnią szczodrobliwość nie naraził duszy na niebezpieczeństwo.

Zarzucicie może, że nigdy nie słyszeliście nic podobnego; że powtarzają wam, iż chrześcjanin naraża swą duszę wtedy tylko, gdy da się owładnąć żądzy chciwości i skąpstwa; lecz któż kiedy nauczał, powiecie, aby człek gubił się przez zbytek wspaniałomyślności?

Bracia moi! objaśnię was, jaką jest owa wspaniałomyślność wiarołomna; jest to właśnie taż sama, którą wykonywujecie tutaj, w obecnej chwili, słuchając mego kazania. — Gdybym naprzykład potępiał złośliwość albo kokieterję, pijaństwo lub rozwiozłość, czy każdy z was przyjąłby dla siebie naukę? czyliż korzystałby z niej? — Dobrze, rzekłby jeden z tych co używają wódki, poznaję portret pijaka: to Samuel, mój kuzyn, o którym prawi pastor. Otóż pijaku przyjmij wszystko na siebie!... Dobrze, rzekłaby owa piękność niewieścia, która aby mieć modną sukienkę, popycha męża na drogę oszustwa; dobrze, rzekłaby ona, kaznodzieja ma słuszność wytykać zdrożności mych sąsiadek. To do ciebie się stosuje panno Deborah! To dla ciebie karmelek Marto! Wszystko dla was zalotnice, ale nic dla mnie...

Tak to z głosu mego nie zachowujecie nic dla się, jednę jego część oddając bliźniemu, drugą przyjaciołom, a resztę mężowi lub małżonce. Z tego powodu nauka bozkiego prawodawcy zostaje bezpłodną. Rozumiecież teraz, dla czego gubicie duszę przez zbytek hojności?... Chrystus jest wspaniałomyślny, lecz w innym rodzaju; chciwy zatrzymać wszystko dla siebie: grzechy, nędzę, ułomności i cierpienia nasze; to też widzimy go przybitego do krzyża, z głową zwieszoną, rozpiętemi ramiony i krwią płynącą z serca... I kiedyż, bracia moi! kiedyż ulżymy mu ciężaru osobistości naszych? kiedyż, mówię, przyniesiemy ulgę Odkupicielowi, najlepszemu z przyjaciół, co umarł dla zbawienia grzesznego niewolnika!?...

Na to wezwanie zgromadzeni padli ze łzami na kolana i głośne Alleluja posłali do nieba. Przegrywka poważnego organu i wdzięczny chór młodych dziewic zakończyły nabożeństwo.

O kilkanaście kroków zebrany lud cisnął się do innej świątyni — był to dom modlitwy uniwersalistów, posępny jak wszystkie kościoły protestanckie. Wszedłem doń i usiadłszy na drewnianej ławie rozpatrywałem się do koła. Nie było tam obrazów, złoceń, baldachinów, kwiatów, kadzideł i świec jarzących, co tak działają na zmysły; nie słychać też było szeptów mężczyzn i szelestu kobiet, lubiących aby podziwiano ich pobożność i stroje; słowem, nie było nieporządku, znamionującego niektóre kościoły, zarówno jak i salony wyższego towarzystwa; lecz panowała cisza jak w lesie.

Doczekałem się kazania. Poznałem z niego, że uniwersaliści wierzą, iż wszyscy ludzie, sprawiedliwi i grzesznicy, wierzący i niedowiarki, dostąpią zbawienia. Ale przy całej zasadzie tej niepojętej miłości, żółcią zaprawiona gorycz wylewała się z ust mówcy, gdy mu wypadło wspomnieć o innych sektach. Zdawałoby się, że chciał potępić za życia swych przeciwników, nie mogąc posłać ich po śmierci do piekła.

Na zakończenie przytoczył główną przyczynę upadku religji: żądzę nieumiarkowaną robienia majątku, wadę narodową. «Bóg — zawołał — Bóg uczyni to co już czynił: zdmuchnie owe bogactwa, aby posiadacze ich mieli czas zwrócić się ku niemu.»

Następuje pagoda chińska. Niestety, na opisanie pstrocizny azjatyckiej zdobyć mi się trudno. Wszelakoż przedmiot to ciekawy, bardzo ciekawy ... Konfucjusz w Ameryce ... zaprawdę, ważne studjum. Warto zbadać, gdzie jest więcej mądrości: czy w starym otrętwiałym ludzie, czy u młodych protestantów.

Posłuchajmy, co o tem prawi Francuz, Dr. Lefebure, z trafnym poglądem i dowcipem:

Wchodząc — powiada on — wydałem okrzyk zdziwienia; ujrzałem się w pagodzie budystów. Naprzeciwko siedział na wyniesieniu we framudze straszliwy maga z drzewa malo-

wanego; nogi miał na krzyż złożone, spoczywał na kwiatach indyjskich. Był to Buda z ogromnym brzuchem, głową łysą, garbem na czole, wielkiemi uszami i oczyma.

Bez wątpienia, jestem liberalny i cieszę się z tego. Od trzydziestu lat abonuję pismo Constitutionnel i nie zmieniłem się więcej od owego dziennika. Podobnie jak ten, i nie wiedząc dla czego, nienawidzę jezuitów: co jest oznaką umysłów silnych; ale używać wolności dla wprowadzenia poganizmu, to za wiele! Zgadzam się na lutrów, kalwinistów, żydów, a nawet mahometan, byle tylko nie opuszczali Algieru bez pozwolenia rządu; lecz dopuścić na więcej, to już przeszłoby granice liberalizmu, a stało się bałwochwalstwem! Byłoby toż samo, co powrócić do oddawania czci Mithrze!

W pagodzie postrzegłem tylko dwoje dzieci, dwóch obrzydłych małych Chińczyków, usadowionych po obu stronach wyniesienia. Każdy z nich obracał walec poziomy, naszpikowany papierkami, w sposób, jak się obraca blaszany piecyk do palenia kawy. Obrzędek całkiem mi nieznany!

Na odgłos mych kroków ukazał się z przyległej celi gatunek mnicha. Suknia jego brunatna i połatana, nogi bose, głowa ogolona, wązkie oczęta, skóra żółta i sfałdowana, czyniły go podobnym do baby przebranej za kapucyna; był to bonz (kapłan).

Zbliżywszy się ku mnie, wyciągnął w milczeniu czaszkę drewnianą; rzuciłem jałmużnę, aby się pozbyć żebraka.

— Dziękuję, mój bracie! rzekł czystą angielszczyzną. Oby boski Fo (przekręcone przez Chińczyków nazwisko Budy) nagrodził twą miłość bliźniego; obyś w przyszłem życiu nie odrodził się w postaci białogłowy ani szakala! —

I zostawiając mię zdumiałego tem szczególniejszem błogosławieństwem, bonz postąpił do ołtarza, wydobył z szafki kilka kawałków papieru srebrzonego i złoconego, i spalił je pod nosem bożyszcza.

— Co robisz? zapytałem.

— Mój bracie! zamieniłem twój datek dziesięciu centów na sztaby złota i srebra, ofiarowane mistrzowi prawdy.

— Twoje sztaby są papierowe.

— Cóż to szkodzi? Fo patrzy na chęci, a nie na kruszec.

— Ach! gdyby nasi ministrowie finansów byli Chińczykami ... chciałem wykrzyknąć; lecz zachowałem dla się zuchwałą uwagę i zapytałem bonza, co robiły owe dzieci niesfatygowane trudem.

— One się modlą za ludzkość całą. Na każdym z tych papierków nakreśloną jest głoska święta. I wymówiwszy te słowa, rozciągnął się na posadzce, wołając: On! on! on! — Każdy z tych walców, mówił dalej, mieści tysiąc prawd i wydaje na tydzień sto czterdzieści cztery miljony modlitw. Walce te obracają się zwykle za pomocą pary; lecz, ponieważ dziś jest niedziela, a w tym kraju niedowiarków maszyny nawet zachowują szabasy, zmuszony byłem zastąpić je rękoma dziatwy. —

Zabobon bałwochwalcy przejął mię wstrętem.

— Dziwna rzecz, że was tu cierpią, na ziemi chrześciańskiej! zawołałem.

— I dla czegóżby nas nie mieli cierpieć? odpowiedział spokojnie bonz; wolność jest jako słońce, które świeci dla wszystkich. Amerykanie posyłają misjonarzy do Chin, dla czegóżby więc Chińczycy nie mieli posyłać swoich do Ameryki? Powiadają, że Francja wydała wojnę Synowi Słońca, mszcząc się za śmierć kilku mnichów zamordowanych przez mandarynów, i że otworzyła w Pekinie kościół katolicki, zamknięty z dawien dawna. Przeklinam krew przelaną obustronnie, moja religja brzydzi się zabójstwem i nie zna innej broni nad cierpliwość i łagodność; lecz, z drugiej strony, błogosławię wolność zdobytą i żądam, aby rozpościerała się zarówno na Chińczyków jak na Francuzów.

— Jakto ... pagoda na Polach Elizejskich? magowie przez rząd utwierdzeni?... Czy oszalałeś poczciwoszu? My nie potrzebujemy Chińczyków w Paryżu; mamy ich dosyć — z porcelany.

— Zdaje mi się — przedłużał bonz ze śmiesznym spokojem — że prawa są wzajemne. Jeżeli jest szczytnie, jeżeli jest sprawiedliwie otworzyć kaplicę w Pekinie, dla czegóż można by nazwać niesprawiedliwością zbudowanie pagody w Paryżu i wolne w niej głoszenie prawdy?...

— Ciemny kapłanie Baala! wrzasnąłem uniesiony świętą gorliwością — ty śmiesz wspominać o prawdzie? Czyż nie czujesz, że twa zasada jest kłamstwem, a obrząd bałwochwalstwem? Skoro to sam widzisz, jesteś szarlatanem i zasługujesz na karę; jeżeli zaś tego nie postrzegasz, pierwszym obowiązkiem rządu jest zamknąć ci usta, ażebyś w nieświadomości swojej nie psuł mu poddanych. Wolność błędu jest wolnością trucizny, ognia, sztyletu; prawda tylko ma prawo się odzywać.

— Sądziłem, rzecze Chińczyk, że we Francji i w Anglji są różne kościoły chrześciańskie, a nawet buźnice izraelickie?

— Tak! tak! do tego we Francji rząd wspiera religje uznane; gdyż Francja, wiedzieć ci o tem potrzeba człowiecze, stoi na czele oświaty, tak pod względem wolności wyznań, jako i wszelkiej wolności.

— Rząd więc wasz uznaje trzy lub cztery wcielone pewniki religijne, które walczą między sobą tępiąc się wzajemnie. Dla chrześćjan n. p. Jezus jest Bogiem: kimże jest dla żydów?

— Mój przyjacielu! lituję się nad twą grubą głupotą. Gdybyś mógł zrozumieć, co to jest prawda urzędowa, poznałbyś, że składa się ona ze sprzeczności. Jest to urzeczywistnione marzenie Hegla. Teza i antyteza mięszają się tam i topią w godnej podziwienia syntezie. —

Bonz roztworzył drobne oczęta i spojrzał ku niebu. Widocznem było, że pojęcia cywilizowanej Europy nie mogły się pomieścić w jego ciasnej głowie. Nie przypuszczałem, aby taka zachodziła różnica między filozofem niemieckim a Chińczykiem. Rozpocząłem tedy przedstawienia pod inną formą, to jest zmieniłem wyrazy nie troszcząc się o rzecz: jest to najlepszy sposób posunięcia naprzód rozprawy.

— Prawda, którą rząd popiera, powiedziałem, nie ma nic wspólnego z prawdą pospolitą. Tamta jest wielką, zrozumiałą, obejmującą wszystkie obcowania biblijne. Podania żydowskie, chrześciańskie, a nawet mahometanizm, są odroślami pierwotnej religji, starej jak świat, mającej za sobą liczbę, morał i oświatę. Po na zewnątrz jej kościołów zo-

staje tylko barbarzyństwo. Nawrócić was gradem kul jest naszym prawem i obowiązkiem. Prawda wzrasta na polu krwawem; Bóg chrześcian, to Bóg wojny!

— Ty nie jesteś yankee! ryknął fanatyk, wzrok zaś jego zajaśniał nagle blaskiem nadprzyrodzonym. Od chwili, jak tu wszedłeś, zwracałem pilnie uwagę na ciebie. W postaci Saxona ukrywa się byk z wilkiem; w twojej zaś przemieszkuje małpa z psem. Ty lękasz się wolności, gadasz o tem czego nie znasz i składasz jeno frazesa. Jesteś Francuzem! —

A widząc mię oniemiałym z zadziwienia, dodał:

— Śmieszże przytaczać liczbę za dowód prawdy? Ona właśnie przemawia za nami. Ilu was jest katolików? Sto trzydzieści miljonów. Ilu chrześcian w ogóle? Trzysta miljonów. Nas jest pięćset miljonów budystów; wiara nasza rozpościera się od Kamczatki do morza Białego; łagodzi dzikie pokolenia, uszczęśliwia Chińczyków i Japończyków, narody, które stały już na szczeblu oświaty, gdy Europa i Ameryka były jeszcze puszczą.

Natrąciłeś o starożytności. Czy wiesz, że za najodleglejszych czasów Aleksandra budyzm miał swoje konsylja i że napisy króla Azoka, wyryte na skałach w Indjach, nauczały świat jałmużny i ofiary? Nieświadomy jesteś, że budyzm jest reformą religji zmienionej przez braminów, i że święte księgi praojców naszych, zwane Vedas, datują prawie od stworzenia kuli ziemskiej.

Ale pozostawmy na stronie liczbę i trwanie, przypisując je zdarzeniom pomyślnym. Zastanówmy się, która religja nakazywała najpierwsza dobrowolne ubóstwo, poświęcenie i miłość. Wieszże, iż Fo przebył pięćset pięćdziesiąt istnień, a w każdem odrodzeniu się swojem poniósł ofiarę? Przeistaczał się w jagnię dla tygrysa, w gołębia dla jastrzębia, w zająca dla łakomego strzelca. Zapewne nie czytałeś historji Wezantara i jego ofiary z małżonki i dzieci. O! my stanowimy jedyne sprzymierzenie, co mając niesmak do rzezi, powściąga się nawet od mięsa zwierzęcego. Patrz na me sitko do picia wody! posługuję się niem, aby nie połknąć wymoczka, niewidzialnego żyjątka.

Wasze zaś dzieje chrześciańskie są ciągiem zwad i krwi rozlewu. Dzisiaj jesteście ofiarami, jutro katami. U budystów są tylko męczennicy. Od dwóch tysięcy czterystu lat nie jednokrotnie przelewano krew naszą, wygnano nas z Indji; ręce wszakże nasze pozostały czystemi. Nie splamione są roczniki nasze; któreż dzieje mogą się tem poszczycić?

Ewangelja objawia zasadę godną — nie tajno mi o tem; nie uprzedzam się więc co do wiary chrześcian wedle ich postępowania. Słowa i cierpienia Chrystusa wzruszyły mię do głębi serca. Lecz wychowano mię w innych pojęciach. Poświęciłem się od lat dwódziestu ubóstwu, i dobrze mi z niem. Podobnie jak wy zachowałem wiarę przodków: jak wy, nie mogę oskarżać ich o omylność. Kto z nas oszukuje się, przy kim jest słuszność, nie umiem roztrzygnąć, i chcę aby mię przekonano. Niech się skończy raz panowanie gwałtu, niech przepadnie ciemnota wraz z pogardą; dajmy pełną wolność wszystkiem wyznaniom: pozostawmy rozumowi dokończenie dzieła powierzonego mu przez Boga! W jasności znikną potwory. Pozostawiona sobie samej, religja wymarzona przez ludzi roztopi się jak śnieg; ta zaś co z nieba pochodzi, wzrośnie jak dąb okrywający ziemię gałęziami. Dajmy wolny bieg słowu — wierzę w wolność, bo wierzę w prawdę.

— Ty niczem więcej nie jesteś jak Chińczykiem, rzekłem; i oddalając się wspaniałym krokiem, zostawiłem azjatę zmięszanego moją wyższością. —

XII.

KAZANIE KONGREGACJONISTOW.

XII.

Rzekł mu tedy Piłat: Toś ty jest król? Odpowiedział Jezus: Ty mówisz, żem ja jest królem. Jam się na to narodził, i na to przyszedł na świat, abym świadectwo dał prawdzie. Wszelki który jest z prawdy, słucha głosu mego. — Rzekł mu Piłat: Co jest prawda? A to rzekłszy, wyszedł zasie do Żydów, i rzekł im: Ja żadnej winy w nim nie najduję.

(Ewang. u Jana w r. XVIII, w. 37. 38.)

Chrześcianie, Bracia moi!

Z pomiędzy imion wymówionych przez Chrystusa na ziemi, najczęściej się powtarza imię Prawda. Stawiony przed Piłatem, w straszliwej godzinie, Jezus nazwał się królem, lecz królestwa, które nie jest tego świata. W wigilję śmierci pożegnał uczniów słowy: Jam jest droga, i prawda i żywot. Żaden nie przychodzi do Ojca jeno przez mię*). W innych wyrazach: Jestem prawdą żyjącą, która prowadzi do Boga.

Prawda żyjąca! czy rozumiecie tych słów znaczenie? Wielu z was wystawia sobie prawdę jako cyfrę w oderwaniu; dla innych jest to wyraz bez sensu. Iluż to mędrców rzekłoby chętnie z Piłatem: «I cóż jest prawdą? Czy paradoks wczorajszy, a błąd jutrzejszy? Prawda jest względną do interesu obecnej chwili.» Podobać się Cezarowi, używać i nie tro-

*) Jan, XIV, 6.

szczyć o przyszłość, to właśnie najwyższa filozofja ludzi, co spodziewają się całkowicie umrzeć.

Precz z owym powrotem sceptycyzmu pogańskiego! Wiedzie on umysł do poniżającego służebnictwa, a serce do spodlenia. Jako w pierwsze dni chrześciaństwa, raczej szukajmy prawdy: I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi*).

Gdy parowóz przebiega szybko ulice miast naszych, ciągnąc za sobą długi sznur wagonów, dla czegóż schodzicie na stronę na odgłos dzwonu zwiastującego bieg lokomotywy? Ponieważ wiecie, że owa maszyma zgniotła by was siłą ciężaru powiększonego pędem. Otóż i prawda, która nie jest już abstrakcją! zamieniła się ona w przekonanie chroniące ciało. Przekonanie to jest cząstką was samych i żyje jako wy.

Pójdźmy dalej!... W tym tu grodzie, chlubiącym się z oświaty, znajdują się seciny osób, które nikczemnieją, zabijając się przedwcześnie przez nałóg pijaństwa. Dla czegóż, bracia moi, nie poddajecie się tej namiętności, okropniejszej, lecz nie więcej nagannej od innych wykroczeń, za które nie zawsze się rumienicie? Bo wiecie, że trunek jest trucizną, co nie przebacza wcale. Wiedza i nauka zastępuje w tym razie cnotę. Otóż jeszcze prawda, fizyczna i moralna, która wstąpiwszy do duszy, jednoczy się z nią.

Jestże to wszystko? Czy nie znacie serc szlachetnych, co uważają rozwiązłość obyczajów, ambicje, chytrość, za równie szkaradne jak pijaństwo? Zapytajcie ojca, któremu wydarto honor córki; zapytajcie matki, której syn zginął gdzieś marnie w obczyznię; zapytajcie marnotrawcy, co w skutek własnej winy walczy dziś z losem o wyżywienie rodziny. Te nieszczęśliwe ofiary nienawidzą z doświadczenia wady, co pogrążyła ich w cierpieniu. Jeszcze jedna prawda, objawiająca się przez wyrzut sumienia wtedy nawet, gdy nie chcemy jej słuchać!

W naszej Rzeczypospolitej są patrjoci opierający się niekiedy żądzom ludowym. Czynią-li oni to przez dumę, czy przez rachubę osobistych korzyści?... Nie. — Dla dumy,

*) Jan, VIII, 32.

chciwej zawsze panowania, najmniej godziwe środki są przystępnemi; egoizm zaś działa stosownie do okoliczności. Lecz dusza nieskalana, umysł wykształcony, zapatruje się na rzeczy z wyższego stanowiska. Wojny zbrodnicze, wyuzdane namiętności, wydatki szalone, zepsucie w wyższym ustroju towarzystwa, nędza i ciemnota w niższym, są to owoce władzy bez kontroli: bicz, którego nic nie powstrzymuje! Człowiek uczciwy nie znijdzie nigdy do rzemiosła pochlebcy. Prawda utrzymuje go na ustroniu i pociesza w samotności.

Są to — powiecie może — stare, zużyte zdania, z dawien dawna wykładane w szkołach; pomimo tego społeczność nie stała się lepszą. — Dla czego? Oto, że w książkach prawda spoczywa martwą; ofiarujcie jej serca wasze, zaślubcie ją, a odżyje! Stanie się ona waszym pokarmem, sumieniem, zaszczytem, zbawieniem. Zgodzicie się na to, iż nadać wolność zupełną niewolnikowi byłoby to samo co powierzyć dziecku broń niebezpieczną; gdyż uczucie własnej godności, poszanowanie bliźniego, uległość prawu, zamiłowanie sprawiedliwości; warunki będące główną podstawą wolności, trudno zamienić w artykuły kodeksu; nie podobna ich nakazać; są to bowiem wzniosłe przymioty, które obywatel nabywa tylko przez długą cierpliwość, wytrwałość i ćwiczenie. Dopóki wolność nie narodzi się w duszach, będzie ona spiżem, cymbałem hałaśliwym; skoro zaś raz zmięsza się ze szpikiem kości, żaden podstęp, ani zapamiętałość tyranów wyrwać jej ztamtąd nie zdoła.

Ze wszystkiego wypada, iż istnieją prawdy żywotne, mieszczące się zarazem w przedmiotach i w nas samych. Utrzymują nas one w związku z przyrodą i bliźnimi. Odkrywając prawo świata zmysłowego, poddają je nam; nakazują oraz uznać przyjaciela i brata w każdym, co myśli podobnie jak my. Ale światło to wystarczające na pozór do bytu doczesnego, nie ogrzewa dostatecznie serca. Czaruje ono umysł, łagodzi uniesienia, samolubstwo, lecz nie uszczęśliwia. Człowiek nosi pragnienie nieskończoności, nudzi się ziemią, potrzebuje miłości, której umiejętność nie jest w stanie zastąpić. Aby otrzymać dobro, za jakiem wzdycha, potrzebuje nowej prawdy, coby go skojarzyła z Bogiem, coby

zamieszkała w nim i w Bogu. Tą prawdą jest Bóg sam. Poznajmy ją więc i ukochajmy!...

Mędrcy w starożytności nie mogli nigdy zrozumieć, co to jest ukochać Boga i być wzajemnie kochanym; filozofja nowoczesna ginie przez takąż samą niemoc. Napróżno sumienie zwraca się ku Najwyższemu, napróżno przyzywa go z rozpaczą tonącego rozbitka: zimny rozum szepce mu, iż pomiędzy człowiekiem a Bogiem, pomiędzy Nieskończonością a robaczkiem jednodziennym jest przepaść nie do przebycia. Natura nieugięta, Istota niedościgła, niewolnica praw własnych: oto wniosek, do którego dopełzły usiłowania umysłów najśmielszych. Wedle nich miłość Stwórcy jest złudzeniem; modlitwa, jęk duszy, bezskutecznym odgłosem, co niknie w niebiosach milczących. Bądź cicho śmiertelniku, wołają, stłum krzyk serca, zamknij się w rezygnacji rozpaczliwej, boś tylko atomem zdruzgotanym przez fatalizm nieubłagany!

Ależ nie zapominajcie, bracia moi, że dziewiętnaście stuleci temu, człowiek zstąpił na ziemię w celu zbliżenia Boga z ludzkością. Prorok ów nazwał się Synem bożym i Synem człowieczym; czyli, co jest może innem wyrażeniem tajemnicy, nazwał się: światłem i prawdą. Jestem — rzekł — drogą, prawdą i życiem. Nikt nie przybywa do Ojca bezemnie. Świat usłuchał jego głosu i uwierzył. Od chwili, gdy Słowo stało się ciałem, gdy prawda boża przyjęła ciało, wiara — nadzieja — i miłość ukazały się na tym padole i weszły do serca ludzkiego. Zadanie, które rozum poczytuje za niemożebne, w którem upatruje sprzeczności, rozwiązane zostało przez Chrystusa. Prawda żyjąca, prawda wcielona, którą Bóg może kochać jako syna i którą człowiek może kochać jako zbawiciela, oto zjednoczenie nieba z ziemią, nadające ludzkości ojca, a Bogu dzieci! Tu właśnie zawiera się tajemnica objawienia i dowód bóstwa. Nigdy umysł pospolity nie wzniósłby się był sam przez się do tak wysokiego pojęcia.

Tak! jeżeli Bóg miłuje ludzi, to nie może być inaczej, jak miłując siebie w rozważaniu swej wiekuistej prawdy. — Tak! jeźli człowiek czci Boga godnie, to jedynie przez

uczczenie promienia światła, spływającego z wysokości na niego.

Kochać Chrystusa, jest to kochać prawdę; kochać zaś prawdę, jest to kochać Chrystusa. Wielka myśl Ewangelji! Kto jej nie pojmuje, jest tylko z czczej nazwy chrześcianinem.

Teraz, bracia moi, wnijdźcie w siebie i zostanówcie się głęboko. Gdy miłujecie Chrystusa, kogo wy miłujecie? Czy męczennika, który poświęcił życie za swoich? Czy ukrzyżowanego, z którego ran krew się sączy? Bądźcie oględni, bo to jest zwyczajną miłością ludzką; wszystkie religje, wszystkie partje miały swoich męczenników. Chrystus wymaga więcej. Chrystus jest czym innym niżeli trupem uwielbionym, któremu całują rany. On jest prawdą i tym tytułem wymaga miłości. Czy dla tego go kochacie?

Wierzycie, bez wątpienia wierzycie w świętą Ewangelję, a nie możecie patrzeć na jej symbol przez obawę niedowiarstwa. Zdajecież sobie rachunek z wiary waszej; oddzielacież od niej przymieszkę żydowską lub pogańską, zmieniającą jej czystość? Bierzecież ją za skazówkę czynów waszych? zrywacież ze światem i z sobą? powiadacież nareszcie sobie, jak to robił prorok i apostoł: Wierzyłem dla tego mówiłem? Jeżeli tak jest, tedy kochacie Chrystusa jak chce być kochanym; miłujecie prawdę.

Lecz jeźli, niestety, zapatrujecie się na religję jako na obrzęd; jeżeli szukacie w niej jeno schronienia od głosu prawdy ścigającej; jeżeli wiara wasza nie jest popartą dobremi uczynkami; jeżeli zatopiemi w dostatkach, albo w gnuśnem spoczynku, lękacie się mniej błędu od zgorszenia; jeżeli w nikczemnem przewidywaniu pozostawiacie Bogu jednemu obronę jego słowa; jeżeli za pomocą miłości chrześciańskiej niesiecie tylko ulgę biedzie cielesnej, nie troszcząc się o niszczenie ciemnoty i fałszu; jeźli nie poczytujecie sobie za najpierwszy obowiązek wydobycia dusz nieśmiertelnych z grzechu; jeżeli zbywa wam na świętej odwadze stawienia mężnie czoła do zdeptania przesądów wieku; jeżeli nakoniec nie naśladujecie Chrystusa w dziełach jego; bracia moi! nie oszukujcie się: jesteście zręczni, roztropni, rozu-

mujący, tkliwi, jesteście wszystkiem czem chcecie, wyjąwszy chrześcianinami; nie miłujecie prawdy.

Mam powątpiewania, rzecze nie jeden z was; gdybym całkiem uwierzył, ukochałbym Chrystusa. A ja ci powiadam: Ukochaj go naprzód, a potem uwierzysz; ukochaj go jako prawdę żyjącą, która prowadzi do Boga!

Nie podobają ci się obrzędy? pozostaw je; przestraszają cię dogmaty? nie kłopocz się nimi. Może one są wynalazkiem ludzkim ... może je ocenisz później: Chrystus nie ustanowił żadnych dogmatów, ani obrzędów. Uczyń więc twą wiarę najprostszą, trzymając się rady najgorliwszego z apostołów: Ducha nie gaście. A wszystkiego doświadczajcie, co dobre jest, trzymajcie*).

Są w Nowym Testamencie ustępy mięszające twoje jestestwo? odrzuć je! Cóż to zaiste szkodzi, że Ewangeliści różnią się w opowiadaniu, skoro Ewangelja jest w zgodzie z sobą; skoro w nauce bozkiego Prawodawcy tli wszędzie płomień wiekuistej prawdy?...

Czy podobna przypuścić, aby Chrystus Pan miał być dla was przedmiotem zgorszenia? Czyżeście dotąd nie zrozumieli, iż potrzeba było prawdy wcielonej, żeby się stała żyjącą, przystępną do serca waszego?... Ale niech i tak będzie! Jezus sam lituje się nad waszą słabością i oddaje wam wolność sądu, mówiąc: I wszelki który mówi słowo przeciw Synowi Człowieczemu, będzie mu odpuszczono: a temu coby bluźnił przeciw Duchowi Świętemu, nie będzie odpuszczono**). Szukajcie przeto prawdy, jak zwykliście się wyrażać, dla niej samej, lecz szukajcie jej z dobrą wiarą; po długich zachodach dojdziecie zawsze do Chrystusa.

Zarzucasz jeden i drugi, że szukasz jakoby prawdy, a nie znajdujesz jej. Nie, mój bracie, bo ani ty jej nie szukasz. Pycha rozumu, namiętności ciała, wstrzymują cię od tego; wszechwiedza wymyka ci się, ale gdzie jest prawda moralna, prawda religijna, ty wiesz dobrze o tem.

---

*) Tessal. List I. Pawła w. 19, 21.

**) Łuk. XII, 10. (Także: Mat. XII, 32. Mar. III, 28. 29.)

Ona jest tam, w twojej chacie, milcząca, osłonięta, jak Alcest co się wyrwał z królestwa umarłych — ona jest tam i czeka na ciebie!

Gdy wracasz do domu strudzony przędzą żywota, ona pogląda na cię z pod zasłony i sądzi. Gdy w zmroku nocy marzysz samotnie, zapałony żądzą wyniesienia się, czci chucią, i układasz zbrodnię na następną dobę — ona jest tam, zawsze tam! Jej oko przenika cię na wskróś w ciemnościach, jej milczenie lodowaci.

Pogardzasz bliźnim, urągasz się z prawa, lecz drżysz przed owem widmem, którego nie możesz ani zepsuć, ani zgładzić.

Od tej straży czuwającej nad twą duszą nie uciekniesz nigdy. Wybije nakoniec ostatnia godzina, w której ręka śmierci dotknie twego czoła; a wtedy ujrzysz, jakby przez mgłę, wszystko, co było drogiem sercu twojemu: pieniądze, dostojeństwa, żonę i dzieci. Lecz wśród głuchej rozpaczy i łez zdroju, dojrzysz także i postaci zasłoniętej, stojącej u łoża boleści, gotowej do uniesienia cię w podróż daleką. Występny, czy cnotliwy, nie unikniesz jej; zamieni się ona dla cię w wyrzut sumienia lub w błogą nadzieję.

Postępuj więc za nią na ziemi! postępuj wśród wewnętrznych niepokojów i niepewności, pomimo niedowiarstwa. Przywiąż się do niej, a ona cię zbawi. Ba! gdy rozstaniesz się z tym światem, postać ta zrzuci zasłonę z siebie, a natomiast powstanie Chrytus widzialny, Chrystus, co z anielską słodyczą ozwie się do ciebie: «Synu mój, poznaj mię, jestem prawdą!»

XIII.

POGLĄDY.

XIII.

Powróciwszy do siebie przechadzałem się długo po pokoju z Biblją w ręku, tysiące myśli krzyżowały się w głowie. Wspomnienia lat dziecinnych, nauki odebrane w młodości, owoce rozwagi dojrzalszego wieku, pojęcia nowe, wszystko to ścierało się z sobą w dziwnym chaosie. Utrudzony tą walką wewnętrzną, położyłem się na sofie. Aliści nagle jakiś głos tajemniczy zaczyna szydzić ze mnie; zdało mi się, że szatan naśmiewał się, szepcząc mi do ucha: Ha! zwiedziłeś tyle na raz kościołów, toś pewnie odpokutował za grzechy sowicie; teraz radzę ci braciszku, każ się postrzydz na mnicha, kaptur ci do twarzy — będziesz niedługo przez nos śpiewał godzinki. Ale prawda, żeś ty już nie katolik, przepraszam! Byłeś nim w Polsce, tuś się zrobił purytaninem, w Mekce czciłbyś Mahometa, a w Pekinie Budę; wszędzie jesteś komedjantem, kiedyż więc zostaniesz człowiekiem? Rzuciłbyś w kąt tę czarną księgę, którą napróżno dźwigasz; człowiek smaku szanuje ją, ale nie dotyka; filozof uchyla nisko kapelusz przed chrześcianizmem; nie trzeba nigdy być w nieporozumieniu z potęgą, lecz poddać się jej, sam to dobrze rozumiesz, byłoby słabością ograniczonego umysłu...

Precz, precz szatanie! to twoja broń mącić sumienia, ale obecnie przegrałeś, przegrałeś kusicielu na zawsze! Odkąd poznałem święty związek łączący wolność z Ewangelją, nie lękam się ciebie.

Nie targam się ja zuchwale na zdarcie zasłony z tego, co jest dla mnie pokryte wieczną tajemnicą, czego nie dosięgnie żadne ludzkie oko; tajemnicę przyjmuję w pokorze; otacza mię ona zewsząd. Zarówno we wszechświecie jako i w duszy mojej poznaję nieskończoność, którą przepełniony jestem; rozum mi wskazuje, iż mogę ją czuć, ale nigdy zgłębić, będąc sam pyłkiem w przestworze bez granic. Poddaję się więc ręce niewidzialnej, kierującej mirjadami światów i czczę ją!...

Chrześcianizm, któremu już dzwonią na pogrzeb na starym lądzie, widzę go odradzającym się na nowym. Trzydzieści miljonów ludzi żyje tu Ewangelją, wiarą oświeconą. Kościół tej ogromnej ludności nie jest monarchją ale republiką; nikt nie składa nań odpowiedzialności za winy żywota, każdy czyta Biblję, zastanawia się i dochodzi do poznania, że on sam jest obowiązany starać się o zbawienie duszy własnej, o odepchnięcie pokusy a przyzwanie Boga. Jest to religja w czynie — jest to moja religja!

W niektórych krajach rządy obawiają się takiej religji, obawiają się jej wpływu moralnego, gorzej niźli spiżu, gdyż zabić duszy niepodobna. Wiedzą one, że chrześcianizm z natury swojej ruchliwy, nawracający, dąży do całkowitego przeniknięcia człowieka, społeczeństwa i rządów. O ile ożywia kościoły wolne, o tyle przeraża urzędowe. Biskupi usypiający w purpurze, kapłani narodowi prześladowani, religja, gatunek suchego morału dworskiego, nakazująca zawsze posłuszeństwo, uwydatniająca ludowi jego obowiązki, a przemilczająca o jego prawach — oto dzieje Europy! W Ameryce wierzą w Ewangelję i w wolność; w Europie przeciwnie, lękają się jej, podobnie jak się lękają stowarzyszeń, gdyż te są jedyną formą i siłą możebną wolności.

W Rosji na przykład, rząd nie cierpi najdrobniejszych stowarzyszeń, bo znajduje w nich przeszkodę do zupełnego wszechwładztwa. Chce on widzieć w obec siebie tylko osobistości pojedyńcze, rozdzielone jak więźnie, każdy w obcej celi, i ich sumienia milczące. Jest to despotyzm rzymski w całej nagości. My, chrześcianie, stawiamy zgromadzenie

za środek między rządem a osobistością, pomiędzy siłą a egoizmem; środkiem tym jest miłość, prawdziwy związek serc, rzeczywista spójnia towarzystw.

Dla rozpowszechnienia słowa bożego, dla zakładania szkółek, dostarczania pracy potrzebującym, dla wsparcia chorych i nieszczęśliwych, pocieszania cierpiących, wydźwignięcia z upadku bliźnich, potrzeba mnóstwa stowarzyszeń. Naród chrześciański winien pełnić dobro za pomocą wolnego w niem udziału wszystkich członków, nie zaś oglądać się na kogoś pod względem obowiązku, który sam wykonać powinien. Kościół w tym razie zamiast być narażonym na niebezpieczeństwo, staje się duszą towarzystwa. Wolność religijną Chrystus Pan postanowił; ona jest matką wszelkiej innej wolności. Kto o tem nie wie, nie może być ani dobrym chrześcianinem, ani dobrym obywatelem!...

XIV.

WIĘZIENIE W FILADELFJI. GROBOWIEC FRANKLINA.

XIV.

Z nadejściem wakacji dla uczniów swoich, powziąłem zamiar zrobienia wycieczki w głąb kraju, aby nieco spocząć po pracy powszedniej i odetchnąć wiejskiem powietrzem.

Upały letnie w Nowym Orleanie, szczególniej w czasie mgły lub przed nadchodzącą burzą, były dla mnie nie do zniesienia; ociężałość i senność, zwłaszcza o południu, osłabiała; cera ma nabierała żółtości.

Gdy wyszedłem na ulicę, nic rozerwać nie mogło mego umysłu, rządko nawinął się przechodzień na trotoarze, domy były szczelnie zasłonięte żaluzjami. Nieprzyjemne sprawia wrażenie miasto pozbawione gwaru miejskiego; mury ozłocone promieniami słońca, gdy się jest samotnym pomiędzy niemi, tęskny przedstawiają widok. Czasami tylko napotkałem studenta skradającego się pod okno, z którego padała dlań tajemnicza karteczka, niewidzialną spuszczona ręką.

W podróż wybrany poszedłem na pożegnanie, choć nie jest to zwyczajem w Ameryce, do mych dobrych znajomych.

Rodzice jednego z mych uczniów dali mi do poznania, o ile byliby radzi, gdybym z ich synem mógł się udać do Filadelfji, gdzie mieli krewnych. Nie znałem tamtej strony, brała ciekawość ją zwiedzić; propozycja więc przypadła mi do smaku — nazajutrz byliśmy już w drodze.

Nie mam ochoty opisywania tu tej podróży; odbyłem ją, rzec mogę, lotem ptaka, już to statkiem parowym, już koleją żelazną; zdrowie też moje będąc w nienajlepszym sta-

nie, stanęło na przeszkodzie do poglądów zwyczajnych turystom.

Filadelfja, stolica Pansylwanji, siedlisko kwakrów, jest uważaną za drugie miasto po Nowym Jorku. Jednostajność jej równolegle przecinających się ulic nudzi wędrowca; ulice te urozmaicone są tylko podwójnym szeregiem drzew, rzucających miły cień na przechodniów. Czystość znalazłem tam większą, niż w innych grodach Ameryki. Kawaler chcący być dobrze widzianym, nie powinien kurzyć cygara na ulicy, nadewszystko w niedzielę — a ktoby ośmielił się plunąć na chodniku gdy damy spacerują, kwakrzy gotowi wytoczyć mu proces. Człowiek zawiadomiony o tem!

Godną jest podziwienia w Stanach Zjednoczonych łatwość pod względem stawiania domów. Budowa drewnianych jest tak lekką, że gdy równają ulice, popychają te domy naprzód lub je cofają, stosownie do potrzeby; niekiedy przewożą je nawet na kołach z miejsca do miejsca. Znajomość mechaniki dochodzi do najwyższego stopnia. Nie raz widzi się tam, jak dodają nowy parter domowi; wtedy podnoszą go za pomocą dźwigni z pod spodu i stawiają na podporach. Rzemieślnicy pracują w najlepsze, na opróżnionem miejscu, mając po nad głowami ów dom sztucznie podniesiony, do którego mieszkańcy wchodzą po drabinach i oddają się w nim zwykłym zatrudnieniom, nie troszcząc się bynajmniej tem że wiszą w powietrzu.

W Filadelfji mnóstwo budynków jest z marmuru białego, na którym w Stanach Zjednoczonych nie zbywa; nie wyrównywa on białością kararyjskiemu. Trudno znaleźć w Europie marmurowego gmachu tak obszernego, jakim jest pałac zwany «Girard-College» w okolicy Filadelfji. Filantrop Girard zapisał przed zgonem dwa miljony dolarów (16,000,000 Złp.) na wzniesienie go dla schronienia i wykształcenia 300 sierot płci męzkiej.

Lecz największą ciekawością Filadelfji jest bez zaprzeczenia owo sławne więzienie Cherry-Hill, na wzór którego wiele podobnych zakładów urządzono w Europie.

Położone jest ono przy tej samej ulicy co i kolegjum Girarda, a nawet w nieznacznej od niego odległości, uderza-

jącą z niem stanowiąc sprzeczność: jeden budynek posępny o wysokich i szarych murach, o zębatych wieżycach, jakby sterczące zamczysko feodalnych wieków; drugi wspaniały, piękny, jasny, zakrawający na świątynię grecką, uśmiechający się, z dobrą kolumnadą. W pierwszym samotne ofiary rachują godziny nudne, długie, jednostajne, bez wyrazu dla nich, podobne do snującej się procesji czarnych widziadeł z żałobnymi całunami na twarzach — w drugim szczęśliwe jak ptaszęta igrają dziatki, wydobyte z nędznych chat i przeniesione dobroczynną ręką do marmurowego pałacu.

Ależ i więźniowie byli także niegdyś dziatwą z słodyczą niewinności na licu. Czyż nie jeden z nich wzdychając dzisiaj na twardem łożu milczącej celi, pamięcią w przeszłość biegąc, nie narzeka na błędne wychowanie, nieodpowiednie społeczeństwu, w którem człek żyć jest zmuszony, jako na źródło swej niedoli?!...

Cherry-Hill tem się głównie odznacza, iż rozwinięto w niem na najrozlegszej stopie system odosobnienia, tak zwany filadelfski. Wedle niego przestępca wyrzucony z towarzystwa winien być samotnikiem, pogrążonym w pracy.

Ważna kwestja więzienna ustawicznie jest w świecie dotąd poruszaną, jako jedna z najżywotniejszych. Przeciwko systemowi filadelfskiemu występowali adwokaci, pomiędzy innymi znakomity Dickens, nazywając go okrutnym i barbarzyńskim; pomimo to znalazł w znacznej liczbie obrońców, utrzymał się i został zastosowany do praktyki.

Pałając ciekawością, jakie zrobi na mnie wrażenie dotykalny przedmiot, o którym długie toczyły się spory, przypomniała mi się cytadela warszawska. Postępowałem zamyślony ku bramie Cherry-Hill, opatrzony kartą wejścia od administracji.

Na wstępie napotkałem jakąś rodzinę cudzoziemską, której jeden z dozorców miejscowych przewodniczył; przyłączyłem się więc do nich, zacząłem rozglądać w gmachu i słuchać pilnie opowiadania.

Cztery długie korytarze, zapełnione celami, schodzą się do wspólnego ogniska, po nad którem wznosi się obserwatorjum dozorców; słychać tam do koła łoskot maszyn,

uderzenia młotów; zrazu zdaje się zwiedzającemu, że wszedł do ogromnej rękodzielni.

Korytarze były puste, spojrzenia me gubiły się w ich przestrzeni. Nie zoczyłem tam żandarmów, ani gromady żołnierzy z bagnetami; dwóch tylko, miarkując z odzieży, filantropów kwakrów, przechadzało się opodal z miną zimną, radząc o udoskonaleniu czegoś w zakładzie.

Oto i wszystko, co postrzegłem!

Dowiedziałem się, iż kara więźniów zawierała się pierwiastkowo w trzymaniu ich odosobnionych bez żadnego zatrudnienia; lecz gdy okazało się niepodobieństwem wykonywać to dalej nie szkodząc ich zdrowiu i nie przytępiając zdolności umysłowych, zaniechano zgubnego środka.

Za przyprowadzeniem skazanego, strzygą mu włosy, kąpią w wannie, następnie wiodą go do numeru mu przeznaczonego z zawiązanemi oczyma. Tym sposobem nie znając on wcale położenia miejscowości, nie widząc nadto nigdy żadnego ze swych towarzyszy, ani mogąc się z nimi porozumiewać, ucieczka jest mu utrudnioną. Po wyjściu zaś z więzienia nie może być poznany ani poznać byłych sąsiadów.

Każdemu z winowajców zostawiono obrać sobie dobrowolnie rzemiosło wedle upodobania.

Chłost cielesnych nie ma. Władza wykonawcza jest ograniczoną. Więzień wie, że nie zależy od fantazji pojedyńczego człowieka — może w swem opuszczeniu nawet poczytywać się za wolnego, znoszącego jedynie wyrok obowiązującego zarówno wszystkich obywateli prawa; a z czasem wydobywszy się z kaźni, jeźli wstępuje nazad do towarzystwa upokorzony, to przynajmniej nie poniżony.

Temu, kto nie chce pracować, zmniejszają ilość pokarmu; atoli rzadko się to trafia. Jeżeli zaś przyzwyczajony do pracy przeskrobie coś przeciw regule przepisanej, zwierzchność pozbawia go zatrudnienia, i ma to być najsurowszą dla niego karą. Niekiedy także poprawiają wykraczających za pomocą aresztu w ciemnej kazamacie, lub też spuszczania na nich wody, co podobno nie szkodzi ich zdrowiu a trwoży bardzo.

Posłuszeństwo zależy na bezprzestannej czujności, zapobiegającej we dnie i w nocy zmowie mieszkańców z musu w Cherry-Hill.

Liczba kobiet osadzonych jest mała stosunkowo do mężczyzn. Zdaje się, że sąd przysięgłych oszczędza je ile może.

Czas więzienia trwa od roku do dwunastu lat. Wedle wykazów statystycznych, na dziesięciu skazanych na lat dwanaście, zwykle siedmiu umiera przed terminem; śmiertelność zależy od wewnętrznego usposobienia. Dozorca opowiadał, że znajdują się istoty wyjątkowe, co łatwo nazwyczajają się do samotności — najtrudniejszy dla nich początek! — że jeden z więźniów umie nawet tak swe chwile zająć, iż dzień krótkim mu się wydaje; lecz dla wielu odosobnienie stanowi straszliwą plagę. Nierówność ta charakterów jest przeszkodą do równości w wymiarze sprawiedliwości na zbrodniarzy; nie zawsze najgorsi cierpią najwięcej.

Kobiety w ogóle znoszą snadniej rodzaj życia nieruchomego od mężczyzn, będąc do niego od młodości bardziej nazwyczajone; co większa, zdawałoby się to nie do uwierzenia, są mniej gadatliwe.

W ostatnich czasach zaprowadzono pewne złagodzenia. Tym, którzy zachowują się nienagannie, dozwalają pracować po na zewnątrz ich cel, jużto w innej części gmachu, już w ogrodach do niego należących. Ta drobna na pozór ulga zrządza nieszczęśliwym uciechę nie do opisania, chroniąc ich od pomięszania zmysłów.

Pokazywano nam cele. W jednej z nich uderzył me oko bluszcz rozpinający się na ścianach. Więzień, szewc z profesji, był skazany na lat 10; miał warsztat u siebie, odsiedział już był lat 8. Jakkolwiek malował się spokój na jego obliczu, ale był to spokój nieboszczyka. Kamienny jego grobowiec zbudowany dla żyjących, przystrojony zielonością, przykre zrobił na mnie wrażenie w obec zaklęsłych szczęk więźnia. Przebijała się w nim głucha radość, iż mógł zamienić kilka słów z gośćmi.

Cele w ogóle są schludne, dobrze utrzymane i dosyć obszerne. Każdy mężczyzna ma przy swej celi oddzielny

ogródek, gatunek łączki w kształcie trójkata rozwartokątnego, gdzie w pewnych oznaczonych godzinach może oddychać świeżem powietrzem. Przypomina to klasztor Kamedułów na Bielanach. Kobiety nie posiadają ogródków, ale za to po dwie cele. Przyznać należy, iż pod względem mieszkania nie jeden biedny pachołek lub sługa pozazdrościliby może aresztantom filadelfskim.

Po ukończeniu prac dziennych dozwolone im jest zajęcie się w wieczór czytaniem; zakład ma bibljotekę pod zarządem jednego z przestępców. Dozwolono im nadto śpiewać i gwizdać przy pracy, tudzież palić fajkę i zażywać tabakę — dozwolono i kichać.

Co do pożywienia, dają im herbatę z zakąską o godzinie 7 zrana, dwa razy zaś na tydzień kawę. Dawniej otrzymywali codziennie kawę, atoli narkotyk okazał się zbyt rozgrzewającym. Obiad jadają o południu: pięć razy na tydzień mięso wołowe, dwa razy baranie; chleba ile się komu podoba. Wieczór następuje herbata.

Co dni 15 dozorcy wypuszczają pojedyńczo więźniów do kąpieli. Morok warszawski nie zwykł tego czynić ze swoimi, twierdząc, że gdy aresztant brudny, to mu cieplej.

Pod względem ekonomicznym wyrozumowano, że nie potrzeba aby Cherry-Hill stanowił źródło dochodów dla skarbu publicznego; lecz że jest słusznem, aby praca zamkniętych nagradzała społeczeństwu koszta wyłożone na ich utrzymanie — dom poprawy bowiem jest celem ludzkości a nie zysków.

Byłem świadkiem przemowy pastora.

Kobiety zdawały się być zachwycone kazaniem, którego zapewne nie rozumiały, tak dalece było naszpikowane tekstami i frazami teologicznemi.

Wpływ słowa człowieka odzianego w sutannę na białogłowy jest do zastanowienia. Nie raz zapytywałem siebie, czy niewiasta nie jest naturalnie wyższą od przeciwnej sobie płci. Podczas, gdy Adam zasypiał w raju, Ewa już była ciekawą wiedzy. Myślę, że od onego czasu, jeżeliśmy odziedziczyli poczciwość naszego praszczura, wnuczki Ewy nie odrodziły się też od swej babki.

Molier zauważył, że nieroztropnie jest kształcić tę płeć niespokojną. Utrzymując kobietę w przyzwoitej nieświadomości, dajemy jej wprawdzie wady, lecz zarazem i słabości niewolnicy — panowanie nasze zapewnione!...

Wróćmy do Filadelfji! Zanim porzuciłem miasto, oznajmiono mi, iż warto zwiedzić stary ratusz. W jednej z jego sal, którą utrzymują w stanie pierwotnym, jako relikwię uroczystej pamiątki, był podpisany pod datą 4. lipca 1776. roku akt zrzucenia na zawsze jarzma angielskiego, a ogłoszenie Rzeczypospolitej niezależnej.

Czytałem ten pamiętny dokument, który był w swoim czasie jednogłośnie przez Amerykanów uchwalony i przyjęty. Zachwyciła mię w nim wielkość myśli wyrażonej po prostu. Zastanowiwszy się obecnie nad nim, po tylu wydarzeniach politycznych, których byłem nie zbyt dawno naocznym świadkiem w Europie, znajduję w owym akcie dotykalnie wyłożoną zasadę narodowości, stojącą jak wiadomo na świeczniku wieku naszego.

Główne ustępy rzeczonego aktu są osnowy następującej:

«Gdy w biegu wypadków staje się niezbędnem dla ludu zerwanie związku, który go łączył z innym ludem, a to żeby mógł zająć pomiędzy potęgami ziemskiemi oddzielne stanowisko, do czego go upoważniają prawa natury i boskie — uszanowanie należne opinjom ludzkim wkłada nań obowiązek wypowiedzenia przyczyn znaglających go do takowego rozdziału.

«Uważamy za pewniki te prawdy:

że wszyscy ludzie są sobie równi stworzeniem;

że byli opatrzeni przez Stwórcę pewnemi prawami;

że do tych praw należy życie, wolność i poszukiwanie szczęścia;

że dla strzeżenia tych praw są ustanowione rządy i że ich władza, o ile nie występuje z granic sprawiedliwości, utrzymuje się za zewoleniem rządzonych;

że, gdy forma rządu nie odpowiada temu celowi, lud ma prawo zmienić ją lub znieść, ustanowić nowy rząd i uorganizować władzę w takim składzie, jaki uzna za najwłaściwszy dla swojego bezpieczeństwa i szczęścia.

«Roztropność wprawdzie posłuży w tym razie za skazówkę, aby rząd ustalony z dawna, nie był obalony z powodów błachych, lub chwilowych; doświadczenie dowiodło, że ludzie są raczej usposobieni do cierpień o tyle, o ile je znieść są w stanie, niżeli do wywrócenia rządu, do którego przywykli. Lecz, gdy długie pasmo nadużyć i przywłaszczeń ze strony tego rządu, wykazuje jasno jego zamiar narzucenia ludowi jarzma absolutnego despotyzmu, jest prawem ludu, jest jego obowiązkiem, uniknąć owego jarzma przez wzniesienie nowej strażnicy dla swego przyszłego bezpieczeństwa.» i t. d.

W Filadelfji ukazują jeszcze domek, gdzie wiekopomny kwakier, Benjamin Franklin, terminował u drukarza — pokazują dach, na którym umieścił swój wynalazek, owoc długoletnich a niebezpiecznych doświadczeń nad elektrycznością: najpierwszy konduktor od piorunów — pokazują wreszcie skromny grobowiec, mchem porośnięty, z wyrytym na nim napisem, ułożonym przez samegoż Franklina na wiele lat przed śmiercią.

Dowcipne te wiersze brzmią:

«Tu spoczywają zwłoki Benjamina Franklina, drukarza,
Podobne do okładki starej książki,
Z której spis przedmiotów był wydarty,
Litery i pozłota pozacierane;
Robaków pastwisko!
Pomimo to, dzieło nie zostanie zatracone:
Ukaże się ono w innym formacie,
W nowem poprawnem wydaniu,
Oczyszczone przez Autora (Boga).»

— —

Filadelfja wydała wielu znakomitych mężów.

Nie podobna mi się z nią rozstać bez poświęcenia karty krótkiemu życiorysowi Stefana Girard'a, założyciela sławnego domu przytułku dla sierot, o którym powyżej wspomnieliśmy.

Niechaj życiorys ten posłuży za wzór do naśladowania bogaczom!

Girard, Szwajcar z urodzenia, był jeszcze młodym i ubogim chłopcem, gdy zbiegiem okoliczności przybył do Ame-

ryki, którą z czasem uznał za swoją przybraną ojczyznę. Wstąpiwszy tam początkowo jako majtek na okręt kupiecki, podróżował długo po kuli ziemskiej i przez przeciąg lat trzydziestu nie otrzymał żadnej wiadomości od swej rodziny, która zdawała się nie troszczyć wcale o niego.

W ciągu owej epoki zostawszy miljardowym panem, a czując siły zwątlone pracą, postanowił przed śmiercią odwiedzić ojczyste strony i uścisnąć pozostałych krewnych.

Chcąc doświadczyć ich uczuć, ukrył swoją fortunę.

Przywdziawszy ubiór majtka, zjawił się pewnego pięknego poranku do nich, jak drugi Robinson Kruzoe, niby cudownie ocalony z rozbitego okrętu.

Miano go od dawna za umarłego, a zwykle tak się dzieje, że ludzie nie przebaczają nieboszczykom, którzy swą obecnością zakłócają spokój żyjących. Ztąd wypadło, że nasz kapitalista doznał lodowatego przyjęcia od najbliższych a zamożnych krewnych, i dano mu do zrozumienia, aby co rychlej powrócił do siebie tą samą drogą którą przypłynął.

Gdyby wiedziano, że przybysz posiadał trzos dobrze naładowany, rzecz bez wątpienia inaczej by się była miała; lecz dostrzeżono tylko u biednego żeglarza jednę więcej gębę do karmienia — egoizm więc wziął górę.

Widząc to Girard, rozdał pomiędzy ubogich znaczną kwotę pieniędzy, potem z sercem zranionem pożegnał rodzinną strzechę i powrócił do Ameryki, pozostawiwszy w nieutulonym żalu stroskaną odtąd familję, która go żałowała, jak się żałuje straconą sztabę złota.

Stefan Girard prowadził zawsze życie najoszczędniejsze, żeby miał czem przyjść w pomoc cierpiącej ludzkości; ograniczał własne potrzeby dla korzyści bliźnich; był nieprzyjacielem zbytku i okazałości. Pokazują do tego czasu w domu ochrony dla sierot, na który jak wiadomo wydał 2,000,000 dolarów, jego wytartą odzież i meble nie kosztowne. Człowiek ów wzbogacał miasto całe.

Zgasł w 1831. roku, zapisawszy na cele dobroczynne całe swoje mienie.

Najpiękniejszy dom przy ulicy Chesnut-Street, najlepiej

urządzony folwark w okolicy Filadelfji, należą teraz do miasta, gdyż Girard mu z nich zrobił ofiarę — można tam oznaczyć niemal w każdej ulicy jakiś ułomek ogólnej cyfry dochodu pochodzącego z jego przemysłu i pracy... I czyż podobna zapomnieć o mężu takim?

A jednakże, ilekroć razy słyszałem mówiących w Ameryce o Girardzie, nie przebijało się w ich słowach uszanowanie, ani wdzięczność — jeźli wspominali jego imię, to jedynie z powodu wysokiej ceny ziemi przez niego niegdyś tanio zakupionej, lub użytku dochodów z odziedziczonych po nim majątków. Wyliczali nadto anegdoty mające związek z życiem prywatnem zmarłego, które pozostało między nim a Bogiem. Nie wiem, czy przynajmniej dzieci, co mu winny chleb powszedni i odbieraną edukację w zakładzie, uczą się wdzięczności dla ich dobroczyńcy.

Nie pochodziż to lekceważenie osoby Girarda z powodu testamentu, którym zabronił, aby noga żadnego księdza nie postała nigdy w zakładzie przez niego ufundowanym, i gdzie tylko cywilni lekcje wykładać mogą?...

Rzecz jest prawdopodobną! Girard położył ów warunek, zwróciwszy może uwagę na liczne sekty religijne w Ameryce, których różni duchowni cisnęliby się na profesorów do zakładu i mącili w świętej gorliwości umysły początkującej w naukach młodzieży. Może nawet przewidział, że tego rodzaju testament w kraju, obejmującym w swem łonie około dwustu rozmaitych wyznań, narobi mu wielu nieprzyjaciół; lecz nie dbał o to, jako człowiek wyższy, czyniący dobro dla dobra, bezwzględnie na swą osobistość.

Być też może — bo i to przypuścić należy — że Amerykanie, przywykli do obecnej rzeczywistości, uważając cześć oddawaną cieniom zmarłych za niepotrzebną, za bezpożyteczne marzenie romantyczne, zajmujące jeno drogi czas napróżno, nie zwykli unieśmiertelniać nieboszczyków wspominaniem takowych. Dla tego bardzo mało u nich napotyka się pomników. Co im n. p. po imieniu Girarda? Pozostałe po nim dolary — to przedmiot korzystniejszy do rozmowy!...

XV.

PODRÓŻ, PRALNIA PRAKTYCZNA, INDJANIE.

XV.

Podróż z Filadelfji odbyłem, że tak powiem, zygzakiem, bez oznaczonego celu; nie miałem w niej zamiaru badania otaczających mię przedmiotów; pragnąłem ruchu, zdrowia i życia. Wycieczka tego rodzaju w krainie nieznanej, owo błądzenie bez przygotowania, bez planu, zmiana miejsca, nowe obrazy natury, wszystko to przyjemnie oddziaływało na mój strudzony umysł i ciało. Były to chwile błogiego wypoczynku, wśród których nie troszcząc się o jutro, przedłużałem me istnienie w spokoju — było to odżycie w przyrodzie, wzmocnienie sił swoich. Z całej tej podróży przypominam sobie zaledwie miejscowości, co więcej zajęły zmysły a niżeli myśl moją.

Wywoływania przez konduktora nazwy rozmaitych sławnych a znanych mi miast uderzały tam i owdzie me ucho. Gdy spojrzałem atoli w przejeździe na niejedno z takich miast o szumnym tytule, dostrzegłem, że składało się zaledwie z kilkudziesięciu domów, że jest to dopiero gród w projekcie, że jest nazwisko, brakuje tylko rzeczy. Amerykanie mają swe: Genewę, Amsterdam, Frankfurt, Syrakuzę, Kanton, Jordan, Port Byron, Rzym, Kartaginę, Warszawę, Moskwę, Palmirę, i t. d. Mają nawet, na ich pochwałę, miasteczko Puławski, pierwsze oryginalne.

Wielkie miasta nie są stolicami kantonów w Stanach Zjednoczonych. Waszyngton także jest jednem z podrzę-

dnych; w Stanie nowojorskim nie jest stolicą Nowy-Jork, lecz Albanja; w Stanie luizjańskim nie Nowy Orlean, ale drobna mieścina Bâton-Rouge, i t. p. Amerykanie nie lubią w wielkich miastach mieć hierarchji biuralistów pod nosem — jakkolwiek urzędnicy nie są tam narzucani narodowi mimo jego woli; awans polityczny otrzymuje się przez przekonanie. Za pomocą wymowy ustnej i dziennikarstwa można dojść wysoko człowiekowi z talentem. Liczba gazet i wpływ ich ogromny! Dziewięć dziesiątych części ludności nie czytuje nic innego jak o kwestjach pobieżnych, dotyczących wprost życia zastosowanego do praktyki. Książek mało wychodzi, lud ich nie kupuje; a jeźli je czyta, to najwięcej podróże.

Każda kolonijka ma swoją drukarnię i gazetę.

W jednej z takich kolonijek przypatrywałem się dziewczynie jak prała bieliznę, sposobem prostym i nader wygodnym, upowszechnionym tylko w Ameryce. Uważajcie gosposie! praczka owa stanęła przed wyniesionem na trójnogach korytkiem napełnionem ciepłą wodą, postawionem przy ścianie; wstawiła do niego deszczułkę i oparła ją o ścianę; deszczułka była obitą z jednej strony blachą tak, że cała jej powierzchnia, obejmująca parę łokci kwadratowych, przedstawiała kształt poprzecznych, wypukłych zagonków, podobnych do wachlarza rozwiniętego. Dziewczyna biorąc po sztuce namydloną bieliznę, maczając w wodzie i trąc o blachę, wysączała z niej brud sgosobem łatwym, nie potrzebując się schylać ani kaleczyć sobie palców, jak to czynią nasze poczciwe Krakowianki. Przeklęte praczki paryzkie robią mi obecnie szkodę przez darcie koszul ostremi szczotkami. Czemuż raczej nie naśladują Amerykanek!...

Ruszyłem dalej!

Na stacji kolei żelaznej zdybałem polskiego żydka ze skrzyneczką zaczepioną na piersiach, napełnioną zegarkami, któremi po wsiach handel prowadził; zegarki te wypisywał z Szwajcarji i dość korzystnie je sprzedawał.

Mówił mi, iż za przybyciem do Unji, mając całego majątku około 200 rubli, założył za nie sklepik z cukierkami

blizko szkółki miejskiej dla dziewcząt. Te wybiegając codziennie podczas rekreacji na ulicę i cisnąc się do sklepiku czyniły mu tyle odbytu, iż w krótkim czasie zarobił tysiąc dolarów i puścił się na znaczniejszy handel.

Starozakonny rodak zdał mi się być człowiekiem wykształconymi chorującym, jak to mówią, nieco na arystokratę. Zapatrywał on się ze swego sposobu widzenia na równość amerykańską.

Jest to — rzecze — jarzmo bardzo ciężkie, ta równość! Aby zadowolnić wszystkich, trzeba niemal zaprzeć się samego siebie i czynić wiele ustępstw; każdy opłaca ustępstwami swego gustu, skłonności, niezależności, korzyści cząstkowe jakie towarzystwo mu daje.

Okupuje się — rzecze dalej — drogo wolność zbiorową, gdy się ją opłaca niewolą osobistą. Tutaj bogaty jest zawsze ciśnięty przez biednego i gnieciony przez zazdrość gminu — tu potrzeba postępować krokiem ogółu, żyć życiem wszystkich. W teatrze, w podróży, w oberży, niewola jest powszechną, nieuniknioną w stosunkach publicznych; wszystkie działania są zbiorowe.

Wypadło mi oczekiwać na stacji kilka godzin.

Starozakonny zaprosił mię z sobą na przechadzkę do pobliskiego miasteczka. Udaliśmy się tam gawędząc, gdy na wstępie zostaliśmy mimowolnymi świadkami pojedynku na kułaki. Należy on tyle do zwyczajów amerykańskich, że nie podobna o nim przemilczeć. Bokserów z rzemiosła, znających anatomję, wiedzących gdzie uderzyć, Unia ma pod dostatkiem. Sprawy uliczne załatwiają się tam powszechnie boksami — zwycięzca najczęściej ma słuszność — przyznaje mu ją przynajmniej areopag złożony z gawiedzi brukowej.

Ale na co szukać Ameryki pod tym względem, gdy niedawno temu cała Anglja przez kilka dni była zajętą walką na kułaki dwóch zapaśników: Tom Sayers'a z Irlandji i Henau z Ameryki.

Na stałym lądzie nie możemy nawet mieć pojęcia, aby ludzie wykształceni wielkich klas społeczeństwa, mogli się do tego stopnia zapalać, iżby dla widzenia cielesnej szermierki

narażać się nie tylko mieli na podróż tajemniczą przed światem, ale nadto na proces, do wytoczenia którego wedle ustaw angielskich były upoważnione władze policyjne. Cóż powiedzieć jeszcze na to, że wraz z Henau przybył z Ameryki umyślnie dla widzenia tej bójki tłum niepośledni Amerykanów!

Wprawdzie bitka na kułaki idzie już w zapomnienie, jak potykanie się byków lub kogutów; straciła on już wiele z pierwotnego uroku, i żaden członek parlamentu nie śmiałby już dziś, jak to niegdyś bywało, iść na pięści ni ztąd ni z owąd, jedynie dla poszczycenia się swoją siłą lub zręcznością. Bój na kułaki został tylko w Europie dla zapaśników z rzemiosła, do jakich dwaj wymienieni należą.

Tom Sayers miał imię niepokonanego siłacza, a syt chwały i pieniędzy byłby we wszystkich trzech królestwach Wielkiej Brytanji nie znalazł nikogo, coby się odważył z nim mierzyć. Amerykanie dumą narodową podłechtani sprowadzili swego krajowca, Henau, i od kilku tygodni szły w cichości przygotowania; gdyż policja śledziła wszystkie kroki klubistów boksowania.

Nakoniec pewnego dnia przed świtem, po tajnem umówieniu się, ruszyła czereda ciekawych z Londynu osobnymi pociągami kolei z dworca przy moście londyńskim (London-bridge). O godzinie czwartej rano odeszły pociągi do Dover jeden za drugim; a lubo policja poczyniła zasadzki po najbliższych stacjach, chybiła jednak, bo pociągi dojechawszy do Reigate o 30 mil od stolicy skręciły uboczną drogą i o świcie wysadziły kilka tysięcy osób pod Farnborough.

Nie należy pominąć tej uwagi, że policja angielska nie ma tej władzy jak na stałym lądzie, aby nie dbać na formalności, jakich potrzeba jej gdy zechce wdawać się z urzędu w jaką sprawę.

Za przybyciem wymierzono i wytknięto plac boju na łące i dwaj boksery stanęli do walki, wybrawszy losem, po której stronie każdy z nich ma stanąć.

Amerykanin był roślejszy i barczystszy od Irlandczyka, a ten za to zwinniejszy.

Walka trwała 2 godziny i 8 minut, walczący przeszło czterdzieści razy uderzali na siebie, kiedy przerwała im dokończenie policja.

Z początku Amerykanin był górą i za każdym ciosem zdawało się, że pogruchocze przeciwnikowi kości; lecz przez fałszywe uderzenie parokrotne tak sobie zmachał prawą rękę, że potem już lewą tylko mógł działać zaczepnie, a prawej używał li w obronie, dla odparcia nacierań Irlandczyka. Ten ostatni czując, że na żylastych muszkułach przeciwnika pozbija sobie bezskutecznie pięści, oszczędzał się z razu, następnie zaś walił go między oczy, aż mu je podbiwszy i pokrwawiwszy twarz całą, zdawał się już być bliski wygranej.

Oczywiście, że obecni temu widzowie bawili się tymczasem w zakłady.

Nazajutrz przed sądem co miał decydować o wygranej, stawił się tylko Sayers z ręką na chustce, lecz przeciwnik jego nie pokazał się wcale. Powiadają, że nie wydobrzeje rychło, a może nawet wzrok straci. Ze wszech stron nadsyłano dary dla obydwóch.

Walka tylko odroczona; trzystu Amerykanów powróciło za Ocean, wioząc z sobą obszerne sprawozdanie dziennika poświęconego wyścigom, bójkom, i t. p.

W dalszej drodze byłem świadkiem jakiejś uroczystości massońskiej. Orszak procesji przechodził poważnie ulice, uszykowany w pary, podzielony na oddziały. Każdy z oddziałów obejmujący lożę, był poprzedzony muzyką; przed każdym niesiono godła należące do loży. Na zakończenie uroczystości urządzono fajerwerki; zarząd atoli miejski nie brał bynajmniej udziału w tej zabawie publicznej. Każdy z mieszkańców mógł puszczać z całą wolnością race i wszelkiego gatunku ognie sztuczne, przed swemi drzwiami, z okien, lub gdzie mu się podobało. Trwało to do północy.

Zasada wolności przewodnicząca w Ameryce sektom religijnym, jak równie innym użytecznym stowarzyszeniom i zakładom, przewodniczy także rozrywkom ludowym; zwierz-

chność nie wtrąca się tam ani do dawania zabaw, ani do ich zabraniania; we wszystkiem sam naród załatwia swe potrzeby i żądze, a nawet niekiedy przychodzi w pomoc rządowi do załatwiania jego czynności.

W Ameryce, podobnie jak w Anglji, obyczaje czuwają nad obyczajami. Jeżeli na przykład ktoś wydaje gorszącą książkę, rycinę albo malowidło, wystawia się na proces ze strony Stowarzyszenia dla zapobierzenia zepsuciu. Jeżeli kto wyleci z powozu z powodu złego bruku, może wytoczyć proces kompanji za bruk odpowiedzialnej.

Obywatele sami zastępują niedostatek policji i utrzymują porządek. Współudział ludu we wszystkiem! Niech się stanie jakiś występek lub zbrodnia w kolonji, wszyscy jej mieszkańcy i z przyległych okolic rzucą się w celu poszukiwania winowajcy, gdyby ten szukał ocalenia w ucieczce. W razie ruchu zbiorowego, mającego złe zamiary, występuje zbrojno milicja złożona z obywateli i mieczem roztrzyga sprawę.

Odpowiada to zawsze jednej i tej samej zasadzie: porządek przez wolność!

Ujrzałem się w stepie, w owym rozległym stepie rozciągającym się od jeziora Michigan aż po za rzekę Mississipi, wśród żyznych równin i łąk, gdzie przybywają corocznie karawany z emigrantami ze wszystkich części świata. Pług i ręka ludzka zamieniają szybko pustynię na uprawne pola, które stały się już śpichlerzem Stanów Zjednoczonych.

«Łąka» jest dla Amerykanina wyrazem czarodziejskim; wyobraża ona przyszłość, postęp, poezję. Amerykanin przestał wspominać o swych lasach dziewiczych, odkąd wytrzebił je znacznie i poprzeżynał szynami dróg żelaznych.

Dla kolonisty las przedstawia zawsze niedogodną miej-

scowość; uciążliwe karczowanie zraża go, zbywa mu na dogodnem pastwisku dla inwentarza, łąka zaś i step mają dlań powab, zwłaszcza gdy nie obawia się już Indjan i ich arkanów, kiedy zagładzono niemal owo nieszczęśliwe a tak bohaterskie plemię.

W stepie kolonista oddycha swobodną piersią, łatwiej przenosi się z miejsca na miejsce, używa przyjemności jaką daje towarzystwo, odkryta przyroda w majestatycznym ogromie, polowanie na żubry i łosie.

Na krańcu stepu nad jeziorem Michigan wznosi się miasto Chicago. Ludność jego, nie istniejąca przed dwódziestu laty, dochodzi do 70,000 mieszkańców. Jezioro przedstawia widok posępny, martwy i dziki; brzegi ma piaszczyste. Wykwintne, podobne do pałacyków statki parowe, lakierowane na biało, w wydatnej ukazują się piękności na modrych wód płaszczyznie.

Miasto samo wygląda z daleka, jakby strażnica pustyni, jakby statek ugrzęzły na brzegu, z którego rozchodzą się parami na wszystkie strony czarne szyny dwunastu kolei pokrytych wozami.

W Chicago zamieszkują, jakkolwiek w małej liczbie, wynarodowione szczątki pokoleń indyjskich. Na szczęście przesąd co do cery twarzy nie istnieje w Ameryce dla ich szlachetnej rasy. Jeżeli obyczaje naturalnych niegdyś posiadaczy Ameryki były niekiedy barbarzyńskie, to uczucia ich były często wzniosłe.

Wieczorem postrzegłem wśród przechadzki po nad jeziorem gromadkę rzeczywistych Indjan, prawdziwych dzieci stepu. Rozpalone ognisko rzucało czerwoną łunę na wodę, oświecając tratwę napełnioną beczkami, około których uwijali się przemyślni yankesy. Na tle ogniska rysowały się ruchome sylwetki rodziny indyjskiej. Widać było krucze, kędzierzawe włosy dwóch mężczyzn dojrzałego wieku ogrzewających się spokojnie; kobiety zajęte były gotowaniem, a dzieci igrały, szczebiocąc do siebie wyrazami nieznanej mi mowy; jedno z nich wychylało główkę z białego płóciennego hamaku zawieszonego na drzewie.

Cała ta grupa przypominała jakiś ustęp wyjęty z Biblji.

Widywałem często Indjan przybywających na targ do Nowego Orleanu i mówiłem z nimi po francuzku. Podziwiałem godność, spokój i dumę malującą się w ich twarzach i w całem ułożeniu; ów nie dający się opisać wyraz ludzi pewnej powagi, w których nic nie zdawało się wzbudzać podziwienia. Podobała mi się ich rozmowa prosta a poetyczna, zmięszana z dowcipną ironją, którą ukochałem w tym ludzie zawojowanym o jasno-bronzowych, lecz pięknych, choć nieco ponurych rysach twarzy. Ale owa biedna grupa, koczująca we własnym kraju na przeciwko statków parowych i maszyn nad jeziorem Michigan, szczególniejsze na mnie zrobiła wrażenie.

Historja dwóch ras ludzkich odbiła się w tym żywym obrazku!

Zapytywałem się, czy jest istotnie w Indjanach tyle dzikości, jak o tem nakrzyczano? Zastanawiałem się nad ich obyczajami i nad ich przeszłością, i doszedłem do tego wniosku, że ludzie cywilizowani nazywają barbarzyństwem wszystko, co nie wchodzi w skład ich obyczajów, co nie jest do nich podobne.

Jeżeli ne przykład Indjanie żegnający się z sobą, dotykają się wzajemnie czołem i piersiami, w czemże ten obyczaj ustępuje naszemu? ... Kto tylko posiada dosyć uczciwości dla oddania szacunku bliźniemu i oceni w nim uczucie, a nie obłudną powierzchowność, ten nie odmówi swego współczucia Indjaninowi w jego pierwotnej czystości obyczajów.

Historja zaś indyjska przedstawia obraz wycierpianych przez ten lud okrucieństw i nieszczęść. Nie można jej czytać bez łzy w oku i powiedzenia sobie, że człowiek cywilizowany z błędami cywilizacji jest najstraszniejszem zwierzęciem na świecie. Okazał to szczególniej przy odkryciu Ameryki.

Tysiące Hiszpanów i Portugalczyków — uduchownionych rycerzy, jak się nazywali — zatopionych w modlitwie, z ró-

żańcami w ręku, powtarzających do przesytu zbawienne prawdy ewangeliczne, napadło na nowo-odkryty ląd, jakby na łup swój.

Potrzeba było dla ich gorliwości chrześciańskiej mszy i błogosławieństwa; lecz zaledwie ta się skończyła, zaledwie obtarli kurzawę z kolan i przeżegnani zostali przez mnicha, już zdradzać Indjan, rabować ich, palić, zażynać, uwozić, porywać im żony i córki i wypędzać z własnych siedzib!

Opanowawszy brzegi Oceanu Atlantyckiego i Spokojnego, awanturnicy ci wkroczyli w głąb kraju dla poszukiwania złota i djamentów, zakładali tam i owdzie osady, głosząc się sprzymierzeńcami łatwowiernych plemion miejscowych, głaszcząc je dopóki byli słabymi, napadając podstępem i zamieniając w niewolników gdy wzrośli w siłę. Niektóre z tych plemion były wojownicze i opierały się najazdowi z całą zaciętością. Ztąd początek nieustannego rozlewu krwi w Brazylji, w Stanach Zjednoczonych i na wszystkich punktach, gdzie Indjanie koczowali! Ztąd nienawiść i zemsta!...

Nie zawsze Europejczycy wychodzili zwycięzcami ze strasznych walk, za które odpowiedzialność cięży na nich w dziejach, przed potomnością. Padło ich wielu pod zatrutemi strzałami, lancą i maczugą indyjską; a osady ich otoczone przez tabory zrozpaczonych Indjan o mało nie uległy zagładzie; lecz wytrwałość, odwaga, a nadewszystko środki, na których zbywało Indjanom, utrwaliły zagnieżdżenie się Europejczyków w Ameryce i zmusiły większą część jej dzikich pokoleń do przyjęcia jarzma, tytułem traktatów zobopólnego przymierza. Inne zaś, co przenosiły tułactwo nad niewolę, rozpierzchły się po różnych zakątach, gdzie po dziś dzień się przechowują, zajmując się łowami, rolnictwem i pasterstwem — lecz są tępione zwolna.

Niektóre z tych pokoleń osiadły w Stanach Zjednoczonych, a utrzymując stosunki z rządem i z sąsiedniemi kolonjami Europejczyków, przyjmują wpływ tych ostatnich na obyczaje. Indjanie należący do rzeczonych pokoleń prze-

stali farbować ciało i stroić się w piora i muszle, a zaczęli nosić jaką taką odzież; kobiety zaś, idąc za przykładem cudzoziemek, nabrały nieco zalotności i poczęły trefić włosy. Lecz przejęli oni także, niestety, i zepsucie cywilizacji, mianowicie zawiść. Poszukajmy jeszcze jej przyczyny:

Przed dwódziestu pięciu laty widziano w Georgji lud indyjski rolniczy: pokolenie było liczne, bogate, uczciwe i spokojne; szanowało sąsiadów, dotrzymywało zawartych umów, słowem było posłuszne prawom. Stan Georgji wydziedziczył je z posiadłości. Oto fakt!

Lecz i drugi podobny temu:

W pobliżu Mississipi Indjanie plemion Creeks i Cherokees założyli kolonje kwitnące, porobili drogi, wprowadzili rzemiosła, a nawet mieli już drukarnię i dzienniki; okręg ich zostawał pod wyłączną opieką prezydenta Stanów Zjednoczonych. Pomimo tego uciec ztamtąd musieli, parci napływem Amerykaninów.

Cywilizacja nowoczesna nie ma litości dla obcej rasy, stojącej na przeszkodzie do jej szybkiego postępu!

Istniejące dotąd niedobitki indyjskie zostają pod zarządem swych kacyków. Godność ta jest obieralną, zachowaną dla tego, kto najwięcej na nią zasłużył. Poczucie niezależności cechuje zawsze ich charakter. Zdarza się, że gdy osadnicy ścieśniają pas zamieszkały przez Indjan, ci będąc dowiedzeni do ostateczności, napadają z nienacka jak piorun na przybyszów. Wycieczki wojenne urządzają zwykle w nocy, przy świetle księżyca, sądząc się być synami tego planety i naturalnie licząc na jego pomoc. Gdy przelatują cichy step lotem błyskawicy, możnaby ich wziąść za pułki istot nadprzyrodzonych.

Odwaga Indjanina jest powszechnie znaną. Jeśli jest pieszy, tedy z łukiem i strzałami lub bronią palną, czołgając się zręcznie, podstępuje pod nieprzyjaciela i czyni na niego zasadzkę — jeśli jest kawalerzystą, tedy na dzielnym rumaku bez siodła i ostróg naciera na wroga długą lancą, z krzykiem zapamiętałym, który go częstokroć sił

pozbawia, i cofa się tylko wśród widocznego niebezpieczeństwa.

Męztwo Indjanina jest większe w złej doli, niżeli w chwili zwycięztwa. Nieszczęście podnosi jego ducha, zamiast go osłabiać. Będąc rannym, bliskim zgonu, poddaje się losowi bez szemrania, bez jęku boleści. Popadłszy do niewoli jako jeniec, nie prosi o łaskę, pogardza groźbą i znosi męczarnie bez narzekania, nucąc Hymn do Śmierci. Jest to wtedy bohater męczennik!

Pomimo odwiecznej a sprawiedliwej nieufności, jaką ma do białych, Indjanin kolonizator jest dla nich gościnnym w swym szałasie. Przybądź tylko bez obawy, daj mu znak życzliwości, a poda ci rękę; żony zaś i córki rzucą przędziwo aby cię powitać. Przysłuż mu się cygarem, przyjmie je, popali i poda z kolei swym krewnym — a wdzięcznym ci będzie, gdy mu ofiarujesz trochę prochu i ołowiu, niewiastom zaś błyskotkę; gotów oddać za to skórę baranią.

Ażeby ująć Indjanina, dosyć usiąść przy nim podczas obiadu; cieszy go, gdy może się pokarmem podzielić z gościem. Jezuici, wysyłani na misje do lasów kanadyjskich, tym sposobem zobowiązywali sobie dzikich.

Język Indjan jest ubogi. Dla tego zmuszeni są używać wielu słów dla określenia jakiegoś przedmiotu lub myśli: fortepian nazywają skrzynką gadającą miłośnie; każdy statek zowie się u nich czółnem, zarówno barka, jak okręt o trzech masztach; parochód wszelakoż ma nazwisko czółna jasno widzącego z wielkiej medycyny.

Wyraz «jasnowidzący» ma tu znaczyć, że czółno widzi swą drogę, którą samo płynie.

«Wielka medycyna» jest synoninem: bardzo tajemniczy, cudowny.

Indjanin za przybyciem do miasta zwraca pilną uwagę na płody oświaty, lecz nie okazuje wrażeń swoich. Z powrotem do domu zasiada na skórach zwierzęcych przed chatą i zapaliwszy fajkę opowiada zgromadzeniu o rzeczach

nadzwyczajnych, które zwiedził. Wszyscy go słuchają w milczeniu, chociaż zdają się być na pozór obojętnymi.

Podobnie jak ministrele średnich wieków i gęślarze, Indjanie przedają z pokolenia do pokolenia stare tradycje przodków, wzbogacone własnemi postrzeżeniami.

XVI.

PODANIA O INDJANACH. HYMN DO ŚMIERCI.

XVI.

W okolicach Nowego Jorku jest wyspa, zwana Staten-Island; mnóstwo osób przybywa tam z miasta dla rozrywki w dni świąteczne; warto tam zwiedzić szpital kwarantanny.

Owa wyspa, dziś pięknie zabudowana, pokryta zielonością i kwieciem, ma ośmnaście mil angielskich długości a siedm szerokości. W roku 1637 była sprzedaną przez Indjan kolonistom holenderskim pod warunkami o tyle korzystemi ile oryginalnemi.

Wypłata nastąpiła nie w pieniądzach, lecz w towarach.

W akcie sprzedaży wymienione jest, że Indjanie ustępują wspomnioną wyspę Holendrom na wieczne czasy za:

Dziesięć koszul nowych z dobrego płótna;
Trzydzieści par pończoch;
Dziesięć strzelb;
Trzydzieści sztab ołowiu do lania kul;
Trzydzieści funtów prochu;
Trzydzieści kotłów;
Trzydzieści siekier;
Dwadzieścia motyk;
Pudełko noży.

Jeżeli Holendrzy umieli robić, jak się pokazuje, targi z Indjanami, to Anglicy przeszli w tej sztuce Holendrów. Wiadomo, że pierwsi nabyli brzegi Honduras, owoc długich pragnień, za dwie butelki rumu, od naczelnika plemienia Moskitos, gdy ten był w dobrym humorze.

Na wyspie Staten-Island istnieje do tej pory mydlarnia, gdzie wyrabiają i świece. W kantorze należącym do rękodzielni pracował w swoim czasie Włoch, który zarabiając zaledwie dwadzieścia dolarów miesięcznie, dzielił się z biedniejszymi od siebie emigrantami swoją szczupłą pensją.

Któżby się był spodziewał, że owym oficjalistą za 20 dolarów był przyszły wódz — Garibaldi?!...

Znakomity podróżny, pan de Hauranne, zwiedzając Amerykę w roku 1864, spotkanie swoje z Indjanami tak opisuje:

... Przepłynąłem Mississipi na czółnie, a dostawszy się na ląd, ujrzałem się na płaszczyznie wśród ryczącego bydła, co powracało z paszy. Fort-Snelling jest główną kwaterą wojska, strzegącego granicy indyjskiej — widziałem tam dwóch jeńców z liczby kilkuset, którzy popadli do niewoli podczas ich ostatniej wyprawy. Ci dwaj byli osadzeni w więzieniu i okuci w kajdany — pomimo tego odznaczali się miną dumną a szlachetną, różną od tej, jaka cechuje Indjan północnych. Powiadają, że pochodzą z rasy zmieszanej z białą i że dla tego mają tak piękne profile twarzy i wyniosłe czoła.

Jeden z nich leżał owinięty w kołdrę; był on skazany na powieszenie nazajutrz, za zgładzenie podejściem trzynastu ludzi. Wpatrywał się we mnie, mrucząc urywane słowa.

Drugi dostał się do niewoli na polu bitwy; mają go wypuścić. Trzymałem właśnie w ręku pęk kwiatów dziko rosnących, pachnących kwiatów żółtych i czerwonych. Zrobił znak abym mu je podał, co też uczyniłem. Zaczął je całować, wąchać, obrywać z nich listki, przytykać do ust, słowem bawić się jak dziecko. Tkliwy sprawiał widok ów Indjanin, okazujący miłość w głębi ciemnych murów więzienia, dla tych kwiateczków, które mu przypominały o jego niegdyś swobodzie na rodzinnych błoniach. Patrzyłem na jego radosne oblicze zapytując siebie, czy jest możebne żeby to rosłe dziecko ukrywało w swej postaci zwierza tchnącego okrucieństwem.

Jeden z naczelników indyjskich, przyjąwszy posła Stanów Zjednoczonych, posadził go na pniu przy sobie. W miarę jak poseł mówił, Indjanin się posuwał ku niemu. «Popychasz mię coraz dalej! — zawołał nakoniec poseł — nie mam już na czem siedzieć.» «Zupełnie tak samo, mój ojcze, wy postępujecie z Indjanami» odpowiedział dziki.

Naczelnik innego pokolenia znalazłszy się w obec misjonarzy, którzy go oświecali o męce Jezusa Chrystusa, rzecze do nich: «Bracia! nauczacie nas, jakoby biali zamordowali syna Wielkiego Ducha. My nie winni tej zbrodni; do was więc samych należy za nią odpokutować. Gdyby syn Wielkiego Ducha zstąpił był pomiędzy nas, dalecy od zabicia, bylibyśmy go szanowali.»

Sławny Indjanin, Red-Jacket, jeden z ostatnich krajowców, którzy przedłużali walkę przeciw najazdowi ich okręgu, bronił przed dwudziestu pięciu laty w obec sądu przysięgłych w Stanach Zjednoczonych, swego rodaka obwinionego o morderstwo. Ten został uniewinniony. Po wysłuchaniu wyroku, Red-Jacket zbliżył się do prokuratora i odezwał się doń:

— Bez wątpienia brat mój zrobił wiele złego któremu z krewnych twoich, boś go tak oskarżał przed trybunałem.

— Bynajmniej! odrzekł prokurator, starając się objaśnić Indjanina o naturze swoich obowiązków. —

Ten słuchał go w milczeniu, nareszcie zapytał:

— Czy płatny jesteś za pełnienie tych obowiązków, o których wspomniałeś? —

Urzędnik sądowy nie mógł zaprzeczyć.

— W takim razie — rzece Red-Jacket z zadziwieniem i wyrazem najwyższego oburzenia — w takim razie chciałeś sprzedać krew brata mojego.

Pomimo opieki prawa, której Indjanie doznawali niby, ślady ich już po większej części zatarte zostały. W miejscach, gdzie są dzisiaj urządzone spacery publiczne, widziano,

dwadzieścia lat temu, grobowce indyjskie. Zapytaj teraz Amerykanina, co się stało z temi grobowcami? Z najzimniejszą krwią odpowie: porwały je wód potoki. Czy nie dopomożono tym potokom?... Wszelakoż uczczenie grobów jest rysem najgodniejszym poszanowania w charakterze indyjskim.

Nie zbyt dawno temu, dzicy odbyli pielgrzymkę ze stron dalekich do kantonu Nowej Anglji, zkąd niegdyś ich dziadowie wypędzeni zostali: przybyli w celu odwiedzenia mogił swych przodków. Gdy postrzegli, że zniszczono te święte pamiątki, zdumieli z podziwienia i rozpaczy — nic nie mogło ukoić ich boleści i żalu.

Niektóre plemiona mają zbyt słabe wyobrażenie o Bogu. Inne zdają się nie zajmować przedmiotami metafizycznemi: Bóg i nieśmiertelność duszy wcale je nie obchodzą. Indjanie z Chaco powzięli wszelakoż ideę istoty wyższej, nadprzyrodzonej; lecz jest ona cielesną, jakkolwiek mieszkającą na gwiazdach.

Gdy usiłowano dać pojęcie katolicyzmu kacykowi Nacarutu, ten słuchał spokojnie o czem mu mówiono, aż w końcu odezwał się w te słowa:

— Żartujecie sobie chyba ze mnie, prawiąc mi brednie z których nic nie rozumiem. Jest tylko jedna istota po nad nami, dziadek Aharaigichi; on nas stworzył, jak stworzył także białych. Lecz ponieważ nas umiłował więcej od tamtych, obdarzył ich tylko pieniędzmi, nam zaś pozostawił wartość; zkąd wypada, że biali nie byli nigdy w stanie nas zawojować i nie ujarzmią nas nigdy!

— Czy nie możnaby obaczyć owego dziadka Aharaigichi?

— Poczekajcie, wskażę wam dziś wieczór jego mieszkanie. —

Z nadejściem wieczoru przypomniano o obietnicy.

— Aharaigichi mieszka tam od wielu księżyców — rzecze kacyk ukazując na konstellację Plejady. Kłaniamy się zawsze z uszanowaniem temu dobremu geniuszowi, zarówno gdy się

pokaże, jak gdy znika. Śpi on sobie smacznie w swoim pałacu i nie zajmuje się nami; ale dzięki jemu, dał nam wszystko, czego potrzeba do obrony ziemi, na której popioły naszych praojców spoczywają, i dla zachowania niepodległości. Cóż możemy więcej żądać o niego?

Sławny naturalista amerykański, Audubon, pozostawił opis, nie ustępujący pod względem malowniczości szkicom Coopera, swych wycieczek po stepie amerykańskim, gdzie pewien Indjanin ocalił mu życie.

Przebywszy — słowa pana Audubon — górną część kraju Missisipi, zmuszony byłem przejść jednę z łąk owego rozległego stepu, podobnego do Oceanu wysłanego zieloną murawą, zasypaną kwieciem.

Czas był cudownie piękny, przyroda tchnęła świeżością, trawa i listki jaśniały brylantami rosy.

W długich bótach, z fuzją na ramieniu i torbą myśliwską, postępowałem z wolna w towarzystwie wiernego psa, zachwycony blaskiem tej roślinności, i wpatrywałem się w danieli, igrających swobodnie na mej drodze.

Szedłem długo starą ścieżką indyjską; słońce już się miało ku zachodowi, gdy nie spostrzegłem jeszcze żadnego dachu, żadnego schronienia, gdzie strudzony mógłbym spocząć.

Nadszedł i wieczór!

Ptaki nocne, nęcone syczeniem owadów, któremi karmić się zwykły, zataczały koła nad mą głową; skowyczenie szurających tam i owdzie lisów zdawało się zwiastować o bliskości jakiejś osady, przy której czatowały na łup o zmierzchu.

W rzeczy samej, ujrzałem wkrótce mgłe światełko — ku niemu więc skierowałem kroki. Wychodziło ono z samotnej chaty przez drzwi na pół otwarte. Na kominie tlało ognisko, przed ogniskiem poruszała się niewyraźna postać; była to kobieta. Zapytałem jej wstąpiwszy do izby, czy pozwoli pod swym dachem przenocować.

— Dobrze, odpowiedziała, nie podniósłszy oczu. —

Głos jej chrapliwy, odzież złożona z łachmanów, niemile na mnie oddziaływały.

Zająłem miejsce na brudnej ławie przy kominie. Na przeciw mnie siedział młody Indjanin, mając głowę wspartą na ręku. Według zwyczaju nie poruszył się on za mojem wnijściem. Znalezienie się takie, pochodzące jedynie z dumy krajowców, bywa często uważane przez podróżnych cudzoziemców za skazówkę lenistwa, głupoty i obojętności. Wielki łuk stał oparty o ścianę; strzały i ptastwo zabite leżały na ziemi. Indjanin ciągle był nieruchomy, jakby stracił oddech. Przemówiłem do niego po francuzku, wiedząc, iż większa część tamecznych Indjan rozumie ten język choć cokolwiek. Jakoż, podniósł głowę, ukazując palcem na zranione okropnie oko, z którego krew płynęła mu na twarz; drugiem zaś okiem rzucił na mnie wejrzenie, ale tak szczególne, dziwno znaczące, że obeszło mię wielce.

Dowiedziałem się później, iż ranił się strzałą, która pękła w chwili, gdy majdan naciągał.

Cierpiał w milczeniu; rysy jego atoli, pomimo bólu, nie zdradzały wyrazu godności. Sam był rosły, dorodny, dobrze zbudowany i zgrabny; na obliczu jego malowała się pojętność i otwartość. Podziwiałem w nim męztwo dzikiego, stoika pustyni, lecz stoika bez próżności.

W chacie łóżka nie było. Kilka nie wyprawnych skór niedźwiedzich i żubrzych leżało w kącie. Spojrzałem na zegarek i rzekłem do gospodyni:

— Już jest późna pora, czuję się być mocno strudzony: jestem głodny, czy nie mogła byś mi dać co do zjedzenia? —

Popatrzyła na zegarek chciwie i zbliżyła się do mnie, mówiąc drżącym głosem:

— Odgrzeb jeno popiół a znajdziesz placek — już musiał się upiec — mam także solone mięso bawole i doskonałą wędlinę. Przyniosę to wszystko ... lecz, dodała, jakże wasz zegarek jest prześliczny! ... pokaż mi go Pan, bardzo proszę!...

Uczyniłem zadość życzeniu ciekawej białogłowy.

Zdawała się być zachwyconą moim łańcuchem i zegarkiem,

obracała go, oglądała na wszystkie strony, nareszcie zawiesiła go sobie na szyi.

— Nazwałabym się bardzo szczęśliwą, zawołała, gdybym posiadała taki zegarek! —

Nie zwracałem uwagi na jej słowa. Czułem potrzebę posiłku, zasiadłem do stołu, nieodstępny przyjaciel czworonogi towarzyszył mi do biesiady. Podróżowałem często po puszczach amerykańskich, a nie zdarzyło mi się spotkać ze złodziejami; stara kobieta, pomimo swej szpetności i chrapliwego głosu nie wzbudzała też we mnie podejrzenia.

Nagle Indjanin powstał i zaczął niespokojnie kręcić się po izbie. Przypisywałem to dolegliwemu cierpieniu, co go dotknęło. Ale w chwili gdy gospodyni się odwróciła, podstąpił, schylił się i utkwił we mnie spojrzenie tak przenikliwe, głębokie, ponure, iż mimowolnie zadrżałem. Zdziwiony migami jakie mi dawał, nie spuściłem z niego oka; drażniło go widocznie, że nie mogłem go zrozumieć; usiadł więc, lecz niebawem znowu się podniósł, przechodząc zaś tak mię uszczypnął, iż krzyknąłem.

Zaledwie gospodyni zdążyła się obejrzeć, mój Indjanin już siedział na swojem miejscu, jak gdyby nic się nie stało. Obejrzał maczugę, potem ostrzył nóż na osełce, probując za każdym przestankiem jego końca; następnie zapalił spokojnie fajkę; co jednak nie przeszkadzało, aby od chwili do chwili nie przesyłał mi ukradkowo płomienistych spojrzeń, których blask zmięszałby najśmielszego.

Zrozumiałem nakoniec, iż groziło mi niebezpieczeństwo; zamieniłem znak porozumienia się z mym protektorem i zażądałem zwrotu zegarka. Oddano mi go.

Opuściłem co rychlej chatę pod jakimś pozorem, nabiłem dubeltówkę czterema kulami i powróciłem. Położywszy się na skórach, przyzwałem psa, strzelbę też miałem przy sobie — przymrużywszy więc powieki, udałem sen twardy.

Indjanin wsparty o maczugę nie ruszył się z miejsca.

Znienacka chałas dał się słyszeć ze dworu — otworzyłem oczy.

Dwóch młodych ludzi weszło do izby, niosąc zabitego jelenia. Stara, która była ich matką, podała im po szklance wódki — spełnili trunek aż do dna. Oglądając się z kolei, to na rannego, to na mnie, zapytywali kto jestem i wyrzucali matce, dla czego dzikiemu psu (Indjanowi) ofiarowała przytułek. Rozmawiali po angielsku; biedny dziki nie rozumiał ani słowa.

Potem nastąpiła narada. Stara poprowadziła synów na stronę, wytykała mię palcem i długo z nimi szeptała — zapewne o sposobie pozbycia się mnie w celu przywłaszczenia nieszczęsnego zegarka.

Przybysze rozpoczęli pijatykę, wkrótce w głowach im zaszumiało, stara piła z nimi. Myślałem, że przebrawszy miarkę, staną się niezdolnymi do skutecznej zaczepki; poklepałem lekko mego stróża Fidela i odwiódłem kurki strzelby. Godna podziwienia czujność zwierzęcia dała mu snać do poznania o niebezpieczeństwie. Usiadł, ruszając ogonem i wzrok utopił w nieprzyjaciół.

Indjanin wziął jedną ręką za rękojeść noża, gdy drugą ciągle był wsparty o maczugę.

Była to scena nader dramatyczna, której milczenie zaostrzało ciekawość.

Stara wydobyła nareszcie z ukrycia wielki nóż kuchenny, przeznaczony do poderżnięcia mi gardła, i pociągała go po cichu na kamieniu; widziałem krople wody spadające z okrągłego kamienia, obracanego przez nią; śledziłem pilnie każde poruszenie tej jędzy. Ogień na pół przygasły oświecał bladym płomieniem jej wychudłe policzki, wspólnicy zbrodni chwiali się na nogach. Indjanin był w pogotowiu do strzaskania pałką kości napastników. Lufa mej broni była skierowaną do przywitania ołowiem pierwszego śmiałka coby się zbliżył do mnie; pies przypatrywał się na przemiany swemu panu i jego wrogom.

— No! szepnęła stara, ja sama z nim złądzę ... śpi; a wy obydwa razem na dzikiego!...

I posuwała się zwolna do mego łoża, pewnym lecz ostrożnym krokiem; noga jej zaledwie dotykała podłogi.

Na raz dziki podniósł maczugę na jednego z oprawców,

ja zaś już miałem pociągnąć za cyngiel strzelby, gdy do drzwi zakołatano.

Wstałem i otworzyłem. Dwóch podróżnych kanadyjskich, silnej budowy ciała, uzbrojonych karabinami, zjawiło się przypadkiem nam na pomoc. Skoro tylko weszli, Indjanin poskoczył ku nim i wymowną gestykulacją zawiązał z nimi rozmowę. Wskazując synów jędzy, wołał złamaną francuzczyzną:

— Oni chcieli zabić tego człowieka białego, i mnie człowieka czerwonego. Wielki-Duch, on, zesłał was biali!...

Skończyło się na tem, że zbrodniarze zostali związani do dalszej kary — poczciwy zaś Indjanin wyskakiwał z radości taniec tryumfalny, będący w użyciu u plemion pustyni po każdem zwycięztwie.

Trudno pojąć, dla czego tak mało znalazło się mówców i pisarzy, którzy występowali z dobrą wiarą w obronie bohaterskiego ludu indyjskiego. Od czasu dostojnego biskupa Las-Casas, co pierwszy przed trzema wiekami ośmielił się podnieść głos w obronie uciśnionego plemienia, nie było historyków, którzyby z powagą im właściwą potępili prześladowania, nadużycia i gwałty, jakich się dopuszczano na Indjanach.

Dołączony tu «Hymn do Śmierci», śpiewany dotąd przez Indjan, wśród ich upadku, rzuca światło na charakter tego ludu, na jego wytrwałość i męztwo. Jest on improwizacją Indjanina Sochem, przezwanego Chrysiomem, spalonego na stosie:

... «Słońce zapada i noc następuje. Zaczynajcie, kaci! groźby wasze próżne — syn Alnomooka nie będzie narzekał!

«Przypomnijcie sobie o strzałach, które wypadły z łuku jego, przypomnijcie o waszych wodzach padających pod jego toporem. I na cóż czekacie? Czy myślicie, że się

ugnę pod cierpieniem? Nie, syn Alnomooka nie narzeka nigdy!

«Wspomnijcie sobie na owe lasy, gdzieśmy urządzali zasadzki, i na zakrwawione czupryny (scalps), któreśmy zrywali waszym... Teraz stos goreje na około mnie; cieszycie się z mych bólów!... Lecz syn Alnomooka nie narzeka nigdy!

«Idę na daleką ziemię, dokąd mój ojciec poszedł. Cień jego pocieszy się sławą syna. Śmierć przybywa jako przyjaciel — wyzwala mię z nieszczęść, a twój syn o! Alnomooku, pogardza narzekaniem!!!...

XVII.

O KOLONIZACJI.

XVII.

Przejeżdżając dalej przez step amerykański, widziałem wszędzie nowo zakładane osady: pokrajaną ziemię, chaty z tarcic i szałasy wyglądające z pomiędzy pięknych domków; kupy kamieni, mierników wytykających linje, robotników kopiących rowy, stada bydła i koni, nagromadzone pługi, motyki i grace, mnóstwo maszyn rolniczych i uwijających się około nich ludzi, rozmawiających różnymi językami.

Był to świat kolonji, na przestrzeni kilkuset mil kwadratowych — ogromne, że użyję tego porównania, mrowisko pracy!

W książce p. t.: «Przechadzki po Ameryce» wspomniałem już po krótce o sposobie kolonizacji; atoli przedmiot ten tak dziś zajmuje ludy całe, tyle jest ważnym w obecnej chwili i dla przyszłości, że nie podobna, dotykając Ameryki, nieco głębiej nad nim się nie zastanowić.

Zakres niniejszego pisma nie pozwala wprawdzie wchodzić w studja nad kolonizacją. Wymagały by one rozległej ramy i wiele czasu, życia może całego; ale niech przynajmniej będzie wolno nadmienić tu o pracach naszych rodaków, którzy traktowali wyłącznie o tym przedmiocie.

Żałować należy, że prace ich, podobnie jak w ogóle prace specjalne u nas, mało są upowszechnione. Czyliby niestety, trzeba koniecznie pisać romanse, aby być czytanym? Znikły już zaiste chwile marzeń złotego wieku, nastąpiła epoka czynu; potrzebujemy wiedzy praktycznej, edukaji spe-

cjalnej we wszystkich gałęziach umiejętności ludzkich, żeby módz istnieć o własnych siłach.

Jak maszyna nie obejdzie się bez kółek, kółeczek, rozmaitych sprężyn dobrze urządzonych, aby mogła być należycie doprowadzoną do ruchu — tak naród żywotny nie obejdzie się bez mnóstwa ludzi wykształconych dokładnie w gospodarstwie rolniczem, ekonomji politycznej, handlu, administracji, prawie, w naukach przyrodzonych i ścisłych, w historji i literaturze, w sztukach i rzemiosłach. Inaczej nie byłby zdolny wydobyć z siebie bogactwa narodowego, dobrobytu, podstawy przyszłego szczęścia doczesnego i niezależności; słowem, nie utrzymałby się bez pomocy obcych. Parciem tylko pracującej siły winniśmy się dobijać prawa do życia!...

Ziomkowie piszący o kolonizacji, zwracali po większej części uwagę na obiór miejsca najdogodniejszego dla osiedlenia się wychodźców polskich. I tak:

Światopełk Mirski wystąpił z myślą o Algierze;

Józef Smoliński i Aleksander Lenkiewicz o Stanach niewolniczych Ameryki;

Jenerał Waligórski i Leon Mazurkiewicz o okolicy w Panamie;

Kaźmierz Kaźmierzewicz o wybrzeżach i wyspach morza Marmora;

Koronikolski o północnych Stanach Zjednoczonych;

Projektowano nadto osady w Bulgarji, Serbji, Turcji i Bóg wie nie gdzie.

Jakkolwiek nie podzielam zdania, żeby w bieżącym czasie, przy obecnych warunkach społecznych, z garstki biednych emigrantów, nie mających ducha kolonizacyjnego, nie przywykłych do ciężkiej pracy, mogły się utworzyć w zamorskich, tem bardziej w podzwrotnikowych, zabójczych dla zdrowia cudzoziemca krajach, osady polskie — a tem mniej, aby te osady, choćby nawet i były, mogły wywierać, jak niektórzy dowodzą, na kraj ojczysty (rządzony przez obce mocarstwa i nie posiadający własnej marynarki) kolonjalną politykę; atoli, jeśli kto z pojedyńczych osób, lub rodzin, miałby ochotę i środki do szukania swobodnego

przytułku na obcej ziemi przy zajęciu się gospodarstwem wiejskiem — jak go niegdyś szukali i znaleźli prześladowani za wiarę i za przekonanie polityczne purytanie angielscy — radzę mu przeczytać świeżo wydaną broszurę przez E. Kasprowicza w Lipsku (tegoż samego, który podał myśl Brockhausowi do wydawnictwa Bibljoteki Polskiej i wprowadził ją w wykonanie).

Autor broszury, Prawdzic Chotomski, skreślił głęboki, a nader trafny pogląd na kolonizację w różnych punktach globu ziemskiego — jest to nec plus ultra w swoim rodzaju.

Przytaczam tu jeden z ustępów rzeczonej broszury, jako dotyczący Stanów Zjednoczonych Ameryki:

...Lepszej ziemi i pod łatwiejszemi warunkami dostać można na własność, po 9 złp. za morgę magdeburską, od Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki, w okolicach jak: Ohio, Wisconsin, Minnesota, Illinois, Michigan, Nowa Indjana, w klimacie jak nasz polski niemal, a w krajach, w których już jest tysiące mil kolei, rzek spławnych i kanałów, jak w żadnym kraju Europy.

Ludności nie wiele jeszcze, ale jednakże nie pustynia, i robotnik do dostania, i bory i kruszce; węgle kamienne i ruch handlu wewnątrz i na zewnątrz tych krain, że aż miło!

I swoboda i oświata i przemysł tak żywotny, że ledwo powstał, już go widać!

Tam jest pole do pracy i zarobku — tam wszystkie warunki szczęśliwego rozwoju dla rolników, dla techników i rzemieślników — tam zyski z górnictwa! Na 20,000 kwadr. mil roztacza się ten śliczny warsztat do pracy, dla nieszczęśliwych skazanych na szukanie sobie schronienia, po za drogą Ojczyzną; i czy razem, czy pojedyńczo, wedle sił i zasobów, wedle zdatności i energji, wedle zdrowia i wytrwałości, może tam każdy z osobna i wszyscy razem znaleźć zyski i spoczynek bezpieczny.

Podam tu niektóre liczby objaśniające stan rzeczy w tym zakątku:

1. Północno-wewnętrzne prowincje Stanów Zjednoczonych.	2. Liczba mieszkańców na 1 kwadr. mili.	3. Fundusz na szkoły dla całej prowincji.	4. Sprzedane ziemie		6. Koleje żelazne; długość mil.
			kwadr. mil.	5. Cena w tal.	
	ludzi	talarów	mórg.		
1. Ohio stol. Columbus	1245	3,500,000	1360 kwadr. m.	2,998	656
2. Michigan » Lausing	283	2,004,250	3½ mórg.	40,000	194
3. Indjana » Indjanopolis	850	7,500,000	210 kwadr. m.	800	436
4. Illinois » Springfield	657	6,000,000	0,65	15,600	593
5. Wisconsin » Madison	357	3,450,000	3,47	79,000	189
6. Jowa » Des Moines	282	1,500,000	2,71	80,000	86
7. Kansas » Lecompton	19	?	2,22	54,500	—

Ostatnią prowincję przytoczyłem, jako co tylko powstający kraj w swojej organizacji; po nim najmniej ludnym jest Minnesota, w którym po 40 ludzi na mili kwadratowej.

Każda z tych prowincji, obszerna po parę tysięcy mil, ma kraje już urządzone i urządzające się; dla tego nie trzeba brać dosłownie, jakoby ludności było rozsianej po tyle a tyle na każdej kwadratowej mili, bo ludność po miastach i po wsiach się skupia; a za temi znowu są obszary do wzięcia i do zaludnienia, tuż obok już osiadłych, lub dalej, jak kto chce.

Do prowincji Wisconsin napływają głównie Czechy i Szwedzi, którzy tam przeszło połowę ludności stanowią — kraj ten bardzo w kruszce obfituje.

W Ohio jest już 310,000 właścicieli. Rząd amerykański nie sprzedaje jak po 246½ morgów magdeburgskich (160 akrów) na osobę, po cenie od 7 do 8 złp. za morgę, z warunkiem, że kupujący zamieszka na niej. — Z prowincji Ohio wysyłają rocznie 85 miljonów funtów wieprzowiny wędzonej i solonej z 425,000 świń, za 15 miljonów talarów. — Gazet tam wychodzi 218; zresztą w innych prowincjach ruch podobny. — Miasto Cincinnati liczy 160,000 mieszkańców.

W Indjana 93,900 posiadłości urządzonych, a żyzność taka, że wzdłuż rzeki Missisipi, w okolicy miast zamieszkałych przez Francuzów, od lat dwustu obfite z roli zbierają plony bez jej mierzwienia.

W prowincji Illinois, n. p. w 1857. roku wysłano 10,354,000 funtów mięsa wołowego w 42,100 baryłkach, oraz 25,502 sztuk żywych. Drzewa sprzedano stóp 459,639,198. Ogólna wartość obrotu handlowego wynosi sto trzynaście i pół miljonów dolarów. Przez ogromne jeziora, kraj ten z morzem łączące, dopływa doń 7,557 okrętów rocznie.

Co do sposobu podróżowania do tych miejsc, jest on łatwy, bo parowce i koleje dowiozą podróżnego do jego celu; lecz właśnie z powodu tego ułatwienia, podróż ani wygodną, ani też przyjemną nie jest — ruch na traktach ogromny!

Grzeczność dla kobiet niesłychana ze strony mężczyzn, ale towarzystwo kobiet czy bogatych czy ubogich, należy tylko do roboczej zwykle klasy. Mężczyzni pomiędzy sobą są bez żadnych ceremonji. Człowieka z wychowaniem, niejednokrotnie gburowatością familjarną zrażą, lecz w gruncie giętcy, uczynni i nieźli. Uwzględnić potrzeba, że są to prawie wszyscy biedacy, którzy z głodu Europę opuścili, a tam naraz w obfitość wpadają; wyższego towarzystwa nie znali dawniej — nie widzą go w okół siebie, nie dziw więc, że są w pojęciu ukształconego towarzystwa ludźmi surowymi; chociaż do siebie, zawsze tytułując się panie, rozmawiają, i dumni są z godności obywatelskiej.

W Nowym Jorku zaś, jak i w innych miastach, wzbogaconych handlem i rolnictwem, przebija chęć brania się eleganckiego; ale bardzo im to niesporo i niezręcznie idzie. W Nowym Jorku, mianowicie szlachcie europejskiej, chociaż już w latach w których szron włosy pokrywa, łatwo się dobrze ożenić, znalazłszy raz wstęp do towarzystw amerykańskich — tem łatwiej, że tam panny jak najzupełniej sobą rozrządzają, i same sobie wybierają mężów.

Kto urodził się w Polsce i zaznał, ile to wdzięku i jaki urok zdobi nasze panie, ten z zadziwieniem spoglądać będzie na panny Amerykanki, odznaczające się fachowością kupiecką, rozprawiające o polityce i finansach, o bawełnie i ładunkach okrętowych. Zdawać takiemu się nie raz będzie, że liczba i rachunek przybrały postać kobiety.

Najwięcej zaludnione prowincje północnych Amerykańskich Stanów Zjednoczonych, są północno-wschodnie:

1. Massachusets, stolica: Boston. Obszar mil kw. 367 po 3354 ludzi.

2. Rhode Island, stolica: Providence i Newport. Obszar mil kw. 49,2 po 3553 ludzi.

3. Connecticut, stolica: Hartford i Newhaven. Obszar mil kw. 219,9 po 2092 ludzi;

lecz i mniej zaludnione prowadzą wielki handel i trudnią się połowem wielorybów, jak n. p.

4. New Hampshire, z stolicą Concord, obszaru 436,5 mil kw. po 747 ludzi.

5. Vermont, z stolicą Montpellier, obszaru 480,3 mil kw. po 656 ludzi.

6. Maine, z stolicą Augusta, obszaru 1494 mil kw. po 420 ludzi.

Dla osób znających handel i języki, dla ludzi bystrych, obrotnych, przemyślnych fabrykantów i zdolnych rękodzielników, dla techników, są pod powyżej wymienionemi prowincjami, następujące bardzo korzystne; mniej dla rolników z małym funduszem, albowiem robota tam po cenach, jak w Prusach, po 200, po 100, po 60, i po 50 tal. I tu już nie ma gruntów, które rząd rozprzedaje:

1. New-York ze stolicą Albany 2163,7 kw. mil po 1797 ludzi na mili; 604 mil kolei żelaznej.

2. New-Jersey ze stolicą Trenton 391 kw. mil po 1750 ludzi na mili; 120 mil kolei żelaznej.

3. Pansylwanja ze stolicą Harrisburg 2210,7 kw. mil po 1315 ludzi na mili; 605 mil kolei żelaznej.

Mając wskazane tedy najkorzystniejsze miejsca w obszarach niezmierzonych Ameryki, 22,000 kw. mil przeszło wynoszące, zdaje mi się, że byłoby czystą swawolą a nie rozsądkiem pomijać je, i bądź dla oryginalności pomysłu, bądź z ciekawości, iść na ślepy traf gdzieindziej aniżeli tam, gdzie ani jadowitych gadzin, i dokuczliwych mosquitosów, ani różnicy znacznej w klimacie nie ma; gdzie jest bezpieczeństwo osoby i własności, gdzie przed napadami, na zachód i na południe wypartych Indjan, obawy nie ma; a z drugiej strony gdzie jest wszystko czego do zbogacenia się potrzeba.

Ci z ziomków naszych, którzy dla braku chleba na kozaka sułtańskiego lub na ułana do Algieru się zaciągają, niech lepiej za parobka się najmą do zacnego gospodarza wolnej Ameryki; a wzrosną we własnym szacunku, i zamiast kilkanaście groszy dziennego żołdu, zarobią sobie kilkanaście a choćby i kilka złotych, jako wolni ludzie.

Jeżeli chcemy pouczyć się, co za potęga jest w przemyśle i pracy, gdy wolność się niemi opiekuje, zajrzymy do prowincji: Maine, New-Hampshire, Vermont, Massachusets, Rhode Island, Connecticut, New-York, New-Jersey, Pansyl-

wanji. Tam ujrzymy jakie skarby nagromadza handel, gdy rząd własny, swobodne gminowładztwo, kraj obywateli wolnych i oświata, użyczą handlowi koniecznie potrzebnych ułatwień przewozu, komunikacji, bezpieczeństwa i ładu! Tam ujrzymy, jak w tworzącem się państwie swobody, gromadząca się ludność z krajów, gdzie przez despotyzm europejskich rządów była morzoną głodem, nie posiadająca nauki, sama wydaje rocznie 61 miljonów na ukształcenie synów swoich; stosunek zaś ten łatwiej pojmiemy, gdy zestawiemy liczby n. p. Pruskigo Państwa, niby najoświeceńszego w Europie i Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki.

Prusy na 18 miljonów mieszkańców i 131 miljonów rocznego dochodu, na szkoły i oświatę 3 miljony talarów poświęcają; Zjednoczone Stany na 27 miljonów mieszkańców, dają 90½ miljona talarów!!

Dla tego Ameryka ma przyszłość pewną — tam muszą po ludziach dzielnych, dzielniejsi następować.

XVIII.

O KOLONIZACJI.

(CIĄG DALSZY.)

XVIII.

Przy zakładaniu osady nie można być dość ostrożnym, bo: «Urojenie — powiada Bastiat — że siły produktywne czyli rodne ziemi są wartością samą w sobie, ponieważ przynoszą korzyści, urojenie to w historji kolonizacji spowodawało wiele nieszczęść i zawodów!

«Podjęcie przedwczesnych kolonizacji, których dzieje są okropnym obrazem męczeństwa, temuż po części winniśmy. Zwykle ludzie tak radzą:

«Ponieważ tu w kraju każdą używalność wypracować sobie trzeba, a nie dostajemy za trud jak tylko odpowiednią pracy naszej wartość, a niewiększą, przeto dorobić się nie możemy! Idźmy lepiej do Gujany, nad brzegi Mississipi, do Australji i Afryki — tam naszą własnością będą obszerne i urodzajne, chociaż dotąd nieuprawne, niwy. Dzierżąc je, staniemy się nie tylko dziedzicami wartości, które pracą naszą stworzymy, lecz zarazem wrodzonej wartości, jaką ziemia posiada.

«I otóż idą, pracują, męczą się, wystawieni na niewygody, na cierpienia, na choroby; lecz gdy sprzedać chcą tę ziemię którą uprawili, to i tego nawet wydostać za nią nie mogą, co sama ich kosztowała. Wtedy dopiero każdy z nich przyznać musi że: Wartość — jest utworem ludzkim tylko!

«Ręczę, że nie ma ani jednej osady, którejby początkowo nie spotkała klęska.»

Pouczający przykład wskazuje nam też osadnictwo podjęte 1826. roku nad brzegami rzeki Łabędziej, w zachodniej

cjalnej we wszystkich gałęziach umiejętności ludzkich, żeby módz istnieć o własnych siłach.

Jak maszyna nie obejdzie się bez kółek, kółeczek, rozmaitych sprężyn dobrze urządzonych, aby mogła być należycie doprowadzoną do ruchu — tak naród żywotny nie obejdzie się bez mnóstwa ludzi wykształconych dokładnie w gospodarstwie rolniczem, ekonomji politycznej, handlu, administracji, prawie, w naukach przyrodzonych i ścisłych, w historji i literaturze, w sztukach i rzemiosłach. Inaczej nie byłby zdolny wydobyć z siebie bogactwa narodowego, dobrobytu, podstawy przyszłego szczęścia doczesnego i niezależności; słowem, nie utrzymałby się bez pomocy obcych. Parciem tylko pracującej siły winniśmy się dobijać prawa do życia!...

Ziomkowie piszący o kolonizacji, zwracali po większej części uwagę na obiór miejsca najdogodniejszego dla osiedlenia się wychodźców polskich. I tak:

Światopełk Mirski wystąpił z myślą o Algierze;

Józef Smoliński i Aleksander Lenkiewicz o Stanach niewolniczych Ameryki;

Jenerał Waligórski i Leon Mazurkiewicz o okolicy w Panama;

Kaźmierz Kaźmierzewicz o wybrzeżach i wyspach morza Marmora;

Koronikolski o północnych Stanach Zjednoczonych;

Projektowano nadto osady w Bulgarji, Serbji, Turcji i Bóg wie nie gdzie.

Jakkolwiek nie podzielam zdania, żeby w bieżącym czasie, przy obecnych warunkach społecznych, z garstki biednych emigrantów, nie mających ducha kolonizacyjnego, nie przywykłych do ciężkiej pracy, mogły się utworzyć w zamorskich, tem bardziej w podzwrotnikowych, zabójczych dla zdrowia cudzoziemca krajach, osady polskie — a tem mniej, aby te osady, choćby nawet i były, mogły wywierać, jak niektórzy dowodzą, na kraj ojczysty (rządzony przez obce mocarstwa i nie posiadający własnej marynarki) kolonjalną politykę; atoli, jeśli kto z pojedyńczych osób, lub rodzin, miałby ochotę i środki do szukania swobodnego

przytułku na obcej ziemi przy zajęciu się gospodarstwem wiejskiem — jak go niegdyś szukali i znaleźli prześladowani za wiarę i za przekonanie polityczne purytanie angielscy — radzę mu przeczytać świeżo wydaną broszurę przez E. Kasprowicza w Lipsku (tegoż samego, który podał myśl Brockhausowi do wydawnictwa Bibljoteki Polskiej i wprowadził ją w wykonanie).

Autor broszury, Prawdzic Chotomski, skreślił głęboki, a nader trafny pogląd na kolonizację w różnych punktach globu ziemskiego — jest to nec plus ultra w swoim rodzaju.

Przytaczam tu jeden z ustępów rzeczonej broszury, jako dotyczący Stanów Zjednoczonych Ameryki:

...Lepszej ziemi i pod łatwiejszemi warunkami dostać można na własność, po 9 złp. za morgę magdeburską, od Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki, w okolicach jak: Ohio, Wisconsin, Minnesota, Illinois, Michigan, Nowa Indjana, w klimacie jak nasz polski niemal, a w krajach, w których już jest tysiące mil kolei, rzek spławnych i kanałów, jak w żadnym kraju Europy.

Ludności nie wiele jeszcze, ale jednakże nie pustynia, i robotnik do dostania, i bory i kruszce; węgle kamienne i ruch handlu wewnątrz i na zewnątrz tych krain, że aż miło!

I swoboda i oświata i przemysł tak żywotny, że ledwo powstał, już go widać!

Tam jest pole do pracy i zarobku — tam wszystkie warunki szczęśliwego rozwoju dla rolników, dla techników i rzemieślników — tam zyski z górnictwa! Na 20,000 kwadr. mil roztacza się ten śliczny warsztat do pracy, dla nieszczęśliwych skazanych na szukanie sobie schronienia, po za drogą Ojczyzną; i czy razem, czy pojedyńczo, wedle sił i zasobów, wedle zdatności i energji, wedle zdrowia i wytrwałości, może tam każdy z osobna i wszyscy razem znaleźć zyski i spoczynek bezpieczny.

Podam tu niektóre liczby objaśniające stan rzeczy w tym zakątku:

1. Północno-wewnętrzne prowincje Stanów Zjednoczonych.	2. Liczba mieszkańców na 1 kwadr. mili.	3. Fundusz na szkoły dla całej prowincji.	4. Sprzedane ziemie		6. Koleje żelazne; długość mil.
			kwadr. mil.	5. Cena w tal.	
	ludzi	talarów	mórg.		
1. Ohio stol. Columbus	1245	3,500,000	1360 kwadr. m.	2,998	656
2. Michigan » Lausing	283	2,004,250	3½ mórg.	40,000	194
3. Indjana » Indjanopolis	850	7,500,000	210 kwadr. m.	800	436
4. Illinois » Springfield	657	6,000,000	0,65	15,600	593
5. Wisconsin » Madison	357	3,450,000	3,47	79,000	189
6. Jowa » Des Moines	282	1,500,000	2,71	80,000	86
7. Kansas » Lecompton	19	?	2,22	54,500	—

Ostatnią prowincję przytoczyłem, jako co tylko powstający kraj w swojej organizacji; po nim najmniej ludnym jest Minnesota, w którym po 40 ludzi na mili kwadratowej.

Każda z tych prowincji, obszerna po parę tysięcy mil, ma kraje już urządzone i urządzające się; dla tego nie trzeba brać dosłownie, jakoby ludności było rozsianej po tyle a tyle na każdej kwadratowej mili, bo ludność po miastach i po wsiach się skupia; a za temi znowu są obszary do wzięcia i do zaludnienia, tuż obok już osiadłych, lub dalej, jak kto chce.

Do prowincji Wisconsin napływają głównie Czechy i Szwedzi, którzy tam przeszło połowę ludności stanowią — kraj ten bardzo w kruszce obfituje.

W Ohio jest już 310,000 właścicieli. Rząd amerykański nie sprzedaje jak po 246½ morgów magdeburgskich (160 akrów) na osobę, po cenie od 7 do 8 złp. za morgę, z warunkiem, że kupujący zamieszka na niej. — Z prowincji Ohio wysyłają rocznie 85 miljonów funtów wieprzowiny wędzonej i solonej z 425,000 świń, za 15 miljonów talarów. — Gazet tam wychodzi 218; zresztą w innych prowincjach ruch podobny. — Miasto Cincinnati liczy 160,000 mieszkańców.

W Indjana 93,900 posiadłości urządzonych, a żyzność taka, że wzdłuż rzeki Mississipi, w okolicy miast zamieszkałych przez Francuzów, od lat dwustu obfite z roli zbierają plony bez jej mierzwienia.

W prowincji Illinois, n. p. w 1857. roku wysłano 10,354,000 funtów mięsa wołowego w 42,100 baryłkach, oraz 25,502 sztuk żywych. Drzewa sprzedano stóp 459,639,198. Ogólna wartość obrotu handlowego wynosi sto trzynaście i pół miljonów dolarów. Przez ogromne jeziora, kraj ten z morzem łączące, dopływa doń 7,557 okrętów rocznie.

Co do sposobu podróżowania do tych miejsc, jest on łatwy, bo parowce i koleje dowiozą podróżnego do jego celu; lecz właśnie z powodu tego ułatwienia, podróż ani wygodną, ani też przyjemną nie jest — ruch na traktach ogromny!

strony, koniec gór Saby, przerzucony przez rzekę Red-Rivier, łączący się z pasmem gór Colorado, równolegle do rzeki tego nazwiska, skierowanych tak, że te pasma kształt litery N przypominają.

Nad rzeką Colorado leży stolica Teksas, Austin, w malowniczem położeniu; liczy 3,000 mieszkańców.

Z rzek, których główny kierunek jest z północo-zachodu ku południo-wschodowi, największą jest Rio-Grande, oddzielająca Cesarstwo Meksyku od Teksasu, czterysta mil długa, osiemdziesiąt spławna. Dalej następują kolejno: Neuces 60 mil długa, 20 mil spławna — San Antonio 50 mil długa — Guadelupa 55 mil długa — Colorado 110 mil długa, na dwie mile od ujścia zatarasowana powyrywanemi drzewami jej prądem — Brazo de Dios — Trinity — Sabine — Red-River, tworząca granicę od terytorjum Indjan, zapchana jak Colorado, lecz dopiero w Luizjanie. Nad rzeką San Saba, wpadającej do Colorado, mają być bardzo bogate pokłady srebra, oraz dużo żelaza, ołowiu, miedzi, węgla, ałunu, soli; a w północnym Teksas znaczne pokłady gipsu. Prócz w nadbrzeżach, klimat przyjemny i zdrowy, ani w zimie ani w lecie nie dokuczliwy.

Główne produkta są: bawełna, której zbiór z morgi magdeb. 5 cetnarów wynosi, łącznie z nasieniem wydającem od 50 do 60% ogólnej wagi. Żadna prowincja Stanów południowych podobnie znacznego zbioru nie wydaje; bo sąsiedni Arkansas 4½ cetnarów — Luizjana 3⅔ cetnarów — Mississipi 4½ cetnarów — południowa Karolina 2¼ cetnarów, i t. p. Bawełna jest zasiewaną rocznie w końcu Marca i na początku Kwietnia, w rzędy od 4—5 stóp odległe od siebie. Najlepszą wydaje ziemia lekka. Nasienie podobne do konopi, ręką się zrywa. Jeden murzyn dziennie może uzbierać 50 — 60 funtów bawełny. Po bawełnie stanowi najgłówniejszy produkt w Teksas kukurydza — daje dwa żniwa do roku.

W 1850. roku było tamże z całego obszaru, przeszło 11,000 mil kw. obejmującego, 49 mil pod uprawą; z tych zebrano: 4 miljony szefli kukurydzy — 1 miljon kartofli — około 40,000 pszenicy — 176,000 groszkowego ziarna —

380 cetnarów ryżu — 67 tytoniowych liści — 1314 wełny — 23 miljony funtów bawełny — 7½ miljona cukru ze trzciny cukrowej — 3,805 cetnarów miodu — 165,000 siana — 40,000 syropu. Do tego użyto: 75,419 koni; a w ogóle posiadano: 12,364 osłów i mułów — 901,545 rogacizny — 100,000 owiec — 683,914 świń.

Kraj obfituje w śliczne owoce i winogrona, drzewa najlepszego ma mnóstwo.

Najludniejszem miastem w Teksas jest Galveston, mające 10,000 dusz, zbudowane na krańcu wyspy tegoż nazwiska, sześć mil długiej. Z miasta rozchodzi się kilka linji kolei żelaznej w głąb wyspy, a do jego przystani zawija do roku 3,600 dużych i małych okrętów — pomiędzy tymi 1,065 parowców. Tamże są i warsztaty okrętowe i wielkie magazyny. Z Galveston dopływa się statkiem parowym do miasteczka Houston o 5,000 mieszkańców. Nad rzeką Guadelupą leży mieścina Braunfels, zaludniona w większej części przez Niemców. Okolica obfituje we wszelkie dary Boże. Jest to w tej stronie główna osada niemieckiego stowarzyszenia kolonizującego, pod przewodnictwem księcia Karola Solms-Braunfels.

Teksas ma ludności w ogóle 650,000, zkąd na 11,176 mil kw. wypada po 56 ludzi na milę. Dochód prowincji jest obliczony na 2½ miljony talarów — rozchód na 1½ miljona — długów żadnych. Na szkoły płaci ludność 3 miljony talarów, to jest tyle co całe Prusy. Na wyposażenie mającej się założyć wszechnicy miejscowej, rząd przeznaczył 17 mil kw. Da roku 1856 było tamże szkół 356, gimnazji 82, uczniów 72,826.

Po wyszczególnieniu tych rzeczywistych korzyści, każdy zapewne zapyta, dla czego nie umieściłem i ja tej krainy pomiędzy temi, które uważam za najstosowniejsze dla osadników naszych? Oto z następujących przyczyn:

Nieliczna ludność Teksasu, ścieśniona na ⅙ części całego obszaru, w niezdrowym pasie nadbrzeżnym, żyje jak w pustyni, bez rękodzieł i fabryk; a więc bez środków i dźwigni społecznych. Handel w ręku nielicznych kupców zostając, obywatelom małe korzyści przynosi: a trud ogromny

dla ludzi z szczupłemi zasobami obywać się zmuszonych, bez środków, którymi przemysł ułatwia pracę rolnictwu.

Z drugiej strony, kosztować musi bardzo drogo każdy przedmiot, czy do ubioru, czy do codziennych potrzeb życia niezbędny, skoro go sprowadzać dopiero trzeba z Nowego Jorku, to jest z większego oddalenia, niżeli z Europy do Ameryki, i to w kraj, gdzie prawie żadnych ułatwień komunikacji jeszcze nie ma, prócz tych, które przyroda sama stworzyła.

Chcąc siać pszenicę, a więc chcąc mniej więcej mieć klimat dla nas stosowny, trzeba się posuwać wewnątrz kraju na mil sześćdziesiąt lub osiemdziesiąt od brzegu; poniżej bowiem powietrze na pszenicę za gorące. Lecz zapuszczać się w pustynię jest rzeczą nader niebezpieczną, bo kilkadziesiąt tysięcy dzikich Indjan, z nad Rio-Grande del Norte i Nowego Meksyku, oraz z terytorjum Indjan, koczuje po kraju, niszcząc gdzie można osady europejskie. Nie dziwić im się, gdyż oni bronią ostatnich zakątków, w które się gwałtem wdziera srogi dla nich nieprzyjaciel.

To też Indjanie, zwani Komancze, w liczbie 10—12,000, gdy im biały w ręce wpadnie, jeśli mężczyzna, odzierają mu skórę z czaszki, jeśli kobieta lub dziecię, zabierają je ze sobą. Napadając na wsie, zwyczajem ich wymordować ludzi, bydło zaś do siebie uprowadzić.

Indjanie Kiowasy i Pawneesani, należący jak się zdaje do rozbójniczego plemienia Apachesów, koczujący zwykle na zachód rzeki Colorado, zapuszczają także swoje zagony w Teksasu kraje. Ci Apachesy i Novajoesy są prawdopodobnie potomkami barbarzyńców, którzy przed odkryciem Ameryki zniszczyli wyższą kulturę, jaka przedtem tam, u Indjan szczepu Moquis, istniała.

Nie jestem też i dla tego za Teksasem, że należy do obwodów za niewolą murzynów obstających — gdzie ciąży przekleństwo niewoli. Zamięszanie, jakie teraz po wojnie w całem Południu panuje, nie rokuje nic dobrego. Północ wywalczyła swobodę murzynów; separatyści czynnego oporu z bronią w ręku stawić już nie mogą; lecz stawiają opór bierny i mszczą się na jednostkach z dziedziny swej wy-

dartych. Dziś one tam nieszczęśliwsze niżeli przed wojną — a jest ich w ogóle blisko cztery miljony!! Ażali prawo rozpaczy nie doprowadzi ich do wyrżnięcia w pień swoich tyranów?...

Wynik tyranji, jak z jednej strony unieszczęśliwia Murzynów, tak z drugiej upadla ich tyranów; i to spodlenie rozchodzi się jak dżuma moralna, po całem społeczeństwie. To też ludność w ogóle za niewolą obstających prowincji znikczemniała, z małemi wyjątkami; przesiąkła duchem nieprawości i niesprawiedliwości: urzędnicy jak moskiewscy sprzedajni, bez czci i wiary do tego stopnia, że za okupem wypuszczą największego zbrodniarza z więzienia, a człowieka uczciwego więzić będą po całych miesiącach. Że istnieje tam skrytobójstwo — nic dziwnego!

Może pogląd powyższy jest w ogóle za lękliwy — może, chociaż czerpałem obawy me ze źródeł, jak: Klöden, Lagrange, de Hauranne, Petermann, i t. d., dowiem się, iż w Teksas, nad spodziewanie moje, powiedzie się naszym Rodakom, co daj Boże — lecz jeżeli im to na złe wyjdzie? Kto odpowie za pięćdziesiąt polskich rodzin, które się tam udały za głosem zaufania w praktyczność pomysłu?...

XIX.

O KOLONIZACJI.

(DOKOŃCZENIE.)

XIX.

Nie ulega wątpliwości, że Stany Zjednoczone Ameryki, mieszczące zbiorowisko osadników, poddające wszystko dla ich wygody i dorobku, przedstawiają wiele miejsc dogodnych i dla przybyszów polskich. Nie ma tam Cara; rząd zaradczy i baczny na rozwój społeczeństwa, które się pod jego opiekę garnie i gromadzi — ziemia dla rolnika obfita i żyzna; przemysł i rękodzieła w rozkwicie; handel wszelaki przez drogi żelazne i wodne z każdym dniem się wzmagający — człowiek kapitałem szanowanym, oświata potężnie się szerząca, i klimat odpowiedni naszemu.

W takim kraju każdy z łatwością i wedle tego co umie, i do czego najwięcej ma skłonności, łatwo pomieszczenie znajdzie; a nawyknąwszy do pracy, o ile po za Ojczyzną być może, dobrze mu będzie.

Wszelkich zaś pustyń i despotyzmu, tego ludożerczego rodzeństwa, unikać powinien!...

Mamy już smutne doświadczenie na osadnikach, ziomkach naszych w Adampolu, należącym do niefortunnych (jak się Dziennik Poznański wyraził) prób kolonizacji polskiej, przed kilkunastu laty zrobionych.

Dla obeznania czytelnika z stosunkami jedynej dotąd naszej kolonji, przytoczę w tłumaczeniu z francuzkiego cały kontrakt, który został zawarty pomiędzy Łazarystami a ks. Adamem Czartoryskim, względem założenia rzeczonej kolonji na Wschodzie; według tekstu wydrukowanego na str. 51 broszury pod tytułem: «Czartoryski, Wielopolski et Mierosławski, par Ladislas Mickiewicz. Paris, 1863.»

«Ponieważ — słowa kontraktu — osady założone przez ks. A. Czartoryskiego i kongregację OO. Łazarystów na własność Ś. Wincentego w Azji, w celu przyjścia w pomoc wychodźcom polskim, znajdującym się w Państwie ottomańskiem i urządzone przez ugody, zawierane z kolei: dnia 3. marca 1842, 30. czerwca 1842 i 8. września 1843 — osiągnęły stopień pomyślności, który czyni widocznem, że zaczynają odpowiadać celowi filantropijnemu, dla jakiego były przeznaczone —

«Ponieważ te posiadłości, wychodząc ze stanowiska religijnego, dały na terytorjum kolonji początek zakładowi Ojców Franciszkanów Bośniackich, który stworzył bezpośrednie ogniwo pomiędzy katolikami słowiańskiemi Państwa ottomańskiego i kongregacją OO. Łazarystów —

«Ponieważ OO. Łazaryści pragną wedle możności popierać rozwój i zapewnić przyszłość tego dzieła, głównie uposażonego i utrzymywanego przez dary i starania ks. A. Czartoryskiego —

«Przeto ustępują ks. A. Czartoryskiemu i jego sukcessorom w formie wiecznej dzierżawy, posiadłości wzmiankowanych dóbr, przeznaczonych na kolonje polskie.

«Ks. A. Czartoryski zaś i jego sukcessorzy ustępują pod tym samym tytułem wiecznej dzierżawy każdemu osadnikowi, osiadłemu lub osiąść mającemu na tych ziemiach, jako też jego potomkom, własność domu i dziesięć morgów (dilômes) ziemi do uprawy przydatnej. Każdy kolonista po dziesięciu latach swobodnego użytkowania i wszelkich dochodów, wyjąwszy podatki rządowi tureckiemu się należące, będzie zmuszony płacić dziesięcinę ze swych dochodów według zwyczaju krajowego. Zarząd kolonji złoży je OO. Łazarystom na korzyść missji ich kongregacji. Ta dziesięcina będzie składana w naturze, albo w pieniądzach, według życzenia osadników i woli OO. Łazarystów.

«Sam tylko zarząd będzie uprawniony dziesięcinę pobierać, ale OO. Łazaryści będą mogli dołączyć do poborców zarządu swego pełnomocnika dla sprawdzania. Kolonista będzie nadto obowiązany do sześciu dni roboty (szarwarku) na rok, stosownie do rozporządzenia przełożonego kolonji. Kolo-

niści, którzy swoje dziesięć morgów (dilômes) do kultury doprowadzą, będą mogli, ułożywszy się o to z dyrekcją kolonji i uzyskawszy sankcję superiora Łazarystów w Carogrodzie, wziąść więcej ziemi w dzierżawę.

«Dyrekcya kolonji i probostwo nie płacą żadnych dziesięcin.

«Ale z tego, co dyrekcja uprawi nad 100, a probostwo nad 60 morgów (dilômes), będą płacili OO. Łazarystom w tym samym stosunku, co koloniści.

«Każda fabryka i rękodzielnictwo założone na terytorjum osady, w celu dawania zarobku i chleba ubogim Polakom, będzie się dzieliła czystemi dochodami, po odciągnięciu wszelkich kosztów, z OO. Łazarystami.

«Każdemu osadnikowi zostanie przez dyrekcję kolonji wystawiony i wręczony dokument, poświadczający jego prawo posiadłości, jako prawo wieczystej dzierżawy; ta własność będzie mogła być sprzedaną, albo wydzierżawioną przez kolonistów; ale pod wyraźnym warunkiem, że kupiec lub dzierżawca będzie poprzednio uznany za odpowiedniego, i tak przez zarząd kolonji, jako i przez Superiora Łazarystów przyjęty.

«Akt niniejszy, sporządzony w Carogrodzie dnia 28. lipca 1847. roku, został podany do protokułu i złożony do archiwum kancelarji Ambasady francuzkiej w Carogrodzie.»

Z kontraktu powyższego, w którym Ojcowie Łazaryści bynajmniej nie zapominają o sobie, pokazuje się, że urządzenie samo przez się jest przestarzałe, aby wabić mogło naszych wychodźców, którzy właśnie dla zachowania osobistej wolności kraj opuścili i na Emigracji pozostali.

Dla tego w broszurze wzmiankowanej Mickiewicza, autor o owej kolonizacji tak się wyraża:

«Sposób urządzenia osady, mającej się z czasem zamienić na kolonję wojskową polską, a administrowanej w połowie na rzecz Czartoryskich, w połowie na rzecz Łazarystów w Carogrodzie, musiał nieszczęśliwych Polaków albo w niewolników zamienić, albo z kolonji wypędzić.

«Musieli oni albowiem płacić dziesięcinę Łazarystom dla krzewienia wiary na Wschodzie, chodzić na szarwark i być

ślepo posłusznymi zarządcy, którego im wyznaczono. Ziemi, którą uprawiali, nie mogli sprzedać ani wydzierżawić, tylko za pozwoleniem ich świeckiego i duchownego przełożonego.

«Adampol (tak się nazywa ta nowa osada) leży w pięknej okolicy Azji Mniejszej (pod Skutari). Wielu Polaków tam się udało, lecz mało tam pozostało»...

Z drugiej strony, czy można się spodziewać pomyślnego wzrostu dla kolonji polskiej w posiadłościach Turcji, osądzi Czytelnik z przytoczonego poniżej faktu, mającego miejsce w innej od Adampola, jak się zdaje, drobnej osadzie polskiej, którego opis wyczytujemy w Nr. 31. Dziennika Poznańskiego, korespondencji datowanej z Carogrodu pod dniem 20. stycznia 1865. roku. Brzmi on w te słowa:

«Przed kilku dniami, do tak zwanego Czyfliku francuskiego w Azji, gdzie jest kilkanaście rodzin polskich, zamieszkałych tam od 1854. roku, przybyło na pewien czas kilku wychodźców z ostatniego powstania, chcących się bawić polowaniem i ciągnąć z niego korzyści na swe utrzymanie.

«Ale nie bardzo się tym biedakom — a jest ich siedmiu — udaje; z powodu braku zwierzyny często bywają o suchym kawałku chleba; o konspiracji ani myślą.

«Tymczasem dowiedziała się ambasada rosyjska, że znajduje się w Czyfliku. mnóstwo Polaków, że się organizują, uzbrajają i że na wojnę oddział wyruszyć zamierza do Rossji i do Austrji. Zaniepokojona temi «pewnemi» wiadomościami, udała się do władz tureckich, nalegając, aby co prędzej rozproszono ów oddział. Turcy, jak zwykle grzeczni i gościnni, a niezmiernie zdziwieni, tem bardziej, że nic o tem nie słyszeli, posyłają na żądanie jakiegoś pułkownika, z nakazem przekonania się: czy zbiorowisko, o którem doniesiono, istnieje w rzeczy samej.

«Pułkownik idzie tedy z wojskiem, obsacza Czyflik i bierze w niewolę oddział złożony z siedmiu ludzi, uzbrojony aż

w dwie dubeltówki i jedną pojedynkę, i przywozi do Stambułu. Dano tym ludziom pomieszkanie, karmiono wybornie, nie żałując jedzenia; gdyż Turcy są przekonani, że Franki, to jest: Europejczycy, niezmiernie wiele pokarmu potrzebują. Do towarzystwa zresztą przeznaczono im kilku oficerów ze swojego wojska, którzy w chwilach wolnych bawili ich śpiewami, żeby im się nie nudziło.

«Rodacy nasi, mówiąc nawiasem, przy takich warunkach bytu, radzi byli nudzić się jak najdłużej.

«Lecz po upływie dwóch dni stawiono ich, niestety, przed Mustafą Paszą, który przyrzekłszy im nadal opiekę, pozwolił im odjechać napowrót do Czyfliku, i kazał im dać konie na drogę, z napomnieniem nie mięszania się do tureckiej «organizacji.»

«Cała ta historja dała Turkom nie mało wątku do żartów.»

Fakt ten o ile wykazuje obawę nieprzyjaciół na najmniejsze stowarzyszenie Polaków, o tyle nie przemawia na korzyść kolonizacji.

XX.

POWRÓT DO NOWEGO ORLEANU. PRZYRODA NA RZECE MISSISSIPI. NIEMCY DEMOKRACI.

XX.

Znowu ujrzałem się na rzece Mississipi, z powrotem do Nowego Orleanu; lecz będąc już obeznany z tym «Ojcem wody,» nie sprawiał mi na ten raz tyle, ile niegdyś, wrażeń; zdawała się ta rzeka być nader długą, jakkolwiek nie miałem przed sobą celu do któregobym spieszyć powinien.

Na każdym przystanku ładowano statek przybywającemi pakami towarów, beczkami, skrzyniami z tytuniem, workami z ryżem, rozmaitem żelaztwem i gratami, co mię niesłychanie nudziło.

W miarę, jak płynąłem z biegiem wody, niskie brzegi co raz bardziej malały, równając się z jej poziomem. Zanim dostaliśmy się w okolicę miasta St. Louis, nie ukazywało się już na horyzoncie żadne wzgórze; widać tylko było niezmierną rzekę, płaskie wyspy na niej rozrzucone, odwieczne lasy, niebiosa; widać było stada wodnego ptastwa, żeglujące w różne strony — samotnych drapieżnych sępów, krążących po nad tamtemi w powietrzu — tudzież mnóstwo wygrzewających się na słońcu, na pniach i odnogach drzew nadbrzeżnych, żółwi, które na łoskot maszyny wysuwały z pod skorupy czarne łebki, i rzucały się do wody za zbliżeniem się naszem.

Wieczór był cudowny.

U stóp lasu woda przybierała barwę ciemnej lilji, z jaśniejącemi na niej złotemi smugami. Zachodzące słońce rozpościerało tło płomieniste, co bledniejąc stopniowo, roz-

tapiało się w lazurze. Czarny łabędź pospieszał w milczeniu na nocne schronienie, zostawiając za sobą na wodzie bróżdę.

Potem rozpoczął się ogromny koncert, złożony z mirjadów owadów, ukrytych w zaroślach kniei — nareszcie gwiazdy poczęły przeglądać się drżąco w stalowem rzeki zwierciedle — a statek nasz posuwał się lekko, popychany niewidzialną siłą wśród tajemniczej nocy.

Ale otóż jakiś parowiec, z belwederem podobnym do wieży gotyckiej katedry, sunie się powolnie ku nam od strony Nowego Orleanu; rzęsiste światła buchają z okien pierwszego piętra; na szybach rysują się fantastycznie sylwetki podróżnych; na krużgankach poruszają się, poddmuchiwane zefirem, jasne suknie kobiece; po schodach, dość szerokich, aby pomieścić mogły kilkanaście razem idących osób, uwija się służba. W końcu wspaniały parochód mija nas z okrzykiem — oddajemy mu głośne powitania — zalatuje jeszcze z niego gwar ludzkich głosów; a za chwilkę wszystko razem niknie, jak senne marzenie, czarowne widziało!...

Za to obok siebie słyszę Niemców prowadzących żywą rozmowę z obywatelami z St. Louis; spór się wszczął o kwestję niewoli. Obywatele przemawiają za, Niemcy przeciw.

Ci ostatni przywożą zwykle z sobą do Nowego Świata, przy zasadach demokratyczno-europejskich, doktryny absolutyzmu. Nie zwracają bynajmniej uwagi na przesądy odwieczne i zastarzałe, zakorzenione instytucje miejscowe; nie zgłębiają historji; nie chcą rozumieć żadnej tolerancji dla pewnych nałogowych niesprawiedliwości, mających za sobą powagę zwyczaju i czasu; lecz posiadają do najwyższego stopnia sens moralny zasad, na którym zbywa trochę demokratom amerykańskim.

Niemcy nie przestraszają się bynajmniej rewolucją; dla zniesienia instytucji barbarzyńskiej, gotowi są użyć topora aż do podwaliny społecznej.

Z drugiej strony, do zasad ich łączy się interes, który tak ważną gra rolę w sprawach ludzkich. Gdyby nawet polityczne opinje owych plebejuszów, wrodzone poczucie

sprawiedliwości, nie uprzedzało ich przeciw niewolnictwu, nienawidziliby je, już nie powiem, jako haniebną zawadę do cywilizacji, ale jako przeszkodę do robienia majątku.

Emigrant bowiem przybywa do Ameryki biedny i żyje tam z własnej acz ciężkiej robocizny. Ów nowy przybysz, nie mający nic do stracenia, nie troszczy się o los zamożnych właścicieli krajowych, potrzebując przedewszystkiem, żeby praca wolna, płatna, była wyzwoloną od rywalizującej z nią pracy niewolników.

Zresztą, poniżona w nim duma robotnika, przez to, że Południowcy używają do pracy jedynie czarnych, jak gdyby ona winna być w pogardzie, czyni z niemieckiego osadnika najzaciętszego wroga plantatorów.

Dalej, na uboczu parochodu, siedział przy stoliku mężczyzna w wykwintnej odzieży, noszący złoty łańcuch niepraktykowanej grubości — snać jakiś konserwatysta — i przeglądał publiczne papiery; a siedzący przy mnie Szwajcar, roznosiciel towarów, w te się odezwał słowa do swego młodszego brata, świeżo przybyłego z gór alpejskich:

— Przypatrz no się owemu jegomości, co rachuje pieniądze! to żywy portret bankiera, co zemknął z mym kapitalikiem! Jeszcze cię nie objaśniłem rzecze dalej, że tutaj, na ziemi zupełnej wolności, oprócz banków publicznych, każdy bank prywatny ma prawo puszczać w obieg swoje bilety i mnożyć je ile mu się podoba. Jeśli zaś bankier zbankrutuje i zniknie — tak n. p. jak mój zrobił — szkodę ponosi ten, co mu zaufał. Ale trudno tu, mój bracie, wśród tylu banków poznać bankierów i stan ich kredytu. Oni sami między sobą często się oszukują. Każdy Stan ma tu swoje oddzielne prawa, niekiedy nie zgadzające się z prawami innych Stanów; ten kto zbankrutował, uchodzi do takiego Stanu, gdzie wie, że za swój czyn nie będzie odpowiadał z więzienia. Zresztą, szukajże go po świecie! Sądy by nie wystarczyły, gdyby im przyszło mieć do czynienia ze wszystkimi bankrutami Stanów Zjednoczonych.

Rzekłem sobie: dobrze i to wiedzieć, i poszedłem do kajuty na spoczynek.

Nazajutrz nastąpiła zmiana dekoracji: innego rodzaju żywe obrazy przedstawiały się na Mississipi. Jeden z nich, jakkolwiek upowszechniony, nie mniej jednak malowniczy:

Stado wołów i koni oczekiwało na przybycie statku. Pasterz puszczy z długim biczem, siedząc na bystrym rumaku, w butach przy ostrogach, w kapeluszu o szerokich skrzydłach i skórzanej odzieży, wsparty na wielkich strzemionach meksykańskich, utrzymywał w towarzystwie psa porządek w stadzie. Konie weszły bez trudności na pomost; lecz rogacizna, jak gdyby przeczuwając, że ją na rzeź wiodą, nie mogła na to przystać. Ryczała żałośnie, kryjąc łby pomiędzy sobą, gdy tymczasem dozorca okładał ją biczem, a gromada murzynów, z kijami i powrozami w ręku, krzykiem znaglała do podróży. Po kilkakroć razy biedne woły wskoczyły na skrzynie i nagromadzone towary u przystani, wywracające się z trzaskiem pod ich racicami, a nawet z przestrachu o mało co się nie rzuciły do rzeki. Nakoniec murzyni wiążąc je po sztuce, chwytając za rogi, za nogi i ogony, wnosili na statek; aż wreszcie stado wskoczyło doń raptem i ścisnęło się z drżeniem na pokładzie.

Na żadnej rzecze w Europie statki nie mogłyby być spławiane z tak znacznemi ciężarami. W niektórych miejscach, mianowicie przy ujściu, Mississipi jest na dwieście stóp głęboka. Czterysta innych rzek i potoków zasila jej koryto. Jest to przestwór wody najwięcej imponujący ze wszystkich rzek na świecie. Tamiza, Sekwana, Ren, Elba, Wisła, Dunaj, Dnieper, Don, Wołga, schowałyby się w Mississipi. Nie darmo ją nazwano: «Ojcem wód.»

Ażeby sobie wyobrazić spławną część tej rzeki, dosyć jest spojrzeć na kartę Europy i wystawić sobie ogromny strumień, któryby biorąc początek n. p. w Szwecji, wpadał do Morza Śródziemnego.

Pomimo wszystkich obrazów, ciągle mi się zdawało, że statek za powolnie się zbliża do miejsca przeznaczenia.

Zgiełk, ciżba, gorąco, komary, niewygodne noclegi, oto przyjemności tej wędrówki!

Stanąłem nakoniec w Nowym Orleanie o świcie — niebo pokrywało się już bladym błękitem, a chmurki mgły przeciągały po nad portem, niby firanki z białego muślinu.

Uczniowie moi powitali mię serdecznie za przybyciem — wakacje się skończyły, i znowu nastąpiły też same prace, nudne, jednostajne, co przedtem. Bez wątpienia, nikt nie pozazdrości nauczycielskiego stanu — lecz wiele ten czyni co musi.

Pracowałem w tym zawodzie jeszcze kilkanaście miesięcy; aż pewnego wieczora, rachując mój zasób pieniężny, postrzegłem z radością, iż składał się z kwoty, wystarczającej na odbycie drogi do Europy. Tego właśnie było mi potrzeba! Podskoczyłem z uciechy, jak uszczęśliwione dziecko, gdyż ani do klimatu miejscowego, ani do zwyczajów, obyczajów, nie mogłem się nazwyczaić, tęskniąc zawsze za starym światem. Postanowiłem więc doń powrócić.

Zresztą nic mię nie wiązało do Ameryki. Otrzymałem już był tytuł tamecznego obywatela, który mieć pragnąłem; zaspokoiłem ciekawość zwiedzenia drugiej półkuli, belferką wiecznie się zajmować nie było moim zamiarem; a innych nadziei pod względem dobrobytu rościć sobie tam było mi niepodobna, gdyż upadek Stanów Zjednoczonych z powodu kolei żelaznych, o którym głosiły wszystkie gazety świata, sparaliżował wszelkie interesa na lat kilka — czekać zaś na poprawienie się finansów krajowych nie miałem cierpliwości.

Ztąd wypadło, iż za kilka dni byłem zupełnie gotów do morskiej podróży.

W dzień wyjazdu wstałem przed wschodem słońca, gdyż statek «Rufus», gdzie zamówiłem miejsce, miał odpłynąć zrana. Przybywszy do portu, spotkałem się przed schodkami prowadzącemi na statek z przyszłym współtowarzyszem podróży, Amerykaninem, który patrząc spokojnie na zegarek, oznajmiał jakiejś damie, że zostaje jeszcze pół godziny czasu, któreby wartało poświęcić przechadzce. Wnosząc z jego obojętności i z torby podróżnej, obejmującej cały jego pakunek, możnaby sądzić, iż się wybrał tylko na jedno-dniową wycieczkę; wszelakoż zamiarem jego było dostać się aż do Paryża.

Młoda jejmość podobnież nie zdawała się frasować przestrzenią Atlantyku.

W tem podano do wiadomości, że «Rufus» nie wyruszy, dopóki się mgła nie rozejdzie. Oględność ta w kapitanie amerykańskim była godną podziwienia: lecz nie wiedziałem jeszcze, że pan Gibson nosił sławę kapitana zarazem odważnego i ostrożnego i że dla złagodzenia wrodzonej mu odwagi marynarza kazano mu złożyć kaucji 20,000 dolarów do kasy kompanji okrętowej. Tu się zapewne nie mało przyczyniło, że obawiał się stuknąć w porze mglistej powierzonym mu okrętem o jaką wyspę i na szwank go narazić — bo o passażerów, wątpię, aby mu chodziło.

Trudno sobie wystawić zamęt panujący przy odbijaniu nawy od brzegu. Każdy zazwyczaj spuszcza się na ostatnią minutę, mając nieustannie coś do załatwienia na lądzie; a potem wszyscy się naraz cisną po schodkach lub wązkie desce prowadzącej do statku: mężczyzni, kobiety, dzieci, tragarze, niosący pudełka i tłomoczki, które rzucają bez ładu na pokładzie.

Naraz odstawiono schodki, kocioł świsnął parowego marsza, koła zaczęły się obracać, i ujrzałem się przecież w drodze, z powrotem do Europy.

Wypadło przepłynąć jeszcze ośmnaście mil polskich po rzecze Mississipi, zanim dostaliśmy się do jej ujścia w zatoce meksykańskiej.

Na kończynach lądu, zdającego się tonąć, sterczały

drewniane domy pośród trzciny; drut telegrafu elektrycznego był zawieszony na słupach w powietrzu po nad pustynią, dostarczając nowin ze świata ludziom w niej opuszczonym. Dziś, gdy telegraf podwodny łączy Europę z Ameryką, wszelkie wiadomości dochodzą szybko aż do owych pustelni.

Turyści porównywują ujście Missisipi do Nilu: ten sam ma być w obydwóch kolor wody mętnej, taki sam horyzont; podobnie w Ameryce wygrzewają się na trzęsawiskach podczas pogody krokodyle, jak w górnym Egipcie.

Postacie okolic podobne, atoli przeznaczenia ich różne!

Nad Nilem znikła dawna wielkość, gdy nad odnogą meksykańską potęga w zarodzie!

Rozum jest strudzony gdy u podnóża piramid zatapia się w badaniach, co mogło istnieć przed pięciu tysięcy latami? a u krańca Missisipi, nad tem, co się stanie za pięć tysięcy lat?...

Wyobraźnia ludzka zapuszcza się niekiedy w tak odległą przeszłość, iż dzieła najstarożytniejsze człowieka zdają się być bardzo młodociane. Geolog Lyell wykazuje, że potrzeba było siedemdziesięciu tysięcy lat dla utworzenia ujścia Missisipi w takich rozmiarach, w jakich się obecnie znajduje.

Gdy kopano przy tem ujściu, odkryto piętra podziemnych, skamieniałych lasów, jedne nad drugiemi. Miano także znaleźć czaszkę ludzką. Wedle obrachowania głębokości i gatunku słoju pokładu, w którym leżała, jeden z pisarzy amerykańskich twierdzi, że okolica była już zamieszkałą przez człowieka, pięćdziesiąt siedem tysięcy lat temu — fakt podlegający sprawdzeniu, twierdzenie, którego nauka potwierdzić nie może, ponieważ dowiedziono w geologji o niedawności trwania rodzaju ludzkiego.

Gdy się jest u wstępu na morze, chwila to uroczysta, chwila milczenia! Przewodnicy rybacy żeglowali w czółnach obok «Rufusa,» lecz zawrócili się, nie chcąc wypłynąć z ostatniej zatoki rzeki. Przebyliśmy ją nakoniec! Łatwo to

było poznać przez kołysanie się co raz większe statku, popychanego falami.

Długi czas po straceniu z oczu lądu, widziałem prąd blado-żółtawy Missisipi, wkraczający do morza, dopóki nie zniknął w szmaragdowych wód topieli.

Bądź zdrowa Ameryko!...

XXI.

POWRÓT DO EUROPY. UWAGI NAD PRZYSZŁOŚCIĄ AMERYKI. ŻYCIE NA STATKU I TAJEMNICE MORZA.

XXI.

A więc na morzu! pełnem zjawiska morzu! Szybkim i lekkim cugiem płynę po przezroczu wód.

Pozostało daleko w tyle ołowiane niebo Nowego Orleanu i jego bagniste niziny; po nad mą głową roztaczają się jasne niebiosa krain podzwrotnikowych.

Na płaszczyznie morskiej rysują się góry Kuby, gdzie murzynki zwijają cygara na kolanach. Światło otacza śmiałe, wydatne, a miłe dla oka rysy wysp antylskich, co się okryły fioletową szatą na nasze przybycie. Tarcza słoneczna chowa się po za szczyty skał; jedna z nich wystrzela, jakby pomnik na kanwie złocistej.

Widok wyspy Kuby pogrążył mię w dumaniach — znowu ta nieszczęsna polityka!... Jakkolwiek ktoś porównał przepowiadaczy przyszłości do kalek z wykręconą w tył głową, nie widzących drogi, którą postępują, wróżyłem przecież, że Kuba, zarówno jak Meksyk, a nawet Kanada, wcześniej czy później wcielone zostaną do Stanów Zjednoczonych, bo to jest naturalnem następstwem. Zwrostowi owej wielkiej Republiki nic przeszkodzić nie zdoła; zasada, co stworzyła pierwszy miljon jej ludności, stworzy i ostatni.

Przy łatwości życia, wolności handlowej i przemysłowej, oraz wszechstronnej komunikacji, Unjoniści obfitować będą w płody, jakie posiadają wszystkie inne ludy. Każda korzyść stanie się u nich wspólną dla wszystkich i dla każdego obywatela po szczególe. Gdy zaś niezależność ożywi Amerykę hiszpańską, Stany Zjednoczone stowarzyszą się do jej po-

myślności i zwrócą ku niej krocie okrętów, czego obecnie uczynić jeszcze nie mogą.

Dopóki Moskwa jest w stanie kwitnącym, dopóty Ameryka dostawia jej i wywozi z niej towary. Owa akcja i reakcja, przypływ i odpływ znoszeń się i zamian wzajemnych, mnożąc ruch, ludność i bogactwo Unji, wzmoże ją szczęściem świata całego.

Amerykanie pod względem ciągnięcia zysków ze wszelkich źródeł możebnych, są nader zręczni; źródła zaś dla nich, jak widzimy, są szerokie i obfite.

Ameryka jest wyraźnie przeznaconą do przeistoczenia stosunków politycznych, socjalnych i ekonomicznych na globie ziemskim.

Jeżeli z trudnością przychodzi Europie znosić dziś ciężar dwudziestu kilku miljonów Anglików, utrzymujących swą potęgę, jako dźwignię do handlu, i handel jako dźwignię do potęgi; cóż wtedy zrobi, gdy zawiśnie nad nią ciężar nieograniczonej liczby Amerykanów, partych tąż samą chciwością zysków, co i Anglicy, a do tego nie lękających się siły zbrojnej europejskiej, i co największa, swobodnych od przesądów i wyobrażeń, stawiających tamę do ogólnego rozwoju Europejczykom?

Amerykanin bowiem nie jest Amerykaninem z Ameryki, lecz Amerykaninem z Anglji; jest on Anglikiem zupełnym, ale postępowym, utrzymującym w oddaleniu od swej starej ojczyzny męstwo, dowcip, czynność, pracowitość, zdolność do robienia interesów, słowem przymioty, któremi tak się bez przerwy odznacza.

Rzucił on się ku Oceanowi i marynarce, bo ujrzał w niej otwierającą się dla niego karjerę!...

Podróż przez Atlantyk przedstawia wiele ciekawych przedmiotów, mianowicie dla poetów i malarzy — rzekłbym, i dla lubowników muzyki, bo mogą tam usłyszeć, zwłaszcza w czasie burzy, ogromną symfonję rozchukanych żywiołów, o jakiej nie mają wyobrażenia ci, co nie byli na pełnem

morzu. Ale są to wszystko cuda przestrzeni, przepaści, za zbyt wielkie, aby można je określić.

Słońce powstające z morskich kąpieli przedstawia zawsze jeden i ten sam widok, a zawsze zdaje się on być nowy, tyle ma uroku. Gdy wiatr jest pomyślny, i majtkowie śpiewając rozpinają żagle dla oszczędzenia węgli, statek przybiera postać weselną. Nawigacja daje pojęcie o genjuszu i wytrwałości ludzkiej. Czytałem z podziwieniem, acz nie bez drżenia, podróż Kolumba puszczającego się w pustynię wód nieznanych. Gra światła zmienia ciągle obrazy na owych wodach i ludzi oko.

Pod względem życia praktycznego, przy wygodach jakie znaleźć można na statku parowym, porównać go się da do pływającego, dobrze zaludnionego, zamczyska, gdzie się spędza tygodnie w oblężeniu, i dla szczupłości miejsca sypia w pewnym gatunku zaczepionej u ściany w kajucie trumny, służącej za łoże.

Kuchnia na «Rufusie» była dosyć smaczną — bufet dobrze opatrzony — cygara wyśmienite, rodem z Hawany, koniak francuzki, absynt szwajcarski, piwo angielskie; dziwiło mię tylko, jakim sposobem jedna krowa — a była tylko jedna! — dawała dosyć mleka do przyprawiania herbaty na przeszło sto osób, pijących ją dwa razy dziennie? Ale zostawmy tę zagadkę do rozwiązania chemikom.

Co do towarzystwa, składało się ono z cudzoziemców, zbiorowiska świata całego. Było pomiędzy niemi wielu oryginałów, bawiących kompanję. Wszyscy żyli w zgodzie. Nasłuchać się tam można było mnóstwa opowiadań o ciekawościach rozmaitych odległych krain, o których niejednemu ani się śniło. Podróż więc stawała się podwójną: teoretyczną, i praktyczną.

Choroba morska dotykała początkowo wiele osób, nie nawykłych do okrętu. Kobiety szczególniej się w niej depoetyzowały, nie mogąc sobie darować tego. Trudno im było, gdy statek za bardzo się kołysał, zachować godność w ułożeniu i w chodzie. Zauważyłem, że w podobnym przypadku Francuzkom nie tyle chodziło o przyzwoitą po-

stawę, ile purytankom angielskim i amerykańskim. Przepraszam za zestawienie tych postrzeżeń — są one czysto osobiste.

Po paru dniach podróży, powietrze się nagle ochłodziło. Słońce, gwiazdy, woda, wszystko nam znikło pośród mgły. «Rufus» znajdował się, jakby zawieszony w chaosie przed stworzeniem świata. Znikła wesołość, nastąpiła posępność. Panie były zdenerwowane, rozmowy straciły na powabie. O mało nie uderzyliśmy o jakiś parowiec, który jak blady cień przesunął się obok nas. W razie wypadku, w cóżby się obróciła kaucja ostrożnego pana Gibsona!...

Potem mgła się rozpierzchła, a natomiast zawył uragan, jakby lew umierający; bałwany rozbijały się o burty statku, rzucając pianę na około: woda wrzała. Stało się to właśnie podczas obiadu; nie podobna było donieść do ust łyżki z rosołem, uciekał w drodze; szklanki, kieliszki i inne naczynia wywracały się z brzękiem; mężczyzni się śmieli, a dzieci płakały, chwytając matki za suknie. Niektóre damy obawiały się korsarzy z wysp antylskich, którzy w postaci rybaków zjawiają się niekiedy pod pozorem ratowania zagrożonych niebezpieczeństwem okrętów.

Nareszcie uragan się udobruchał i utonął w pościeli purpurowych obłoków, czekających na niego w oddaleniu, jak robotnik co chce spocząć po ciężkiej pracy. Na tle tych obłoków poruszały się okręty z rozwiniętemi płótnami. Widok był spokojny, wspaniały, majestatyczny!

Przyjemnie to czytać w wygodnym pokoju, przy kominku, o uraganach i strachach morskich; ale pominąwszy stronę estetyczną, strasznie jest spotkać się z niemi na Oceanie.

Trzeszczenie masztów, bieganie po pokładzie majtków, krzyk kapitana i jego pomocników wydających rozkazy, świst piszczałki sternika, zgrzyt roztaczających się łańcuchów, tworzy dziką, przerażającą harmonję!...

Pani kapitanowa, nieodstępna towarzyszka swojego męża, przedstawiała piękny typ silnych niewiast flamandzkich, o rumianych policzkach; lecz jedyne jej nieszczęście, że lubiła wychylać nieco większą miarkę wina, niżeli się jej w istocie należało, co jednak nie osłabiało przywiązania między małżonkami.

Trudno sobie wyobrazić, ile marynarze i w ogóle osoby przyzwyczajone do morza, mogą zużyć trunku. Pochodziż to ich pragnienie ze słonego powietrza, którem ciągle oddychają? Trafia się niekiedy, iż służba okrętowa dobiera się do baryłek aby się uraczyć z nudów, pomimo, że za to nielitościwie powrozami jest chłostaną.

Pani kapitanowa obierała chwile gdy Atlantyk był w dobrym humorze i nie marszczył czoła, aby zaprosić podróżnych do tańca, sama zaś grała na fortepianie — jej zaś córeczka popisywała się solo ze śpiewem. Na takich balikach pojawiała się zwykle, ale tylko na chwilę, nie porównanej piękności Hiszpanka. Był to cud ... dziwo ... marzenie. Było coś tajemniczego w tej postaci. Miałem ochotę stać się jej spowiednikiem, bo na statku brakowało księdza.

Często spędzano także wieczory na grach; że zaś żadnych nie lubię, wolałem przechadzać się po długim i szerokim jak ulica pokładzie, samotnie, z myślami mojemi w obec gwiazd i księżyca; lub zajść do czytelni, złożonej z kilkuset tomów wyborowych książek.

Podobało mi się morze! zarówno w czasie jego uśmiechu jak i w chwilach dąsania się jego, a nawet wtedy lubiłem je więcej i z kolei uśmiechałem się do niego, jak się uśmiecha na kaprysy kochanki.

Lubiłem szczególniej patrzeć na piętrzące się fale przy świetle księżyca. Jak widma rycerzy Ossjana w stalowych pancerzach, o rozwianych śnieżnych włosach, rzucały się do walki z zajadłością, ścigały, dopóki nie padły pod szeregami następujących na nie olbrzymów.

Morze samo przez się wywiera tyle wrażenia na człowieka, że najśmielsi marynarze, Fenicjanie i Kartagińczycy,

zachęceni podaniami o kraju pełnym złota, przebyli Morze Śródziemne w celu znalezienia go, rzucili się następnie na Ocean; lecz zatrzymali się z trwogą. Pas ponury, wiecznie pokryty mgłą, jaki spotkali przed równikiem, przeraził ich: «To morze ciemności!» rzekli i powrócili do siebie. Byłoby bezbożnością posuwać się dalej. Nieszczęście ścigało by tego, ktoby chciał zaspokoić ciekawość świętokradzką. Widziano na ostatniej wyspie kolos z groźnem obliczem, wołający: «Nie idźcie dalej!»...

Zwierzęta nawet na widok morza mięszają się. Stada psów w Kamczatce, karmiących się rybami, wyją przeraźliwie w nocy za zbliżeniem się do jego brzegów. Ale bo też i dzika przyroda w całej okropności i nagości swojej rozciąga tam panowanie! «Gdy nadeszła burza — napisał wygnaniec Kopeć — widziałem potwory, wieloryby, lwy i psy morskie. Niedźwiedzie rzucały kamieniami, ażeby mię i zabić i pożreć. Bałwany uderzające o ląd wstrząsały półwyspem. Ocean huczał, a wulkany nadbrzeżne wyrzucały z grzmotem płomień i popioły.»

Morze, ów olbrzymi sfinx ciemności, element zniszczenia, wiodący odwieczną walkę z ziemią, dotąd nie jest zmierzone w całkowitej swej głębokości; przestrzeń też jego nie jest jeszcze znaną — zdaje się ono przemawiać, że nie potrzebuje innego świadka swych niedocieczonych tajemnic, oprócz jednego Boga!

Wiktor Hugo skreślił malowniczy obraz w ostatniem swem dziele pod tytułem: «Pracownicy Morza,» walki człowieka z potężnym wód żywiołem.

Rzadko kto z podróżujących po Oceanie Atlantyckim nie spotkał na swej drodze wieloryba, rekina, lub stada delfinów.

Wieloryba poznać można zdaleka po prostopadłym strumieniu wody, który wyrzuca wysoko w powietrze. Po-

mimo swego ogromu nie jest on niebezpieczny, jeśli go nie atakują, mianowicie osękiem. Często podróżni strzelają do niego dla zabawy, ale pyszny zwierz-ryba zdaje się nie zbyt gniewać, gdy ukłuty zostanie drobnemi kulkami, które nie w stanie przebić mu skóry.

Wieloryba porównać można pod względem łagodności do słonia, choć nie ma on tyle, co słoń pojętności.

Żałować należy, że szlachetny ród wielorybów, niewinny ród, wyniszczono już prawie.

Rekin czyli pies morski, przeciwnej natury od wieloryba, tak jest żarłoczny jak hiena. Ściga on zwykle okręty po kilka dni i nocy i chwyta z zajadłością wszystko, co z nich spada; jeśli nieboszczyk, przecina go w oka mgnieniu i łyka. Rekin ma mieć węch tak doskonały, iż poczuje człowieka dotkniętego na statku gorączką i niezmordowanie czatuje na trupa. Trudne na niego łowy, trudno go postrzelić, a tem bardziej zaczepić osękiem, gdyż jest nadzwyczaj zręcznym i obrotnym pływakiem.

Delfin jest miłą rybą, lubiącą towarzystwo, bo płynie zwykle w stadzie. Wzrost jego przewyższa dużego łososia. Delfin ma to szczególne w sobie, że gdy złapany, zostanie żywcem wydobyty z sieci, łuska jego aż do chwili śmierci migocze blaskiem różnobarwnej tęczy. Jest to fenomen optyczny bardzo ciekawy, gdyż kolory zmieniają co moment miejsce.

Ponieważ ciało tego stworzenia zawiera niekiedy w sobie truciznę, kucharze okrętowi zwykli kłaść łyżkę srebrną do rądla, w którym gotują delfina. Jeżeli srebro nie sczernieje podczas gotowania, oznacza to, że ryba jest nieszkodliwą; mięso z niej bardzo smaczne.

Powyższe uwagi stosują się tylko do ryby zwanej delfinem przez marynarzy, nie zaś do delfina oznaczającego w nauce zoologji rodzaj, dzielący się na mnóstwo gatunków.

W chwili, gdy usłyszysz z głębi kajuty wiatr świszczący wśród lin okrętowych i poczujesz wstrząśnienie od uderzenia wodnistej góry rozbijającej się o statek — jest to hasło do pracy majtków. Wtedy zalatuje z pokładu do twego ucha śpiew rzewny, daleko tkliwszy od tych, które słyszałeś w niejednej operze. Są to przeciągłe, miarowe, tęskne głosy majtków, którzy przy wszystkich obrotach żaglowych, czy w dzień, czy w nocy, śpiewają ex officio, gdy ciągną za liny.

Ale oprócz tych smętnych dźwięków, wydobędzie się czasem z ich chóru ballada, którejby pozazdrościła nie jedna poezja. Posłuchać proszę kilka strof pod tytułem: Westchnienie majtka:

«Zimne światło księżyca srebrzy morze bezbrzeżne! okręt pędzony wiatrem pruje spienione fale. Do jakiej ziemi nie płynę, o luba! myślę o Tobie i Ojczyznie.

«Gdy chmury groźne kupią się nad mętnym Oceanem; gdy noc zawisła nad przepaścią, i gdy wicher olbrzyma Eola wyje i zamiata morze z rykiem straszliwym; marzę o szczęściu, któregobym doznał w tej tęsknej godzinie obok Ciebie w rodzinnej zagrodzie.

«Gdy wiatry zasypiają i ucichły bałwany; gdy gwiazda wieczorna, opłakując dzień gasnący, zapala na Południu lampę uroczystą — pamięcią w przeszłość biegnę i wzdycham za Tobą!

«Dmij, dmij, o zawiejo! a ponieś nas ku błękitnym ojczyzny brzegom... Widzę już gaje mych przodków, jaśniejącą pogodę; widzę chatę pod cieniem drzew rozłożystych, i Ciebie najdroższa!»

Śpiew, którego brzmienie w oryginale ma stokroć więcej uroku:

1.

With steady ray the cold moonshine
Is slumbering on the shoreless brine:
The pendant, curling in the breeze,
Sweeps onward thro' the foamy seas: —
Where'er I roam,

Beloved girl! my wandering mind
Reverts an eye to times behind,
And thee at home!

2.

When brooding tempests gather o'er
The heaving sea, without a shore;
As night descends upon the deep,
And howl the giant winds, and sweep;
With awful power:
I think how happy I could be,
At home, or any where with thee,
At any hour!

3.

When stroms are soften'd to repose,
And Ocean's breast no ripple knows:
When, weeping o'er expiring day,
Shines in the south with holy ray,
The evening-star;
With ecstasy I gaze, and turn
To long-departed days, and burn
For thee afar!

4.

Blow strong, blow steady, welcome breeze
And bear us through the weary seas,
Until before our wistful eyes
The azure hills of Albyn rise —
My native grove
In all its summer-pride I see,
The elm-o'ershadow'd cot, and thee,
My life! — My love!

Po ośmnastu dniach podróży dano znać o bliskości lądu. Wiadomość ta rozeszła się lotem błyskawicy pomiędzy mieszkańcami małego miasteczka, którem był «Rufus». Pan Gibson z całym swoim sztabem, godną połowicą i przywiązaną córką, wystąpił na pokład, spojrzał na mappę, przyłożył sążnistą lunetę do oka i rzekł: «All right!» (wszystko

dobrze), z miną komendanta, co ocalił od szturmu fortecę. Sternik stojący przy bussoli był ciągle poważny i milczący.

Rozpoczęło się zamięszanie na statku, trwające aż do chwili wylądowania.

Tymczasem parochód toczył się dalej. W samej rzeczy, ujrzeliśmy za kilka godzin zielone wzgórza Irlandji i secinę bark rybackich o trójkątnych żaglach, utrzymujących się na rozmaitych punktach; niektóre z nich przesuwały się zwolna, niby łabędzie. Była to świetna dekoracja na wodzie!

«Rufus» długo płynął w kierunku równoległym do Albionu, póki go nie minął w kanale Wielkiej Britanji, zawinąwszy ku Francji. Znaną mi już była ta droga: przebywałem ją udając się do Ameryki.

Wieczorem zabłysło światło latarni, wzniesionej na wysokiej kolumnie, na krańcu kamiennej grobli w Hawrze. Owa strażnica przystani, jaśniejąca wśród ciemności, miłe sprawia wrażenie na podróżnym. Budzi ona myśl, że jeżeli żywioły przyrody są przeciwko niemu, to ludzkość czuwa nad nim u przepaści.

Na wstępie do zatoki Hawru, salwa z mozdzierza rozległa się w porcie, na znak przybywającego okrętu. Najpierwsze osoby, co się pojawiły przy wylądowaniu, byli to w stósowanych kapeluszach, zbrojni żandarmi, zapytujący o paszporta. Amerykanie oddawali je ze śmiechem, nie będąc przyzwyczajeni do podobnych dokumentów, opisujących nosy, podbródki i znaki szczególne; szkoda, że i nie uszy. Po odbiór tych ważnych świadectw kazano się udać do komisarza policji.

Żandarmi przy pałaszach nieprzyjemnie się przedstawiają, gdy się odwykło od ich widoku.

Potem nastąpiła do załatwienia owa sakramentalna u celników, a nudna dla wolnych cudzoziemców formalność: przetrząsania ich rzeczy na komorze. Lecz na złość celnikom, dwie uprzejme Paryżanki przeniosły mi paczki wybornych cygar pod krynolinami; zapewne w nagrodę usług,

jakie im świadczyłem przez przyrządzanie ponczyku w czasie morskiej słabości.

Nazajutrz wagon uniósł mię do Paryża. Inny świat ... inni ludzie!...

Wypocząwszy trochę, zapytałem siebie: co tu robić, co przedsięwziąść ... jaki stan sobie obrać w tem ognisku cywilizacji, aby stać się pożytecznym społeczeństwa członkiem, acz niezależnym wprost od niego?...

Wziąłem za pióro i zostałem niestety — literatem.

Mówię niestety, gdyż być pisarzem sądowym, a nawet prowentowym, to jeszcze idzie jako tako! ale pisać w obecnym czasie książki — to chyba molom na pastwisko!...

KONIEC.

SPIS

NAJNOWSZYCH WYDAŃ

DZIEŁ

J. GORDONA.

I. **Obrazki caryzmu.** Biblioteka pisarzy polskich, Tom VI. Lipsk, 1863.

II. **Sołdat.** Biblioteka pisarzy polskich, Tom XXXIII, Lipsk, 1865.

III. **Kaukaz,** czyli ostatnie dni Szamyla. Biblioteka pisarzy polskich, Tom XXXIV. Lipsk, 1865.

IV. **Przechadzki po Ameryce.** Berlin, 1866.

V. **Podróż do Nowego Orleanu.** Biblioteka pisarzy polskich. Tom XLVIII. Lipsk, 1867.

VI. **Meine Kerker in Russland.** (Przedruk z Wanderera) 2 tomiki. Leipzig, 1863.

VII. **Sechs Jahre in Orenburg.** Dresden, 1864.

VIII. **Mes Prisons,** ou l'exil en Sibérie. Génève, 1863.

IX. **Sołdat** (w przekładzie czeskim). W czasopismie illustrowanem: «Zlata Práha.» Praga, 1865.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

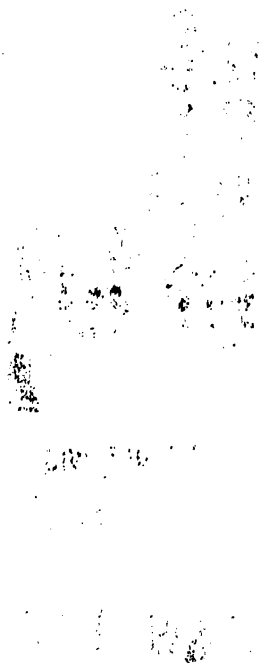

3 2044 009 928 284

THE BORROWER WILL BE CHARGED THE COST OF OVERDUE NOTIFICATION IF THIS BOOK IS NOT RETURNED TO THE LIBRARY ON OR BEFORE THE LAST DATE STAMPED BELOW.

BOOK DUE-WID
849446
JAN 31 1978
CANCELLED
JAN 31 1978

BOOK DUE-WID
NOV 6 1978
5998019
CANCELLED
NOV 1 1978

BOOK DUE-WID
JUL 6 1979
6355973
JUN 7 1979

NER
DUE
FEB 01 1991
CANCELLED
FEB 01 1991

BOOK DUE-WID
5998008
JUL 10 1978
CANCELLED
JUL 11 1978

BOOK DUE-WID
FEB 5 1979
CANCELLED
FEB 5 1979

MAR 23 1981
CANCELLED